

LEONARD CARPENTER  
CONAN  
NIEOKIEŁZNANY

CONAN THE SAVAGE

Przekład:  
Marek Mastalerz

Data wydania oryginalnego: 1982  
Data wydania polskiego: 1998

Twórcy Conana  
Robertowi E. Howardowi  
I jego wizji

Prolog

Pułapka w ciemnościach

- Proszę bardzo! Dumny kapłan, książę i sam król! - Triumfalny głos hazardzisty wybił się ponad stukanie kufla o marmurowe blaty stołów. - Moja monarsza świta przebija wszystko!

Rozdający rozłożył przed sobą białe kamienne tabliczki, na których wyryte były figury w wystawnych strojach. Sam gracz, odziany w jedwabie i nie pierwszej świeżości koronki, uśmiechnął się z wyższością jak odwiedzający spelunkę szlachcic.

- Graj, jeśli chcesz, barbarzyńco, ale lepiej pogódź się ze stratą stawki.

- O nie, Kaspusie. - Gracz naprzeciwko potrząsnął grzywą czarnych włosów. - Jakem Conan z Cymmerii, radziłem sobie z silniejszymi drużynami. Cymmerianin wcisnął głowę między muskularne barki i utkwiał wzrok w rzędzie tabliczek, zasłaniając je szeroką opaloną dłonią.

- Powinieneś się poddać - szepnął do Conana gracz z krzaczastą brodą siedzący po prawej stronie. - Grasz o wysoką stawkę, ale dworu nie sposób przebić. - Wysunął własne kamienne tabliczki przed siebie, gładkimi stronami do góry. - Ja na pewno nie mam nic, czym mógłbym go przelicytować.

- Ani ja - mężczyzna po lewej stronie Conana, szczupły, wąsaty oficer brytuńskiej jazdy, oglądając się na Cymmerianina oddał swoje tabliczki. - Znow muszę się poddać, jak przystało na rozumnego gracza.

Nachmurzony barbarzyńca skwitował radę niechętnym pomrukiem.

- Powinieneś usłuchać mądrych słów, Conanie - szepnęła dziewczka z oberży, siedząca obok. - Wycofaj się z gry, bo nie będzie cię stać nawet na zapłacenie mi za noc. Mówiąc to, smukłymi rękami, na których migotały spiżowe bransolety, gładziła obleczone w cienką koszulę plecy barbarzyńcy.

- Nie - postanowił mężczyzna zwany Conanem. - Dokupuję jeszcze raz. - Pogrzebawszy w trzosie, wy dobył zeń nie oprawiony rubin w kształcie łyzy. Klejnot zalśnił w półmroku, wywołując u kobiety westchnienie podziwu. - Ta błyskotka powinna wystarczyć, zgadza się? Oberżysto, więcej światła! - zawołał gracz oglądając się niecierpliwie przez ramię. - W kącie twojej zatechłej nory robi się piekielnie ciemno!

- Doskonale, barbarzyńco - oznajmił rozdający - jedna dla ciebie i jedna dla mnie. - Ze zręcznością zdradzającą długą praktykę zsunął dwie tabliczki ze stosu przed sobą. - I co mi się trafiło? Proszę, proszę, czarownik spod znaku maczugi, najpotężniejszy sługa w tym kolorze! - Arystokrata w koronkach zaśmiał się zwycięsko, uzupełniając rząd figur. - Poddaj się, cudzoziemcze. Nic nie przebije tego układu.

- Naprawdę? - mruknął barbarzyńca z Północy. - Aten zjazd możnych królów? - Odwrócił cztery tabliczki razem z tą, którą dokupił na końcu, i wysunął przed siebie, szykując się do zebrania wygranej. - Ich potęga przynosi

zwycięstwo na każdym polu bitwy.

- Wierutna bzdura! - odparł szlachcic. - Pełny dwór bije każdy kwartet! Powinien to wiedzieć każdy matoł, nawet z barbarzyńskiej krainy!

Arystokrata wyciągnął dłonie w koronkach, by zgarnąć zebrane na stole skarby.

- Nie w tej potyczce, szlachetko! Twój czarnoksiężnik jest równie fałszywy, jak ty sam! Wyciągnąłeś go ze swojego strojnego rękawa, nie z talii!! - Cymmerianin z piorunującą szybkością odtrącił dłoń rozdającego i położył rękę na stosie tabliczek. - Ciężko było to dostrzec w ciemności, ale oto dowód!

Przy tych słowach rozpostarł tabliczki na stole, a spomiędzy nich wyłoniła się wyszczerzona w uśmiechu twarz drugiego czarownika spod znaku maczugi.

- Chcesz powiedzieć, że nasz przyjaciel Kaspilus to oszust?! - zawołał oficer jazdy. - Wiele ryzykujesz, kalając jego imię!

- Właśnie! - Brodaty gracz przemówił w obronie rozdającego, ledwie racząc spojrzeć na rozłożone tabliczki. - Sam mogłeś schować w dłoni drugiego czarownika.

- Co? Jesteście wszyscy trzej w znowie, że bronicie tego łotra? - Siedzący na drewnianym taborecie Conan ściągnął nogi pod siebie, nie spuszczając wzroku z pozostałych graczy. - Pewnie razem z oberżystą, by specjalnie stawiał tu ledwie tłące się świece? Nie podnosząc się z miejsca, oszust w koronkach niespodziewanie sięgnął do drugiego rękawa. Conan dostrzegł błysk noża o krótkim, ciężkim ostrzu, jakiego używa się do rzucania. Szlachcic nie zdążył jednak rzucić nożem, gdyż Cymmerianin chwycił za skraj blatu i z całej siły napał na stół. Moc Cymmerianina sprawiła, że ciężka marmurowa płyta zsunęła się z kozia na pierś oszusta i przyparła go do kamiennego muru.

- Uch! - stęknął pozbawiony tchu fałszywy arystokrata. Próbował wciągnąć powietrze w płuca, zakaszłał i ze zdumieniem spostrzegł strużki krwi, które pociekły mu z ust na tabliczki do gry.

Conanowi nie dane było dłużej przyglądać się temu, gdyż nagle poczuł uderzenie w czołko, a przed jego oczami posypały się gliniane odłamki. To dziewczka z oberży rozbiła ciężki dzban do wina na jego głowie.

Oszołomiony barbarzyńca potrząsnął z niedowierzaniem głową. Udając, że traci przytomność, osunął się na blat i jedną dłonią zgarnął pod siebie złoto i klejnoty, drugą rozwiązując trzos.

- Uwaga! Pilnujcie tego diabła, chce ukraść całą stawkę!

Conan odskoczył od stołu. Przeszkadzała mu w tym jedynie kobieta, uczepiona prawego ramienia. Nie zdoławszy oderwać jej od siebie, Cymmerianin podniósł dziewczynę i rzucił ją w stronę dobywających broni i zacierających w jego kierunku dwóch graczy. Dziewka i brodaty wspólnik oszusta zwałili się na podłogę wśród przekleństw i łoskotu. Równocześnie Conan wyciągnął pałasz o ciężkim ostrzu i odparował cięcie szabli oficera jazdy.

Zastawa, cięcie, kopniak i pchnięcie; parę chwil wystarczyło, by Cymmerianin zaczął spychać przeciwnika do tyłu. Oficer był zręcznym szermierzem, nie dorównywał jednak obdarzonemu dziką siłą Cymmerianinowi. Jeszcze chwila i spadający jak grom z jasnego nieba miecz Conana złamał ostrze broni przeciwnika i zgruchotał jego nadgarstek. Uderzenie gardą pałasza w twarz oficera, które po tym nastąpiło, wystarczyło, by Brytuńczyk zwałił się nieprzytomny na podłogę.

Goście oberży uciekali w popłochu przez kuchenne wyjście. Gdy brodaty gracz sięgał po miecz, Cymmerianin również ruszył do odwrotu. Zbiegł po kamiennych schodach na półpiętro i odwrócił się. W prowadzącym do oberży przejściu zwieńczonym łukiem nie widać było prześladowców. Nie zaskoczyło to barbarzyńcy. Wyłączenie z walki oszusta i jego wspólnika sprawiło, iż mało prawdopodobne było, by brodacz odważył się pobiec za Cymmerianinem w gąszcz zaułków spowitych w mrokach brytuńskiej nocy. Usatysfakcjonowany Conan schował broń. Odsunął wiszącą w wyjściu ciężką kotarę - i znalazł się twarz w twarz z czyhającą w milczeniu grupą mężczyzn w zbrojach.

Od razu zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z proktorami - strażnikami miejskimi, mającymi za zadanie pilnować ładu w brytuńskiej stolicy. Po wyrwaniu się na oślep z oberży drogę do wolności zagroziło mu czterech uzbrojonych mężczyzn w czarnych strojach. Dwaj natychmiast wykręcili mu ręce do tyłu, trzeci zacisnął na szyi Conana dłoń w zbrojnej rękawicy.

- Cóż my tu mamy? Spóźniony gość... i do tego cudzoziemiec! - Ledwie widoczny w ciemności czwarty z proktorów, sierżant w hełmie ze spiżowym

grzebieniem, odezwał się ponurym głosem. - Powiedz, przybyszu, żądam w imię miasta Sargossy i jego pana, króla Tyfasa, czy wiadomo ci coś o rozboju i krwawym mordzie? Zaledwie przed chwilą słychać było w tej okolicy krzyki i szcęk mieczy.

- Na trzos Bel, nic nie widziałem, nic nie słyszałem! - Cymmerianin szarpnął się ale nadal pozostawał w uścisku żelaznych rękawic strażników. - Puśćcie mnie, albo nauczę was wszystkiego, co wiem o mordowaniu, i to w jednej lekcji!

- Oho! Spodziewasz się, że uwierzę w przysięgę złożoną na boga złodziei? - odparł przebiegle sierżant. - A jeśli już o trzosach mowa, co kryje się w wypchanej sakiewce u twego boku?

Proktor zważył w dłoni grubą kabzę z dźwięczącą zawartością, uchylając się przed kopniakiem pojmanego barbarzyńcy. Po chwili lśniącem nożem przeciął rzemień podtrzymujący trzos i podszedł do światła padającego z wejścia oberży.

- No proszę, skąd tyle złota i klejnotów? - powiedział niby to wesoło, ale głosem nie wróżącym nic dobrego. - Bardzo to podejrzanę, cudzoziemcze. Klejnoty wyglądają na zrabowane. Co ty na to?

- Tak, zostały zrabowane - warknął rozwścieczony Cymmerianin. - Właśnie przed chwilą prawo witemu właścicielowi, czyli mnie, przez czyhających w zasadzce rzezimieszków w czarnych uniformach! - Conan znowu szarpnął się w uścisku proktorów. - Na Croma i Mitrę, oddajcie je po dobroci, inaczej wypruję wam flaki!

- No, no, cudzoziemcze! - na pozór łagodnie odezwał się sierżant. - Przestań się szarpać. Jeżeli chcesz zwrotu prawnie należącej do ciebie własności, powiedz mi, jak wszedłeś w jej posiadanie. Wiedz bowiem, że jeśli była należycie otaksowana przy wjeździe do miasta, zostało to zarejestrowane. - Proktor znacząco odchrząknął. - Jeżeli zaś zdobyłeś ją później w uczciwy sposób, powiedz po prostu, jak do tego doszło. - Na włochaty ogon Gwanaty! - zaklął więzień. - Chyba rzeczywiście masz prawo, by o to pytać. Przybyłem do Sargossy wczoraj z drobną częścią tych dóbr. Resztę wygrałem tej nocy.

- Chcesz powiedzieć, że uprawiałeś hazard dla zysku? Tu, w Sargossie, podczas święta powszechnie czczonego Amaliasa? Wiedz, że w ten uświęcony dzień podobne czyny są zakazane! Musisz ponieść surową karę za zbezczeszczenie wielkiego święta - oczywiście, konfiskujemy też nielegalnie zdobyty majątek.

Ponury głos proktora sprawił, że Cymmerianin nie usłyszał w porę szcządu żelaznych kajdanów. Dopiero ponieważ poczuł, jak zatrząskują się na jego kostkach, założone przez piątego strażnika, który podkradł się niepostrzeżenie w ciemnościach.

- Niech cię diabli porwą, pomioście piekielnego ogara o trzech ogonach! - ryknął Cymmerianin, wierzgając w okowach i przewracając pętających go mężczyzn. - Chcesz mi wmówić, że to miejsce, ten rynsztok, ta zbieranina podłych spelun wyrzeka się na tę właśnie noc swej podłości?! O nie, to tylko kolejny dowód usankcjonowanego złodziejstwa, tak jak pobieranie myta przy wjeździe do tej dziury...

- Dostyc tych buntowniczych wrzasków! - warknął sierżant, chcąc uciszyć wciąż szarpiącego się Cymmerianina. - Taki pozbawiony ogłady łobuz nie ma czego szukać w praworządnej Sargossie. Pewnie nie znasz tu nikogo, kto mógłby się za tobą wstawić? Kogoś na wysokim stanowisku? - Odchrząknął chrapliwie, nie doczekawszy się odpowiedzi od wijącego się w milczeniu więźnia. - Tak myślałem. Nieważne, znajdziemy odpowiednie miejsce dla ciebie. - Podrzucił w dłoni brzęczącą kiesę. - Zdaje się, że lubujesz się w złocie i klejnotach. Doskonale, trafisz w miejsce, gdzie jest ich tyle, że przechodzi to twoje najśmielsze wyobrażenie!

I

Grabieżcy z pogranicza

- Tamsin, córko, gdzie się podziewasz? Chodź pomóc matce! Pora nakarmić kury!

Melodyjny głos niósł się po łące zalanej porannym blaskiem słońca. Jednak Tamsin, ukryta pod wypalonym pniem o rzut kamienia od wioski, nie odpowiadała. Siedziała skulona, obejmowała szmacianą lalkę i przyglądała się opromienionej słońcem postaci matki, widocznej przez szczeliny w korze i zasłone

bladych, wilgotnych traw.

- Tamsin, kochanie, pomóż mi rozsypać ziarno! Wiem, jak lubisz rzucać je kogutowi! - zawołała znowu kobieta, nagarniając w fartuch zboże z glinianej stągwi na podwórku. - Mam nadzieję, że nie zabiłaś, inaczej będę musiała szukać cię po lesie! Wiem, że schowałaś się gdzieś w pobliżu i tak naprawdę masz ochotę mi pomóc! - Głos matki przycichł, gdy odwróciła się i wdzięcznym krokiem przeszła obok chaty w stronę zbitego z desek kurnika. - Potem musimy rozwałkować ciasto na chleb. Jeżeli masz ochotę na bułeczki...

W tym momencie jej głos zagłuszył łopot skrzydeł półdzikiego ptactwa. Tamsin nie reagując patrzyła w stronę chaty. Nie umiała tego nazwać, lecz dobroć i cierpliwość matki były dla niej jakimś ciężarem, któremu uparta cząstka jej duszy starała się oprzeć.

Skuliwszy się w chłodnym cieniu, przycisnęła silniej lalkę do piersi i szepnęła:

- Nie chcemy wracać, prawda, Ningo? Wyjdziemy stąd, kiedy tata wróci do domu na obiad, ale nie wcześniej.

Zgiełk ptactwa zagłuszał inne odgłosy. Dopiero po chwili Tamsin zorientowała się, że stary, kulawy Higgin wyszedł z obory i wołał coś patrząc w stronę łąki za domem. Zaczął też szczekać jeden z psów. Wkrótce dołączyły do niego dwa pozostałe, podnosząc jazgot za stodołą. Nawet Velda poczłapała za mężem, wpatrując się w tę samą stronę.

Tamsin wreszcie ujrzała, co się dzieje. Zza drzew na skraju łąki wyłoniła się łopocząca na wietrze trójkątna jaskrawożółta chorągiew na długim drzewcu. Pośrodku sztandaru widniał wizerunek osobliwego stwora, o tułowiu, ogonie i zadnich łapach lwa, sterczącym, haczykowatym dziobie i rozpostartych skrzydłach drapieżnego ptaka. Przednie łapy zwierza przypominały wielkie ptasie nogi, jak u karmionego właśnie przez matkę Tamsin koguta. Szpony jednej łapy stwór miał wystawione w górę przed siebie.

Proporzec dzierżył jeździec na wspaniałym gniadoszu. Czarnobrody mężczyzna był odziany w skórzany jeździecki strój, wysokie czarne buty i pozłacany hełm. Towarzyszyło mu pięciu ludzi na równie wspaniałych wierzchowcach różnorakiej maści. Konie zbliżały się do obejścia kłusem, spychając z drogi szczekające psy.

W tym momencie matka Tamsin wyłoniła się z kurnika. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z obecności intruzów i spokojnie strzepywała pierze z włosów oraz krótkiej wzorzystej koszuli. Jej nagłe pojawienie się wywołało wśród jeźdźców ożywienie, przerwane stanowczą komendą dowódcy. Zaskoczona młoda kobieta stanęła w miejscu i utkwiała spojrzenie w górującym nad nią brodaczu.

- Jesteśmy żołnierzami z najemnej kompanii Einholtza z Nemedii - powiedział mężczyzna prostacko akcentowaną brytuńszczyzną. - Walczymy po stronie króla Tyfasa w wojnie na południowej rubieży cesarstwa. Jak widzisz, na proporcu widnieje gryf, godło waszego królewskiego rodu. Władca zezwolił nam na przemarsz przez te ziemie.

- Trakt królewski jest o pół mili w tamtą stronę - powiedział starszek Higgin ochrypniętym, lecz stanowczym głosem, wyciągnawszy dłoń w kierunku łąki.

- Wystarczy, że przejedziecie przez polanę i ruszycie wzdłuż strumienia, a na pewno traficie.

- Wiemy, starcze - odrzekł dowódca przy akompaniamencie śmiechów swoich podwładnych. - Mamy rozkaz zdobyć furaz do dalszego marszu. - Brodacz utkwiał spojrzenie w matce Tamsin. - Z nakazu króla nasze potrzeby mają być zaspokajane.

Higgin chrząknął, by na powrót zwrócić na siebie uwagę najemnika.

- To biedne gospodarstwo. Jeżeli jednak powiecie, czego wam potrzeba, spróbuję coś dla was znaleźć.

- Starcze, potrzebujemy zapasów na drogę do samej granicy z Koryntią. Trzeba nam żywności, bydła, wozów, paszy i jucznych zwierząt, jeśli takie znajdziemy. Nasze potrzeby są tak wielkie, że nie zdołasz ich zaspokoić - dokończył ze śmiechem.

- Niestety, jesteśmy bardzo biedni - powiedział stary parobek, jakby nie słyszał ostatnich słów. - Możemy się z wami podzielić pajdą chleba i zupą ze wspólnej misy, ale na więcej nie liczcie.

- Higgin, oddaj im wszystko, czego zechcą - rozległ się nagle głos matki Tamsin.

- Skoro król tak każe - burknął starzec, przenosząc spojrzenie ze swojej pani na jeźdźców. - Pytam jednak, jaką dostaniemy zapłatę?

- Głupcze, naprawdę sądzisz, że król Tyfas w swoim sargosańskim pałacu dba choć krztynę, czy wam zapłacimy, czy też puścimy waszą kurną chatę z dymem?  
- odrzekł dowódca opuszczając drzewce proporca. - Co go to obchodzi, skoro potrzebuje najemników, żeby wygrać wojnę na drugim końcu cesarstwa?

- Jego królewska wysokość dostaje od Koryntiańczyków w tyłek, aż się kurzy! - zaszydził jeden z żołdaków.

- Zgadza się, ale jego lud okazuje się gościnnie! Nie kryje swoich pięknotek! - zawołał inny najemnik.

Przy tych słowach i towarzyszącym im rechocie matka Tamsin rzuciła ukradkowe, przerażone spojrzenie w stronę wykrotu, w którym zaszyła się córka. Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały. Za chwilę kobieta zerwała się i zaczęła biec w przeciwną stronę, pod las. Usłyszała za sobą łoskot końskich kopyt, gdy jeźdźcy ruszyli w luźnym szyku w pościg.

Rozpędzone wierzchowce stratowały Higgina i Veldę. Tamsin zza drzew patrzyła w oszołomieniu, jak staruszkowie zniknęli w kłębach pyłu pod końskimi kopytami.

Pędzący na przedzie jeździec wyskoczył z siodła wprost na matkę Tamsin i obydwójce potoczyli się po kwieciu i trawach...

Tamsin jeszcze długo kryła się pod pnem, ściskając lalkę w objęciach. Widziała, jak mężczyźni po kolei zsiadali z koni i podchodzili do - ukrytej za pasącymi się spokojnie wierzchowcami - kobiety. Najemnicy, którzy nasycili swoje chucie, krążyli wśród zabudowań i wynosili wypchane zrabowanymi rzeczami wory. Wyprowadzili też z obory krowę i wołu. Dwóch żołdaków zniknęło w kurniku, skąd za chwilę rozległ się straszliwy zgiełk. Gdy ucichł, najemnicy wyszli ze środka z pozarzynanym ptactwem. Ucichło też szczenie. Podziurawione strzałami psy leżały na podwórzu.

W końcu jeden z najemników zawołał coś w obcym języku. Pozostali wsiedli na konie. Tamsin spostrzegła, że zaniepokoił ich widok wracającego z pola taty. Ojciec biegł z uniesioną przed siebie długą motyką z ostrzem. Tamsin wierzyła, że tata przepędzi złych ludzi i wszystko będzie jak dawniej. Uniosła lalkę, by Ninga również mogła się temu przyjrzeć.

Ojciec dziewczynki dobiegł do obejścia i ujrzał, co się stało. Zaczął krzyczeć i głośno rozpaczać. Podniósł wyżej motykę jak lancę i rzucił się w stronę najemników. W tej samej chwili dowódca wskoczył na konia i spał go ostrogami.

Wówczas zdarzyło się najgorsze. Dowódca pochylił drzewce z proporcem. Było dłuższe niż u motyki. Grot przeszył ojca Tamsin na wylot. Biedak zastękał tylko jak wół i upadł na bok. Zmięty żółty proporzec na jego piersi zabarwił się krwią.

Widząc śmierć ojca, Tamsin krzyknęła. Na szczęście równocześnie zarżał koń, a po chwili najemnicy zaczęli wiwatować na cześć dowódcy. Dziewczynka opanowała się, zrozumiała, że musi siedzieć cicho. Patrzyła, jak nie zsiadając nawet z konia dowódca wyciąga drzewce z piersi ojca i ponownie wznosi proporzec.

Później najemnicy zaczęli wywlekać jeszcze więcej worków z obejścia. Załadowali je na wóz, zaprzęgli do niego wołu, po czym pognali z resztą bydła po łące. Przed odjazdem wygarnęli węgle z paleniska i rzucali je na dachy, przez cały czas bawiąc się znakomicie. Znaleźli nawet wino. Jeden z żołdaków wyciągnął dłoń z butelką przed siebie, wołając:

- Wznoszę toast za króla Tyfasa i jego hojnych poddanych!

Gdy najemnicy odjeżdżali, budynki zaczynały już walić się trawione ogniem. Tamsin przycisnęła twarz lalki do siebie, by jej towarzyszka nie musiała na to patrzeć.

## II

### Piekielna kopalnia

- Pracować, podłe, skamłające wyrzutki! - Szydercze okrzyki brytuńskiego strażnika z przerzuczonego w górze pomostu odbijały się echem od skalnych ścian.  
- Ryć i kopać, napełniać owocami swego trudu te kosze i wysyłać je na górę!  
Inaczej nie dostaniecie wieczorem pomyj i obierzyn, żeby napełnić brzuchy!

Kopalnię stanowiła zwykła odkrywka - wielki, nierówny dół kamieniołomu, ziejący pod chłodnym pomocnym niebem jak otwarty grób. Zbocza jamy były strome, tworzył je kruchy łupek. Zagubienie miało nieregularny kształt, poszerzało się

bowiem w przypadkowy sposób, w wyniku drażenia lub nieoczekiwanych osuwisk. Tak więc, zaplanowane czy nie, powiększanie kopalni stanowiło groźbę dla trudzących się w dole robotników. Nie przejmowano się jednak licznymi przypadkami kalectwa i śmierci, gdyż pracowali tu wyłącznie skazańcy. Liczyły się tylko wydobyte skarby. Surowe złoto i różne szlachetne kamienie miały dla korony wartość przewyższającą wszelkie cierpienia i męczarnie.

- Mówię ci, Conanie, nie podkuwaj za bardzo południowego zbocza. Trzeba by je wzmocnić stemplami. W spękanej skale nie da się wydrążyć tunelu. Zbyt wielu nieszczęśników przekonało się o tym na własnej skórze.

Ostrzegawcza rada padła z ust Tjaja, współwięźnia i towarzysza Conana w udręce. Był to ilbarsyjski góral, pochodzący z dalekiej krainy na południowym wschodzie. Jego błędem było przybycie do Sargossy, by tam szukać fortuny. Okazała się dla niego ostatecznie niełaskawa. Ilbarsyjczyk i Cymmerianin pochodzili z mieszkających w różnych krańcach świata barbarzyńskich plemion. Tworzyło to więc wyróżniającą ich spośród pozostałych więźniów - szubieniczników i wyrzutków z rynsztoków brytuńskich miast. Bogom jednym było wiadomo, w jaki sposób Tjai znalazł się setki mil od rodzimych stron. Spryt i wytrzymałość chudego górala można było porównać z siłą i tężyzną Cymmerianina.

Sam Conan nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje i w jaki sposób tutaj trafił. Po aresztowaniu i uwięzieniu w stolicy zadbano, by nie mógł sprzeciwić się prześladowcom. Strażnicy w lochach rzucali mu co jakiś czas w twarz szczyptę proszku z białego lotosu o czasowo osłepiającym i paraliżującym działaniu. Pod wpływem odurzającej substancji barbarzyńca pogrążał się stopniowo w głębokie otępienie, w którym jego jedyną myślą było pragnienie kolejnej dawki lotosowego proszku. Cymmerianin pamiętał tylko, że skutki z dziesiątką innych otumanionych więźniów jechał nieskończenie długo w jakimś drewnianym pojeździe - wozie lub barce. Zresztą żaden z więźniów nie orientował się dobrze w położeniu, byli na to zbyt odurzeni. Wiedzieli jedynie, że u celu jest niewolnicza kopalnia na północy kraju: odległy skarbiec niezmiernych bogactw, skąd nikt nie wracał żywy.

Conan żałował, że w narkotycznym oszołomieniu uznał tę perspektywę za kuszącą. Przeklinał siebie i los, że nie wykorzystał jedynej szansy ucieczki. Podczas przeprawy wąskimi górskimi ścieżkami przywiązano go do grzbietu muła. Cymmerianinowi zabrakło jednak sił - lub woli - by wyzwolić się z pęt, zabić paru prześladowców i zaszyć się w zaroślach. W jego otępiałym umyśle kołatała się nadzieja, że jadanie do więzienia, lecz obozu pracy, z którego zdoła po pewnym czasie uciec. Towarzyszył temu pomysł, iż opłaca się poznać położenie kopalni. Być może z czasem uda mu się ukryć w jakimś ustronnym zakątku cząstkę wydobywanego z niej bogactwa.

Istotnie, poznanie lokalizacji tak bogatych żył - lub przynajmniej przebiegu dróg, którymi urobek kopalni transportowano w cywilizowane okolice - stanowiłoby wyczyn godny śmiałego i doświadczonego złodzieja. Wszelako ciągnęła niepewność co do położenia odkrywki i ścisły dozór nad więźniami sprawiały, że nadzieje Conana okazały się złudne. Istnienie kopalni stanowiło doskonale strzeżoną tajemnicę państwową. Okazało się również, że trudniej stąd uciec niż z jakiegokolwiek celi, w której kiedykolwiek zamykano Cymmerianina.

- Conanie, przez twój godny wołu zapał do pracy narażasz nas obojgu na niebezpieczeństwo! - wykrzyknął Tjai. - Jeżeli pode - tniemy dalej to zbocze, osunie się pod własnym ciężarem. Tyle osiągniesz, że będziemy mieli pogrzeb za darmo! - Ilbarsyjczyk wsparł kilof na zębatym odłamie łupku. Pot z jego szczupłych, oliwkowych ramion ściekał po uchwycie narzędzia. - Poza tym tu nie ma złota! Jeżeli tak ci na nim zależy, pomóż drażyć tamtą jamę!

Tjai wskazał zalany blaskiem słońca róg kopalni, gdzie pół tuzina obszarpanych więźniów z gorączkowym, bezcelowym zapamiętaniem kuło skalną ścianę, iskrzącą się ciemnożółtą rudą i różowawymi kryształami.

- Nie, Tjai, wiem, co robię - mruknął Conan. - Pomóż mi skuć ten słup, który nie pozwala nam się ruszyć. Przynajmniej znikniemy z oczu strażnikom i będziemy mieli spokój z ich przekłętymi szyderstwami i pokrzykiwaniem. Ach, niech Crom porwie te marne brązowe kilofy! Tępią się tak szybko, że można nimi do upadłego nadaremnie walić w skałę!

Zagnani do niemilosiерnej harówki skazańcy nie opuszczali kopalni. Pracowali, spali, jedli i wypróżniali się w zasnutej kamiennym pyłem jamie. Za dnia woleli kryć się w cieniu, zalegającym pod północnym zboczem, natomiast w nocy starali się spać na nagranych przez słońce skałach po południowej stronie.

Conan nie widział, by kiedykolwiek skorzystano z drabiny; ani razu na dół nie zszedł żaden ze strażników czy pracujących na zewnątrz wolnych ludzi. Czasami widać było zwisające z góry liny, lecz Cymmerianin wiedział, że nie ma co liczyć na wydostanie się tą pozornie nie pilnowaną drogą na wolność. Rozlubowani w brutalnych żartach strażnicy zabawiali się, przecinając sznury lub rozwijając je tak, by zwiedziony więzień mimo wspinaczki stale pozostawał na tej samej wysokości. Tjai od razu powiedział mu, iż wielu nieszczęśników zginęło w ten sposób lub zostało kalekami.

- Nie, ilbarsyjski psie! - warknął bez rzeczywistej złości Conan. - Przestań kopać tak blisko drugiego filaru! Przecież widzisz, jaki jest wąski i kruchy. Wyszarpnięcie tego stempla sprawiłoby, że osunąłby się pod własnym ciężarem. Widzisz, że tylko ten filar podtrzymuje wielki nawis nad naszymi głowami. Kop ostrożnie, jak sam mnie ostrzegałeś!

Strażnicy kopalni nosili płowożółte bluzy i podszyte futrem stalowe hełmy - strój charakterystyczny dla doborowych oddziałów brytuńskiej armii. Mieszkali na górze, na obrzeżu kopalni. Dozorowanie więźniów ułatwiały im zabezpieczone linami wąskie pomosty, otaczające cały obwód zagłębienia. W regularnych odstępach ustawione były również budki strażnicze, które w przypadku groźby osunięcia się skalnej ściany można było odciągnąć dalej od brzegu na drewnianych płozach.

Zadaniem strażników było - prócz pilnowania robotników - utrzymywanie w należyłym stanie pomostów i budek, rozdawanie żywności i narzędzi oraz nadzorowanie wywożenia rudy i wyrobionej skały. Tym ostatnim zajmowali się sami skazańcy, posługując się koszami z metalowej siatki; żołnierze zaledwie sprawdzali zawartość koszy. Wartownicy wypełniali obowiązki nie bacząc, czy strącane przez nich z góry mniejsze i większe kamienie nie sypią się więźniom na głowy. Strażnicy mogli również kierować przebiegiem prac rozkazami wykrzykiwanymi przez tuby, wymuszali posłuszeństwo ciskanymi z góry kamieniami i odpadkami. Do ścisłego dozoru uciekano się rzadko - jedynie wtedy, gdy wartownikom zdawało się, że skazańcy sabotują pracę.

Przeważnie strażników cechowały lenistwo i samowola. Mogli z łatwością przyspieszyć tempo wydobywania, od nich bowiem zależało dostarczanie więźniom pożywienia. Zrzucali im ziarno i prowiant zależnie od efektów pracy. Niewątpliwie kontrolowaliby również dostawy wody, jednak natura odebrała im możliwość użycia tego środka nacisku. Po dnie kopalni płynął strumyczek, biorący początek w skalnej szczelinie i niknący w rozpadlinie po przeciwległej stronie jamy. Większość czasu strażnicy spędzali na grze w kości lub zakładaniu się, czy trafią kamieniami w harujących w dole skazańców.

- Teraz musimy stąd wyjść, Tjai. - Prostując potężne ramiona, Conan otarł pot i pył z zakurzonej twarzy. - Miałeś rację, harówka w takiej wąskiej dziurze to głupota, zwłaszcza gdy nad głową zawisło pół góry. Prawie było słychać, jak się osuwa. Uciekamy!

Cymmerianin odrzucił krótki kilof i ujął w dłoń splecioną z powiązanych ze sobą kawałków linę. Obydwaj towarzysze niedoli wyszli z szerokiej wnęki, którą wspólnymi siłami wykuli w górskim zboczu.

- Hej, straceńcy, odsuńcie się od stoku! Tjai i ja słyszeliśmy trzeszczenie! Skała się obsuwa! Ratuuj się, kto może!

Krzyk sprawił, że znajdujący się w pobliżu skazańcy podnieśli głowy. To, co ujrzeli, sprawiło, że rzucili narzędzia i za przykładem Cymmerianina odskoczyli od zbocza. Wkrótce co najmniej dwudziestu umorusanych brodatych nieszczęśników gramoliło się z okrzykami paniki po zasłanym skalnymi odłamami stoku na odkrytą, środkową część jamy.

- Nie słychać, żeby coś trzeszczało - oświadczył w końcu jeden z zarośniętych szubieniczników. - Co to ma znaczyć, kolejny fałszywy alarm? - Barbarzyńca ma pietra - rzucił szyderczo inny skazaniec przez rzadkie, połamane zęby. - Weź się w garść, przyjacielu. Tylko tego by brakowało, żebyś stracił głowę i zaczął wspinać się po zboczu, zwalając nam skały na głowę. Zdarzyło się to już wielu lepszym od ciebie.

- Zwalając skały? Dobry pomysł! - zawołał w odpowiedzi Cymmerianin. - Jeżeli chcecie nam pomóc, łapcie za linę!

Pokazał im sznur, który pociągnął za sobą ze skalnej wnęki. Zaczął stopniowo naciągać linę, a gdy się napięła, pociągnął z całych sił. Pojawszy intencje Cymmerianina, Tjai uśmiechnął się i przyłączył do niego. Za jego przykładem poszło kilkunastu innych, chwytając wolny kawałek sznura. Zaczęli

śpiewać, jak wtedy, gdy jak co dnia wciągali urobek na górę.

- Raz, dwa, trzy! - komenderował Conan, a jego towarzysze ochoczo wyteżali mięśnie, aż lina napięła się, podrygując w półcieniu.

Wynik ich wysiłków był dość zaskakujący. Rozległo się skrzypienie drewna, grzechot odłupywanych kamieni, wreszcie lina zwiśla luźno po przewyciężeniu oporu. Skazańcy stracili równowagę. Klęli i starali się ją odzyskać na nierównym podłożu, nie spuszczała jednak wzroku ze wznoszącego się nad nimi urwiska.

U podstawy skalnego nawisu rozległ się stopniowo narastający chrzęst, i trzeszczenie. Po szczególnie głośnym łupnięciu z głębi wnęki buchnął wysoki kłęb pyłu, z góry poczęły osuwać się strużki drobnych kamieni. Wreszcie z ogłuszającym łoskotem całe zbocze poczęło osuwać się do przodu i w dół.

Podnosząc zaciśnięte pięści, skazańcy zaczęli triumfalnie krzyczeć, co natychmiast zagłuszył potężny hałas pękających, walących się skał. Więźniowie odskakiwali coraz dalej, by uniknąć przysypania lawiną ostrych głazów.

Powietrze przepełniał upiorny łomot, w górę wzbijały się kłęby gryzącego pyłu, ziemia trzęsła się od impetu spadających z góry skalnych odłamów. Gdy wreszcie zapanował względny spokój, przed grupą skazańców rozpostarła się szeroka grzęda z luźno zwalonych głazów, niknąca u szczytu zbocza pomiędzy obłokami wzburzonego kurzu.

- Na górę, jeśli wam wolność miła! - krzyknął Conan. - Musimy się tam wdrzeć, zanim pył opadnie!

Zaczął pokonywać skalną grzędę wielkimi skokami, a za nim podążali zbuntowani więźniowie. Skalne osuwisko uniemożliwiało szybką wspinaczkę. Nierówne, kruszące się pod nogami i usuwające spod stóp głązy sprawiały, że w każdy krok trzeba było wkładać mnóstwo wysiłku. Conan wypatrywał wśród rumowiska jak największe odłamki skał i przeskakiwał z jednego na drugi. Im wyżej się znajdował, tym łatwiej było się posuwać, chociaż stok był tu jeszcze bardziej stromy.

Wrzeszczący i skaczący z radości skazańcy rzucili się za barbarzyńcą do straceńczej wspinaczki. Ożywało w nich na poły zapomniane marzenie o ucieczce. Niektórzy - najzwinniejsi, żyłaści weterani kopalnianej niedoli - zdołali nawet wyprzedzić Cymmerianina. Szarża obdartych, zarośniętych skazańców, wymachujących z podnieceniem ramionami, przypominała bardziej atak zbiorowego szału w przytułku dla szaleńców niż bunt więźniów. Tjai trzymał Conana za ramię, co im obydwu pomagało w zachowaniu równowagi. Na twarzy Ilbarsyjczyka malowała się gorączkowa nadzieja na odzyskanie wolności.

- Doskonały pomysł, Conanie! - zdołał wykrztusić Tjai po drodze na górę. - Nie wiedziałem, że znasz się tak dobrze na skałach! Zdawało mi się, że za krótko jesteś w kopalni! A jednak udało ci się, chociaż nie dawałem za to złamanego miedziaka!

Cymmerianin odwrócił się i chwycił obydwoma rękami ramię towarzysza w geście przypominającym powitanie legionistów. Pomogło mu to wciągnąć szczupłego Ilbarsyjczyka na głąz wielkości chaty.

- Polowałem na górskie owce na szczytach mojej rodzinnej krainy, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Znam się na skałach nie gorzej niż kozice.

- To widać, Conanie! - potwierdził Tjai, zmrużył oczy i wyciągnął dłoń przed siebie. - Widzisz? Pełno kurzu, ale wydaje mi się, że to osuwisko sięga skraju kopalni!

- Tak, niech mnie Crom zdzieli! - zaklął radośnie Cymmerianin. - Ale po trzykroć przekłęci strażnicy na pewno zdążyli domyślić się, o co nam chodziło! Prawdziwa przeprawa dopiero przed nami!

Dotarli tak wysoko, iż mogli przyjrzeć się, jakie szkody skalny zawał wywołał w umocnieniach na skraju kopalni. Jeden z pomostów wisiał nad skarpią kamieni, pomiędzy głazami widać było zmiażdżone ciało strażnika. Dwaj inni przycupnęli na ocalałym kawałku pomostu. Mimo kłębów pyłu wyraźnie widać ich było na tle jasnego, zbawiennego nieba. Jedna z budek strażniczych chyliła się nad przepaścią, jej zaokrąglone drewniane płozy sterczały do góry.

- Stać! Natychmiast wracać na dół! Nie zbliżajcie się do skraju kopalni, bo zginiecie! - rozległ się głos strażnika wołającego z przyłożonymi do ust dłońmi. - Tak, śmierdzące łotry! Zabierajcie się natychmiast z powrotem na dół! - zabrzmiał jeszcze bardziej wściekły wrzask drugiego wartownika. - Czeka was sprzątanie piekielnie wielkiej sterty głazów, parszywe kundle!

Obok wspinającego się Conana poczęły spadać kamienie, a każdy z nich był

wystarczająco duży, by ogłuszyć lub zabić. Miotali je z proc wartownicy stojący w oknach budek. Dołączali co nich coraz to nowi, pojawiający się na nie dotkniętej osuwaniem się części obwodu kopalni. Grad kamieni był coraz gęstszy; rozległ się trzask pękającej kości, biegnący w przodzie siwobrody więzień chwycił się za ramię i osunął po stoku. Spadając, zbił z nóg co najmniej dziesięciu innych skazańców, aż wreszcie znieruchomiał z ociekającym krwią barkiem i makabrycznie wykręconą złamaną nogą.

Nie zatrzymało to jednak pozostałych więźniów, przeciwnie, zaczęli wspinać się jeszcze szybciej. Ich szaleńczo rozszerzone oczy utkwione były w skraju urwiska. Zmierzali do celu obok zwieszającego się pomostu i znajdujących się na nim strażników, lecz Conan i wspinający się tuż za nim Tjai ruszyli wprost ku nim.

Potykający się o głazy Cymmerianin chwycił luźno wiszącą linę i za jej pomocą zaczął piąć się jeszcze szybciej w górę. Dotarł do przekrzywionego pomostu, który dał częściowo osłonę przed ostrzałem procarzy. Kamienie uderzały w cienkie deski, ryły w nich bruzdy i spadały z łoskotem u stóp barbarzyńcy.

Dwaj wartownicy na pomoście uzbrojeni byli jedynie w sztylety. Otrząsnawszy się z oszołomienia, jęli przecinać grube, nasmołowane sznury, podtrzymujące zwieszający się nad przepaścią kawałek chodnika.

- Tjai, łap! Ciągnij, teraz!

Wpadłszy równocześnie na ten sam szatański pomysł, Cymmerianin i Ilbarsyjczyk poczęli szarpać za luźno zwisające liny. Jeden ze strażników nad nimi zdołał uczeplić się nierównych desek, jednak drugi, zaskoczony, wypadł za skraj pomostu. Spadając, wrzasnął rozpaczliwie i zatrzymał się w płataninie lin tuż nad głową Conana. Jego długi, wąski sztylet wypadł wprost w ręce Cymmerianina.

- Witaj, przyjacielu! - zawołał Conan, lecz strażnik już nie żył; skręcił sobie kark w kłębowisku sznurów. Barbarzyńca ściągnął go na dół i przytrzymał kołyszące się liny. - Musimy jak najszybciej wspiać się na górę! - zawołał do Ilbarsyjczyka.

Zacisnął zęby na ostrzu sztyletu i nie zważając na wciąż spadające wokół niego kamienie, zaczął wdrapywać się po prowizorycznej drabinie. Wreszcie dotarł do wiszącego fragmentu pomostu; piął się dalej, wsuwając palce stóp w wąskie szczeliny między deskami. Ze zręcznością pająka dotarł do poziomego odcinka, skąd wpatrywał się w niego z przerażeniem jeden z ocalałych strażników.

- Naprzód, przyjaciele! Właźcie na górę po tej skarpie! - rozlegały się z dołu krzyki więźniów. - Walczcie. Aach!!

Nawoływania i krzyki więźniów, brnących na szczyt urwiska przez gęsty grad pocisków, odbijały się echem od skalnych ścian. Kilku skazańców leżało martwych lub rannych na głazach, lecz pozostała, rozproszona dwudziestka dotarła pod ostatni występ, za którym zebrało się co najmniej dziesięciu czekających na nich strażników.

Conan tymczasem posuwał się po pomoście jak okrętowy szczur, wyczuwający woń pleśniejacej wołowiny. Tjai za nim z równą zręcznością chwycił się luźnych lin. Strażnik nad nimi przestał przecinać sznury i zastanawiał się, czy nie lepiej pierzchać z chylącego się nad przepaścią chodnika. Conan mamrotał niezrozumiałe przekleństwa przez zaciśnięte tak silnie usta, że pobieleałe wargi przypominały wąskie ostrze noża.

Nagle z boku urwiska rozległ się ponowny łoskot. Na ułamek sekundy Cymmerianin zatrzymał się i ujrzał, że zdesperowani wartownicy spuścili nową lawinę kamieni. Pomogło im w tym strącenie w przepaść strażniczej budki - grupka rażno pokrzykujących żołnierzy cesarstwa przecięła liny i zdołała zepchnąć ją za skraj urwiska. Staczając się na dół, zbita z belek i cienkich desek drewniana buda rozpadła się na drobne kawałki. Jej śladem osuwały się ciężkie kamienie, zbierające z drogi wszystko, co napotkały. Nie można było ich ani ominąć, ani oprzeć się impetowi uderzeń. Masa osuwających się kamieni przewracała wspinających się skazańców. Po przejściu lawiny niektórzy z więźniów leżeli bezwładnie na stoku, inni zniknęli przywaleni kamieniami.

Pośród okrzyków strażnicy gotowali się do stawienia czoła pozostałym zbuntowanym skazańcom. Wydawało się, że w końcu nikomu nie uda się uciec.

Wydając z siebie nieartykułowane wściekłe okrzyki, Conan pokonał ostatnie deski pomostu i chwycił samotnego, oszalałego ze strachu brytuńskiego strażnika za kołnierz bluzy. Dokładnie w tej chwili mężczyzna zdołał ostatecznie przeciąć podtrzymującą chodnik linę. Płatanina sznurów opadła w dół, zmieniając

ułożenie pomostu. Cymmerianin nie zdołał się utrzymać, runął w tył, tracąc sztylet, lecz nie rozluźniając dłoni na bluzie wartownika. Zwalając po drodze z nóg Tjaia, Conan i strażnik zsunęli się po ustępujących pod ich ciężarem linach i runęli wprost w lawinę głazów.

- Ach, i tak było warto - stwierdził Tjai w zamyśleniu. - Gdyby strażnicy nie mieli tyle szczęścia, że zginęli, przynajmniej mielibyśmy zakładników.

Siedzącemu obok na płaskim kamieniu Conanowi słowa Tjaia nie wydały się rzeczywiście pocieszające. Prawdę mówiąc, były co najmniej równie ponure i pełne rozpacz, jak smętne rozmyślenia niepokieszonego Cymmerianina. W odpowiedzi tylko niezrozumiale mruknął. Rozmowa ugrzęzła, słychać było tylko szmer strumyka roziskrzzonego w blasku księżyca i niknącego w skalnej szczelinie.

- Nawet gdybyśmy zginęli, warto było spróbować - podjął rozważania po paru chwilach Ilbarsyjczyk.

- Może - burknął Conan. - Ale z całą pewnością nie warto było przeżyć, żeby to dalej znosić! - Mocno napiął mięśnie, ale jęknął z bólu. Widoczne przez porozdzieraną koszulę ciało na plecach i bokach stanowiło jeden wielki siniak. - Mój pomysł kosztował życie tuzin bezradnych biedaków. Teraz ci, którzy przeżyli, rozgoryczeni unikają i mnie, i ciebie, ponieważ od początku trzymaliśmy się razem. Zatraceni strażnicy nadal rzucają w nas z góry czym popadnie i czepiają się mnie przy każdej okazji, bo zyskałem wśród nich opinię wichrzyciela.

- Prawda - przyznał posępnie Tjai. - Nie mamy ani krzty szczęścia. Od dawna noszę w przepasce mały zapasik klejnotów na wypadek, gdyby udało mi się uciec. Wiedziałaś o tym, przyjacielu? - Ilbarsyjczyk poklepał się po wąskim pasku płótna na biodrach, wyjął małe, wyświechtane zawiniątko i rozłożył zawartość na kamieniu. W blasku księżyca zalśniły złote samородki i kolekcja nie oszlifowanych klejnotów: turkus, ametyst, jaspis, chryzopaz i rubin. - Każdy tutaj nosi ze sobą coś takiego, a ty?

- Mhm - mruknął twierdząco Cymmerianin, wyjął z zanadrza podobne zawiniątko i opróżnił je niedbałym ruchem. - Nie są tak starannie dobrane, bo miałem mniej czasu. Wygląda na to, że zdążę nadrobić zaniedbanie. - Potrząsnął czarną czupryną i zaklął: - Na Croma, czy już zawsze będziemy kuć skały, zbierać odłamki, ładować je do wiader i wciągać na górę? Do końca życia będziemy grzebać w tej piekielnej dziurze, żeby zaspokoić apetyt na złoto i klejnoty panów Brytunii? - Wiem, że ci ciężko. - Tjai zebrał swój skarb i wsunął zawiniątko z powrotem pod przepaskę. - Z upływem dni człowiek przyzwyczaja się do harówki i snu, snu i harówki. Przestaje się nawet przejmować, że ma do czynienia z klejnotami. Wolność była już tak blisko, na wyciągnięcie ręki, i nagle odebrano nam na nią nadzieję... - potrząsnął głową. - Gdy człowiek myśli o swobodzie, o powrocie do rodzinnych stron, ujrzeniu swoich bliskich, i wie, że nic z tego nie będzie, odechciewa się żyć.

- Tak! - Cymmerianin potrząsnął daremnie zaciśniętą pięścią w stronę skalnej szczeliny i pnącego się nad nią urwiska. - Flaki mi się przewracają, - gdy patrzę na te zbocza. Od urodzenia chodziłem po górach i wspinałem się na bardziej strome i gładziej urwiska. Te skały są jednak na tyle twarde, że kaleczą ciało przy każdym dotknięciu, a tak kruche, że odłamują się pod ciężarem stopy. Nawet jeśli człowiek zdołałby znaleźć punkt oparcia, na dół posypie się tyle żwiru, że zwróci to uwagę wartowników. Gdybym nawet zdołał wspiać się na górę, nie uszedłbym dziesięciu kroków od skraju urwiska, nie ściągając na siebie gradu kamieni, strzał i śmieci! - Cymmerianin wsparł łokieć na kolanie, podpierając brodę gniewnie zaciśniętą pięścią. - Może spróbuję jeszcze ucieczki, ale jeśli do tego dojdzie, ostrzegam cię, Tjai, zrobię to sam. - Spojrzał ponuro na szczupłego Ilbarsyjczyka. - Nie chcę, żeby kolejni niewinni ludzie ponosili koszty moich pomysłów.

Kilka dni później Tjai niepostrzeżenie zszedł za Conanem po pylistej skarpie, prowadzącej do rozpadliny, w której niknął strumień. Ilbarsyjczyk przyglądał się, jak Cymmerianin dobrnął do środka rozlewiska i obmył lodowatą wodą twarz oraz tułów.

Wreszcie jakiś zwierzęcy instynkt ostrzegł Conana, że jest obserwowany. Barbarzyńca wyskoczył na brzeg strumienia i chwycił za kilof. Chudy Ilbarsyjczyk roześmiał się i wyszedł zza skał.

- Powiedz, Conanie, nie zamierzasz już tu długo zabawić, prawda? Jaki

masz plan?

- Tjai, o czym ty bredzisz? Zwariowałeś, że skradasz się tak za mną?

- Czy zwariowałem? Myślę, że nie, Conanie. To tobie poprzestawiało się w głowie. Ostatnio krążysz z kąta w kąt, zły jak wilk, gotów z byle powodu rozwalić człowiekowi głowę. Nie można się z tobą dogadać, bo tylko prychasz i powarkujesz. - Góral miał przebiegłą minę. - Widzę, że obmyślasz plan ucieczki, Cymmerianinie, i wiem, że zamierzasz zrobić to niedługo. Chcę, żebyś mnie zabrał ze sobą! Powiedz mi, co uknułeś?

Ociekający wodą, pokryty gęsią skórą barbarzyńca przykucnął nad rozlewiskiem strumyka i ponuro pokręcił głową.

- Nieważne, jaki plan wymyśliłem, ponieważ jeśli nawet go mam, nie zamierzam z nikim się nim dzielić. To mnie chcą zabić strażnicy, nie ciebie. Ani ty, ani nikt inny nie może podążyć za mną, nawet gdybym do tego dopuścił. Masz zostawić mnie w spokoju, rozumiesz?

- Gadaj, łotrze! - Potrząsnawszy swoim obtłuczonym kilofem, śniady Ilbarsyjczyk przybrał bojową pozę. - Miałeś rację: jestem na poły szalony i postradam rozum do reszty, jeżeli nie zdołam uciec z tej śmierdzącej dziury! Nie przeżyję nawet tygodnia więcej w tej norze, Cymmerianinie! Wyświadczyć mi łaskę i pozwól nawet zginać, ale chcę próbować wyrwać się na wolność!

Głębokie cienie pod oczami górala zdawały się potwierdzać groźbę, iż oszalał. Jego wołania odbijały się echem od skalnych ścian rozpadliny.

- Bądź już cicho, Tjai. Pleciesz bzdury! - odpowiedział uciszając Ilbarsyjczyka barbarzyńca. - Posłuchaj, obiecuję ci, że jeśli zdołam uciec, wrócę tu, by wywieźć parę wozów takich błyskotek - klepnął po zawiniątku z klejnotami - i zemścić się na strażnikach. Myślisz, przyjacielu, że przepuściłbym szansę zdobycia takich bogactw? Myślisz, że tyle czasu znosiłem obelgi tych szubrawców, by im je darować? Czekaj na mnie spokojnie, a kiedy wrócę, razem poderżniemy gardła paru Brytuńczykom z niewyparzonymi gębami, uwolnimy wszystkich twoich kompanów i jeszcze się przy tym wzbogacimy. Ale teraz skończmy już tę paplaninę!

- Masz do wyboru jedno spośród trzech rozwiązań, Conanie. - Tjai stał niewzruszenie przed Cymmerianinem, wciąż wznosząc kilof. - Możesz patrzeć, jak wychodzę na środek kopalni i krzyczę, że planujesz ucieczkę. Możesz zabić mnie, by temu zapobiec. Możesz też powiedzieć mi, jaki masz plan. Lepiej gadaj, i to natychmiast, bo nie zamierzam dać się nabrać na twoje czcze obietnice!

Conan uniósł groźnym ruchem swój kilof, po chwili odrzucił go jednak z łoskotem na kamienie.

- Dobrze, Tjai! Niech diabli porwą wszystkich wścibskich górali! Powiem ci, jeżeli przysięgniesz, że nie wygadasz się przed innymi ani słowem. Sam jednak zrozumiesz, dlaczego nie mogę zabrać cię ze sobą. - Kiedy mi powiesz, i tak ruszę twoim śladem - zaoponował Tjai.

- Dosyć! - przerwał mu brutalnie Cymmerianin. - Umiesz pływać, ilbarsyjczyku psie?

- Pływać? - Tjai był wyraźnie zaskoczony. - A na co wyglądam, Cymmerianinie, na rybę czy na człowieka? Nikt przecież nie umie oddychać pod wodą!

- Tak myślałem! - westchnął Conan. - Górale nie mają o tym pojęcia. Sam nauczyłem się pływać, kiedy w zszytych ze skór łódkach wyprawiałem się na wanirskie faktorie handlowe na dalekiej Pomocy. Od czasu do czasu przydaje mi się ta umiejętność.

- Conanie, nie bądź głupcem! - Tjai potrząsnął głową. - Ostrzegam cię, jeżeli myślisz o próbie przepłynięcia podziemnym strumieniem, czeka cię pewna śmierć! Opowieści wyraźnie głoszą, że ta rzeka płynie wprost do Tartaru, królestwa zmarłych, chyba jedyne miejsce, gorsze niż ta dziura! - Skazaniec splótł ramiona na piersiach, z niezmaconą pewnością, iż krążące wśród więźniów przekazy zawierają wyłącznie prawdę. - W każdym razie pod ziemią nie ma powietrza. Będziesz walić głową o pogrążone w wodzie szczyrbate skały, aż się udusisz. Niejeden oszalał z rozpaczki skazaniec próbował tej drogi ucieczki i już o nim więcej nie słyszano.

- Czego to dowodzi? Że zginęli, czy też wykazali zdrowy pomysłunek? - Conan potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. - Nie, Tjai, nie chciałbym cię przekonywać, skoro i tak nie zamierzam zabrać cię ze sobą. Mówię ci jednak, że nie powinieneś z góry zakładać, iż zginę. W takich jak ta podziemnych jaskiniach pod sklepieniem zwykle znajduje się dość powietrza. Powinno być też

wystarczająco jasno dzięki światłu przesączającemu się przez szczeliny w tunelach kopalni.

- Skąd o tym wiesz? - spytał ponuro Ilbarsyjczyk.

- Wypływałem pod skały w tajemnicy. Trzy... nie, cztery razy. Za każdym razem starałem się wytrzymać pod wodą coraz dłużej. Ostatnio przepłynąłem co najmniej pięćdziesiąt kroków. Nawet tak daleko jest powietrze, przynajmniej dla jednego człowieka, jeżeli nie zatrzyma się na zbyt długo. - Złożył poważnym gestem dłoń na ramieniu przyjaciela. - Wiem, że powietrza jest za mało dla dwóch ludzi. Za miejscem, do którego zdołałem dotrzeć, skalna szczelina się zwęża, a prąd staje się bardzo szybki. Nie sądzę, bym sam zdołał wrócić z powrotem, gdybym wypłynął dalej. - Zwalisty Cymmerianin pokręcił głową. - Zamierzałem zapuścić się dziś jeszcze dalej. Lina na nic by mi się nie przydała, bo i tak w końcu musiałbym ją zostawić i zaufać strumieniowi. Nie zobaczysz mnie więc znowu, chyba że wrócę tu z bandą łamignatów, by was uwolnić - dokończył, by dodać towarzyszowi otuchy.

- Zabierz mnie z sobą, Conanie! - rzekł błagalnie Ilbarsyjczyk, odkładając kilof. - Zaczekaj jeszcze parę dni, pokaż mi, jak pływać i wstrzymać oddech pod wodą. Wiem, że zdołam się tego nauczyć!

- Nie w ciasnym, podziemnym strumieniu. Nie dasz rady, nie jesteś rybą. Samo to, że woda jest bardzo zimna, wystarczy, by człowiek stracił przytomności. Pytam cię, kto jeszcze oprócz mnie pływa w strumieniu, a chociażby myje się w nim? - Cymmerianin pogrążył się w rozlewisku po kolana, nadal przyzwyczajając ciało do zimnego prądu. - Nie, przyjacielu, musisz cierpliwie na mnie czekać i starać się unikać kłopotów. Przysięgam, że tu wrócę - chociażby ze względu na ciebie, ponieważ reszta tych szubieniczników nic dla mnie nie znaczy.

- Conanie, musisz zabrać mnie ze sobą! Poczulem zapach wolności!

- Przestań! - Cymmerianin ochlapał garścią zimnej wody Ilbarsyjczyka, który cofnął się instynktownie. Conan wszedł do głębszej części rozlewiska, aż pogrążył się po pas. - Jeżeli utonę, i ty też stracisz życie. Jeśli przeżyję, może zdołam cię uwolnić. Tak czy inaczej, najlepiej będzie, jeżeli zaczekasz na mnie, nie tracąc nadziei. - Po chwili Conan przykucnął, pozwalając lodowatemu prądowi omywać jego pierś i barki. Schylił głowę pod skalnym występem, spod którego dobiegł odbijający się echem jego głos. - Zaczekaj tu trochę, skoro masz na to ochotę! - zawołał. - Dowiesz się przynajmniej, czy nie ugrzązłem na jakiejś niewidzialnej przeszkodzie. Gdyby mi się nie udało, to żegnaj!

Cymmerianin wziął głęboki oddech i zanurzył się pod wodę.

Zimno było tak bardzo, że zmuszało to Conana do szybkich ruchów.

Lodowaty chłód ogarnął jego kark i barbarzyńca miał wrażenie, jakby sklepienie czaszki pokrywał mu zmrożony hełm. Po paru chwilach uczucie zimna zaczęło jednak ustępować ze zdrętwiałej skóry. Rozgarniając wodę na boki jak żaba, Cymmerianin zanurkował pod skalisty występ na skraju piaszczystego dna rozlewiska.

Po drugiej stronie rozpadlina rozszerzała się, jej mętna głębia oświetlona była słabą poświatą. Żeby zachować właściwe tempo, Conan posuwał się szybciej niż opływający go wartki prąd wody. Poruszał się zdecydowanie, lecz bez zbytniego pośpiechu. Od czasu do czasu grzbiet drapały mu sterczące ze sklepienia ostre jak sztylety i zimne jak lód iglice.

Przed Conanem pojawił się ledwie widoczny w mętym świetle upiorny zakątek, o którym Cymmerianin nie wspominał przesadnemu Ilbarsyjczykowi, by nie wywołać u niego panicznego strachu. Dno zalegało przypominające niesamowity ogród zbiorowisko kości. Tu i ówdzie ziały puste oczodoły, gdzie indziej złote samorodki i klejnoty wysypywały się z przegniłych sakiewek. Były to nagromadzone przez stulecia szczątki skazańców, którzy - obciążeni balastem szlachetnych kamieni - daremnie szukali drogi na wolność i znaleźli jedynie zagładę. Zapewne brakowało im umiejętności pływania lub nie zdołali zaczerpnąć powietrza. Tak czy inaczej, Conan wierzył, że lepiej sobie poradzi.

Prąd podziemnego strumienia sprawił, że przed gęsto zalegającymi kośćmi utworzył się kopiec drobnych kamieni. Cymmerianin pamiętał, że za tą trudną przeszkodą znajduje się zachylek wystarczająco wysoki, by można było w nim zaczerpnąć dostatecznie dużo powietrza. Nieco dalej znajdowała się szczelina, przez którą z góry wpadało światło. Była niestety zbyt wąska, żeby można było tam odetchnąć, a tym bardziej wy dostać się na zewnątrz.

Cymmerianin zanurkował bliżej dna strumienia, odczuwając przesadny strach przed dotknięciem porośniętych glonami kości. Tracił głową dolny skraj skalnego występu, bardziej wyczuwalny dotykem niż widoczny. Nagle poczuł

muśnięcie, którego się obawiał - sterczące w górę trupie palce prześliznęły się po jego brzuchu.

Conana ogarnęło przerażenie. Młóćąc rozpaczliwie wodę, stracił niemal cały, starannie strzeżony do tej chwili, zapas powietrza w płucach. Gdy wreszcie zdołał się odwrócić, ujrzał unoszący się w wodzie, napierający na niego ciemny, niewyraźny kształt. Trup jednak nie wyciągał rąk, by uwięzić go w swoim uścisku. W rzeczywistości znalazł się obok Conana, niesiony po prostu prądem wody. To było złudzenie, że martwy człowiek zdawał się sięgać mu rękami do twarzy.

Wciąż nie mogąc opanować lęku, Cymmerianin podpłynął z powrotem pod skalny nawis i boleśnie uderzył o niego głową. Chwycił za skałę obiema rękami, podciągnął się i wytknął głowę w niewielką przestrzeń, w której zbierało się powietrze. Po paru chwilach zanurkował ponownie i dopłynął do unoszącego się z prądem chudego ciała. W smudze światła Cymmerianin zobaczył, że był to Tjai. Zawrócił raz jeszcze, wlokąc za sobą Ilbarsyjczyka, walcząc z prądem, trzymając jego głowę w górze i starając się utrzymać ją nad powierzchnią wody.

Bóg Conana, Crom, nie raczył jednak okazać łaskawości dla jego przyjaciela. Cymmerianin nie mógł zmusić Ilbarsyjczyka do oddychania ze względu na brak miejsca, nie mógł też wycisnąć wody z jego płuc. Siny odcień skóry górala i wiotkość jego kończyn wkrótce uświadomiły Conanowi, że dla towarzysza nie ma już ratunku. Zdesperowany Tjai zanurkował śladem Conana, lecz nie wytrzymał paraliżującego zimna i swą nieroztropność przypłacił życiem.

Gdy Conan zrezygnował z wysiłków ratowania Ilbarsyjczyka i odepchnął jego ciało od siebie, sam był bliski śmierci. Krztusząc się, próbował zaczerpnąć świeżego powietrza pod sklepieniem podziemnej pieczary, ale jego znikoma ilość nie nadawała się już do oddychania. Gwałtownymi ruchami Cymmerianin przepłynął do kolejnego zapamiętanego miejsca. Wkłęśnięcie w sklepieniu było jednak tak wąskie, iż przy oddychaniu woda wlewała się barbarzyńcy do ust. Powietrza było zbyt mało, by Cymmerianin odzyskał chociaż część sił. Zdołał jeszcze przepłynąć do następnej szczeliny. Gdy wynurzał się z wody, rozpaczliwie łapiąc dech, uderzył w sterczącą skałę z taką siłą, iż przed oczami ujrzał gwiazdy. Na chwilę musiał stracić przytomność. Kiedy ją odzyskał, ujrzał przed sobą wypływające z ust pęcherzyki powietrza.

Cały czas brakowało mu tchu. Nic nie widział, stracił orientację w otoczeniu. Zaczynał tonąć. Popłynął na oślep przed siebie i poczuł, jak przyspieszający prąd wciąga go w pozbawione światła i powietrza głębie.

### III

#### Mroczna opiekunka

- Tamsin piegus! Tamsin piegus! Piegusica!!!

Echo śpiewnego głosu dzieci odbijało się od okalających podwórze ścian i czasem docierało nawet na błotnistą uliczkę, przylegającą do pochyłych, murowanych chat zaścianka. Zgiełk urwisów wznosił się i opadał pospołu z tupotem ich drobnych stóp, gdy bawiły się na zmianę w udawanie wojowników, zwierząt i szlachciców. Kiedy dzieciakom zdarzyło się jednak znaleźć w większej grupie za chatą, naigrawały się z siedzącej przed kuchenną przybudówką dziewczynki, spokojnie tulącej w ramionach lalkę.

- Tamsin lniana głowa! Pod topór niech się schowa! Istotnie, dziewczynka miała jaśniejsze włosy niż reszta dzieci.

Pochodziła z rodziny, którą z mieszkańcami osady łączyły jedynie odległe więzy pokrewieństwa. Jej dumni przodkowie woleli założyć sadybę daleko za lasami, chociaż było tam niebezpiecznie i przypłacili to życiem. Nieufne wobec przybyszów okoliczne dzieci, błyskawicznie wychytujące wszelkie dostrzegalne różnice, sprzymierzyły się przeciwko obcej, z którą musiały dzielić miejsce do spania i jedzenia.

"Nie przejmuj się ich dokuczaniem, Ninga!" - dziewczynka pocieszała w myślach lalkę, nie zwracając uwagi na rój urwisów. - "Masz włosy takiego samego koloru jak ja - no pewnie, przecież były moje! Tata zachował moje loki i użył ich, gdy ciebie zrobił. Niech mówią sobie, co chcą, dla mnie i tak jesteś wspaniała".

- Dlaczego zawsze bawisz się tą durną lalką? - przerwał jej donośny, chłopięcy głos. - Zachowujesz się, jakbyś z nią rozmawiała, a nigdy nie słyhać, żebyś coś mówiła! Dzieci zmieniły kierunek, zmierzając w stronę drzwi pod wodzą

Aria o kasztanowych włosach, w obszarpanej, za dużej koszuli.

- Dlaczego nie odpowiadasz, skoro cię pytam? - zawołał kategorycznie. - Mówiłaś przecież, kiedy żyli twoi rodzice. Co się z tobą dzieje, zapomniałaś, jak się otwiera buzię?

- Popatrzcie na tę lalkę, jaka szkaradna! - zawołała cienkim głosem Ulva, której zawtórował chóralny śmiech. - Patrzcie, zaraz odpadnie jej głowa.

- Obrzydlistwo! - zawołała inna dziewczynka. - Powinniśmy wrzucić ją do studni!

Jeden z małych złośliwców przekradł się za plecami Aria i wyciągnął rękę w stronę lalki. Tamsin przytuliła ją błyskawicznie do piersi. Malujący się na jej twarzy strach sprawił, że chłopiec zrezygnował ze swego zamiaru.

- Żeby was zaraza wytlukła, łobuzy! - stanowczy głos uciszył dziecięcą wrzawę. - Musicie drzeć się przed samą kuchnią? Zmykajcie stąd! Dostyc szwendania się po moim podwórku!

Szybkie szurnięcia miotłą sprawiły, że ze schodów na rozpierzchającą się dzieciarnię poleciały kłęby pyłu i piachu. Tamsin nadal kuliła się na schodkach.

Kobietą, która użyła miotły, była stara, gruba Gurda. Miała na sobie wytłuszczony czepiec i fartuch, twarz obrzmiała i pobrużdżona jak rozgotowana rzepa. Kucharka popatrzyła za uciekającymi dziećmi.

- Mało tego, że muszę cię żywić i prać twoje brudne ubranie, by spełnić życzenie twojej świętej pamięci matki... - mruknęła, trochę się stropiła, ale dokończyła zdecydowanie: - Nie zamierzam pilnować cię na każdym kroku! - Kucharka odwróciła się z irytacją, by wrócić do kuchni, jednak niespodziewanie przystanąła i pochyliła się nad szczupłą dziewczynką. - Nie myśl, panienko, że przysługuje ci w tym domu jakieś szczególne miejsce! Znowu grzebałaś wśród moich ścinków, żeby kraść kolorowe kawałki dla tej ohydnej lalki. Uważaj, szczeniaku, bo przysmażą ci palce, jak się robi ze złodziejkami! - Kobieta próbowała wyrwać dziecku lalkę, ale tusza nie pozwoliła jej wystarczająco nisko się nachylić. - No dobrze! - oznajmiła wreszcie, nadal stojąc nad skuloną dziewczynką. - Jeżeli te urwisy nie chcą mieć z tobą nic wspólnego, możesz bawić się przy mnie. Znajdź jakąś starą dachówkę i zeskrob popiół z rusztu. - Wskazała osmalone palenisko na środku podwórza. - Chcę, żeby się porządnie paliło, kiedy namoczę flaki na południe. No, bierz się do pracy! - popchnęła Tamsin miotłą, stukając sękatym trzonkiem miotły we framugę nad głową dziewczynki. - Czas, żebyś zaczęła zarabiać na swoje utrzymanie!

Później tego samego ranka Tamsin schowała się za szopą garbarską, by ubrać swoją lalkę. Kościaną igłą, przechowywaną w wypełnionym trocinami pudełeczku, oraz purpurową nicią, pracowicie wyprutą z poplamionego jagodami łachmana, przyszywała kołnierzyk i rękawy do miniaturowej, nierównej koszulki, wykrojonej z tego samego materiału. Dziewczynce nie przyszło do głowy zdjąć z lalki ubranko. Lalka podskakiwała więc jak żywa, karzełkowata istota, podczas gdy Tamsin przemawiała do niej w myślach: "Gotowe, Ningo, nie będziesz już czuła przeciągów na karku. Ale masz eleganckie rękawy! Kiedy skończę, będziesz miała najładniejsze ubranie w wiosce. Moja jedyna przyjaciółka, Ninga, zasługuje na to, co najlepsze!"

Wyschnięta, różowawo-szara dynia, z której zrobiona była głowa lalki, stała się twarda jak kamień. Luźno przesypane siew środku nasiona stukały i szeleściły, jakby zabawka szeptem odpowiadała dziecku. Dynia była zbyt okrągła i z jednej strony krzywa, by rzeczywiście przypominać ludzką głowę, lecz zamazane inkaustem wgłębienia na oczy, nos oraz usta nadawały "twarzy" przekonujący i rzeczywisty - tylko trochę zezujący - wyraz. Szmaciany korpus lalki został wypchany i pozszywany tak zręcznie, że istotnie przypominał postać swobodnie siedzącej osoby.

- To tak odpłacasz za szczodrość domu twoich kuzynów, panienko?! - Stara Gurda nagle wyskoczyła zza węgła szopy i zabrała się do okładania Tamsin twardą miotłą. - Wstydź się, niewdzięcznico! Zamiast wykonać prostą rzecz, o którą cię prosiłam, tracisz tu godziny na pustej zabawie!

Tamsin zerwała się z ziemi, lecz gospodyni nadepnęła ciężkim drewniakiem na skraj jej sukienki, uniemożliwiając ucieczkę szarpiącej się dziewczynce. Gurda poprawiła w rękę miotłę i zaczęła tłuc sękatym drewnem swoją ofiarę po głowie i chudej szyi tak mocno, aż rozlegało się głośnie trzaskanie.

- Wiedz, panienko, że wyczyścisz to palenisko - jeżeli nie dzisiaj, to jutro lub pojutrze!

Tamsin rozpaczliwie szarpnęła się, wyrwała i rzuciła do ucieczki, tuląc lalkę do piersi. Gurda zrobiła niezgrabnie parę kroków, ciska - jać przekleństwa i wywijając miotłą, lecz tusza nie pozwalała jej gonić dziewczynki. W końcu mruczając coś pod nosem zawróciła i zabrała się do rozpalania ognia pod wielkim miedzianym saganem, pełnym parujących wnętrzności.

Tamsin tymczasem zdyszana dotarła na drugą stronę obejścia. Gdy zobaczyła, że nikt jej już nie ściga, przycupnęła za pniem wielkiego dębu. Nie rozpląkała się, z jej ust nie dobył się żaden szloch. Wodziła tylko pustymi, zaszklonymi oczami po polach... dopóki obok niej nie rozległ się cichy głos.

- Dostałaś w skórę, co? - Arl wypowiedział pytanie nieśmiało, trzymając dłonie splecione za sobą. - Współczuję ci... naprawdę. Gurda to stara wiedźma. Mój ojciec pokazałby jej, gdyby mnie tylko tknęła! Ale ciebie nie ma kto obronić.

Powoli podszedł do skulonej dziewczynki, reszta dzieciarni stała dalej przy chacie.

- Nie powinienem był ci dokuczać - mówił Arl z powagą. - Mam coś, żeby wynagrodzić ci to lanie. Patrz, to bransoletka.

Zatrzymał się parę kroków od Tamsin i wyjął zza pleców ozdobę, która błysnęła w południowym słońcu. Kółko z pustych w środku, chropowatych elementów zagrzecotało, gdy Arl obrócił je ostrożnie w palcach.

- Popatrz, to muszelki z morza Vilayet, daleko stąd. Stworzenia, które w nich żyją, umierają, a fale wyrzucają wtedy muszle na brzeg. Wciąż jednak tkwi w nich czar krain Południa. Uleczą cię, jeżeli dostaniesz gorączki lub zimnicy. - Podsunął bransoletkę w stronę Tamsin. - Masz, weź, to dla ciebie.

Chłopiec stał z wyciągniętą dłonią, cierpliwie czekając na reakcję. Dziewczynka utkwiała wzrok w ozdobie, prawdziwie zafascynowana. Odruchowo zwróciła w stronę bransoletki główkę przytulanej lalki.

Wreszcie wyprostowała się i nie zwaracając uwagi na śmiechy gapiących się dzieci, nie spuszczała wzroku z bransolety. Jeszcze się wahała. Powoli zrobiła krok do przodu, wyciągnęła dłoń i zacisnęła palce na ozdobie.

- Teraz! Łapcie!

Arl błyskawicznie chwycił rękę dziewczynki i próbował wyrwać jej lalkę. Tamsin odwróciła się do niego plecami i zaczęła wyszarpywać się z uchwytu.

- Zabierzemy lalkę i wrzucimy ją do studni! - wołały dzieci otaczając Tamsin. Raz po raz któreś przyskakiwało, starając się wyrwać zabawkę z rozpaczliwego uścisku dziewczynki. W końcu udało się to małemu łobuzowi imieniem Asa. Rzucił bezwładną lalkę do Aria nad głowami pozostałych.

- Arl, biegnij, żeby ci jej nie zabrała! Arl ruszył pędem w stronę studni.

- Utop to szkaradzieństwo!

- Może gdy wrzucimy lalkę do studni, raczy się do nas odezwać!

Tamsin jakimś cudem przedarła się przez krąg prześladowców i rzuciła, by przeciąć drogę starszemu od siebie chłopcu. Arl zobaczył w oczach małej dziką determinację i szybko rzucił lalkę z powrotem małemu, złośliwemu Asie.

- Wrzuć ją do studni, szybko!

Nim zdążył krzyknąć te słowa, szmaciana lalka zatoczyła łuk i odbiła się głośno od kanciastego żurawia. Chłopiec zwinnie wyskoczył w górę i chwycił lalkę w powietrzu. Tamsin zawróciła i z wyciągniętymi rękami skoczyła w stronę Asy. Zderzyła się z nim z takim impetem, że chłopiec runął w tył i w jednej chwili wpadł z zabawką do studni.

Dzieci zamarły. Z osłupienia wyrwały je gorączkowe krzyki, dobywające się z wnętrza studni.

Te, które odważyły się dobiec do cembrowiny, zobaczyły, że chłopiec na szczęście tkwi tam zaledwie na wyciągnięcie ręki. Ciężkie drewniane wiadro pozostawiono w górze, a żuraw, zamiast opaść, zaklinował się. Wyglądało na to, że ramię chłopca, które dostało się pod metalowy kabłąk, jest złamane. Mimo to dzieciak żył, o czym świadczyły jego wrzaski. Arl z pomocą innych szybko wyciągnęli go ze studni i próbowali uspokoić.

Tamsin tymczasem złapała lalkę, która wpadła do pustego wiadra. Mali awanturnicy przestali zwracać na nią uwagę, więc niepostrzeżenie uciekła za chatę. Tu wpadła wprost na Gurdę w wilgotnym, cuchnącym fartuchu. Kucharka właśnie oderwała się od paleniska, by zobaczyć, co to za wrzawa.

- Tu jesteś, piekielnico! Jakie znowu szelmostwo uknułaś? Mów, co się stało!... Nie wyrywaj się, bo zagram ci tym szpikulcem serenadę na łepetynie!

Gadaj, panienko, co znowu wyprawiasz? Hej... ach, ty diablico! Wracaj natychmiast! - Ruszyła za małą w pościg i nagle wrzasnęła wniebogłosy.

Gdy w chwilę później mieszkańcy chaty wybiegli na podwórze, zobaczyli, co się stało. Narożny kamień wielkiego paleniska rozpadł się pod wpływem żaru i wyrzucił sagan, wylewając wrzącą zawartość. Tłusta Gurda potknęła się w swoich drewnianych butach i runęła na ziemię wprost pod strumień gorącej cieczy.

Cała osada zebrała się wkrótce przed chatą, zastanawiając się, jak pomóc cierpiącej kobiecie. Zgadzano się co do jednego: nie dało się mówić ani myśleć z powodu hałasu, wyprawianego przez poparzoną ofiarę. Coraz bardziej słabe krzyki ucichły dopiero przed południem następnego dnia, kiedy Gurda umarła.

Arnulf, zwany Zacnym, wracał do domu przez pola jęczmienia krokiem wolniejszym i bardziej znużonym niż zwykle. Przytłaczały go ponure myśli, o wiele cięższe niż ubłocona motyka, którą niósł na zmęczonych barkach.

Arnulf powtarzał sobie niezliczoną ilość razy, że prowadzenie gospodarstwa to ciężki trud. Trzeba było przygotować ziarno, zaorać ziemię i obsiać ją. Żadnej z tych rzeczy nie wolno było zrobić ani zbyt wcześnie, ani zbyt późno. Potem należało czekać na deszcz, odganiać ptactwo, pielnić, zbierać plony, młócić, zdać dziesięcinę, sprzedać, co można... aż wreszcie znów przychodziła kolej na wybieranie ziarna na siew. I to wszystko musiał zrobić sam. Starszy syn, Arl, był jeszcze dzieckiem. Pomocy z jego strony można było spodziewać się najwcześniej za kilka lat. Tymczasem najmował parobków i to takich, którzy nie żądali zbyt wiele za swoją pracę. Do tego wszystkiego dochodziło utrzymanie domu.

Zadbanie o dom teraz stanowiło najtrudniejsze zadanie. Był to nowy kłopot po śmierci starej Gurdy. Minał miesiąc, może dwa, nim Arnulf zdał sobie z tego w pełni sprawę. Nie chciał odkładać na potem spraw, które należało załatwić teraz. Musiał porozmawiać z dziewczynką, jakoś przemówić jej do rozsądku. Nie mógł dłużej znosić obecnego stanu rzeczy.

Ostukawszy zabrudzone buty o próg, ostrożnie odstawił motykę, by błoto nie wpadło do sieni. Przyniesionej z pola ziemi nie można było pozbyć się byle gdzie, to przynosiło nieszczęście. Arnulf przywitał pomrukiem nową gospodynię, Inę. Była to młoda, skromna dziewczyna z sąsiedztwa, zbyt nieśmiała, by podnieść na niego wzrok, a tym bardziej odezwać się choć słowem. Szurając butami po polepie, podszedł do wnęki z łóżkiem i pokłonił się chorej żonie, po czym przeszedł do izby paradnej, zamykając za sobą starannie drzwi. Tam przy tłącym się ogniu zebrała się czwórka jego dzieci: dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Grały w jakąś dziecięcą grę. Tamsin, nie biorąc udziału w zabawie, siedziała w rogu pod kominem i przyglądała się dzieciom.

- Dzieci, wyjdźcie na trochę. Ty, Tamsin, zostań. Niech reszta znajdzie sobie jakieś zajęcie. Pobawcie się z dziećmi sąsiadów... zdaje mi się, że ostatnio w ogóle tego nie robicie. Ina zawała was na kolację.

Cwórka dzieci posłuchała bez słowa; ostatnie zatrzasnęło za sobą drzwi. Arnulf zdał sobie sprawę, że jego pociechy zachowują się wyjątkowo spokojnie. Zazwyczaj nie sposób było nad nimi zapanować. Polecenie ojca przyjęłyby niechętnie z krzykami protestu, a później dziesięć razy zakradałyby się pod okno, żeby podsłuchiwać. Arnulf z żalem wspominał czasy, gdy po powrocie z pola witała go radosna, choć nie zawsze zgodna gromadka.

- Tamsin, podejdź do paleniska. Wróciłem dziś wcześniej, przed zmrokiem, żebym mógł wypuścić pozostałe dzieci na podwórze i porozmawiać z tobą.

Arnulf usadowił się na swoim ulubionym krześle z nierówno ostruganych kołków, obitym jelenią skórą, i czekał, aż milcząca dziewczynka podejdzie do niego.

- Tamsin, chciałem z tobą porozmawiać, ponieważ... wiele się ostatnio zmieniło. Nie jest tak jak dawniej, sprawy wyglądają inaczej niż w innych chatach w wiosce. Nigdy się nie odzywasz, ale chyba rozumiesz, co się do ciebie mówi. Powiem ci więc, co myślę, a ty dawaj mi znaki albo powiedz, co myślisz. - Potrząsnął głową, zawstydzony niezręcznością sytuacji. - Wiem, że każdemu jest ciężko. Tobie szczególnie, od kiedy straciłaś rodziców... - Arnulf nie potrafił zdobyć się, by otwarcie nazwać to bestialskim zamordowaniem niewinnych ludzi. - Prośmy bogów, by nic podobnego nigdy nie spotkało naszej wioski! - Skłonił głowę z nabożną pokorą. - Teraz, po strasznej śmierci Gurdy, niech Amalias ma w opiece jej duszę, sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej. Mojej żonie, a twojej macosze, zawsze było bardzo ciężko. Nigdy nie była w pełni zdrowa, a na dodatek

od śmierci Gurdy musi pracować w kuchni. Dzięki Amaliasowi, że trafiła się nam Ina. Do dziś pamiętam okropne krzyki, nim Gurda... - Odwrócił wzrok od cierpliwie przyglądającej mu się dziewczynki i westchnął ciężko. - Sama widzisz, że od tamtego czasu moja żona niemal nie wstaje z łóżka. Czuje się tak źle, że musiałem potroić dawkę eliksiru z lotosu, jak żale - cii znachor Urm. W tych stronach trzeba sporo płacić za eliksir, a jeszcze musiałem zapłacić Urmowi za złożenie ramienia Asy. - Podniósłszy głowę, Arnulf napotkał nieme spojrzenie Tamsin i zakłopotany utkwiał wzrok w ogniu. - Dochodzi do tego sprawa bransoletki z muszli. Wiem, skąd ją masz. To był szczeniacki wygląd, ale widzę, że twoja lalka ma piękny naszyjnik. - Podniósł ponownie spojrzenie i skinieniem głowy wskazał barwnie odzianą kukiełkę w ramionach Tamsin, przy strój ona muszelkami znad morza Vilayet i innymi błyskotkami. - Powinnaś jednak wiedzieć, że bransoleta należała... należy do mojej żony. Boję się, że jeśli zauważy jej brak, będzie bardzo zasmucona. Gdybyś wobec tego mogła ją zwrócić... - Powstrzymał się przed wyciągnięciem ręki po ozdobę. - Wiem, że to zrobisz... ale dość o tym. - Odchrząknął niezręcznie. - Wzięliśmy cię z dobroci serca i obowiązku, jako córkę krewnych mojej żony. Gdyby bogowie oszczędzili twoim rodzicom tak potwornego końca... - Potrząsnął głową, znów słowa uwięzły mu w gardle. - Tak jednak się stało i nie ma co zastanawiać się dlaczego. Nie nam tego dociekać. - Westchnął głęboko. - Na pewno bardzo ciężko to przeżyłaś. Od tamtego dnia nie odezwałaś się ani słowem. Od czasu do czasu szepczesz tylko coś do swojej lalki... jedynej rzeczy, jaka pozostała ci z domu... - Potrząsnął raz jeszcze głową, z desperacją wodząc wzrokiem po izbie. - Na pewno wiesz, jak nam wszystkim ciębie żal. - Zdołał wreszcie spojrzeć na Tamsin i odruchowo wyciągnął dłoń, by poklepać dziewczynkę po ramieniu, ta jednak cofnęła się przed dotykiem. - Wiedz jednak także, że powinnaś z nimi rozmawiać - kontynuował Arnulf. - Twoje milczenie niczemu nie służy i nie wiem, dlaczego się przy tym upierasz. Sąsiadom się to nie podoba. Zaczynają krążyć plotki, a z plotkami bardzo ciężko żyje się w tak małej wiosce... O lalce też krążą plotki - podjął po chwili, zmuszając się, aby spojrzeć na dziewczynkę. - Domyślam się, że twoje milczenie i ta zabawka w jakiś sposób się łączą. Czuję, że dzieje się coś bardzo złego. Po tych strasznych rzeczach, jakie przeszłaś... ta lalka, to milczenie, dokuczanie przez inne dzieci... - Starał się nie odrywać od niej wzroku. - Czuję, że na ten dom padła klątwa. Tak dalej być nie może. Dlatego też myślę, że powinnaś oddać mi tę lalkę. - Wreszcie zdołał wydusić z siebie od wielu dni obmyślane słowa. - Masz ją z dawnych czasów, przypomina ci o wszystkim, co przeszłaś, o czym powinnaś zapomnieć. Oddaj mi ją, a może wreszcie będziesz mogła mówić i bawić się jak zwyczajne dziecko. - Wyciągnął w stronę Tamsin otwartą dłoń. - Nie bój się, nie zrobię jej krzywdy. Zakopię ją w polu, gdzie składamy ofiary, by zyskać błogosławieństwo bogów. Oddaj mi ją, a wszystko dobrze się ułoży.

Arnulf nachylił się w krzesło, by wyjąć zabawkę z rąk Tamsin.

Dziewczynka została na miejscu, jednak nie puściła lalki, tylko wyciągnęła na odległość ramienia i potrząsnęła nią tuż przed twarzą mężczyzny.

- Nie dotykaj mnie!

Arnulf, zwany Zacnym, miał wrażenie, że słowa dobywają się z ust lalki, chociaż równie dobrze mógł być to efekt nałożenia się szelestu nasion w dyni na ochryply głos dziewczynki.

- Jeśli mnie zbeczczesz, twoje skrwawione kości zostaną rozrzucone po polach. Sam staniesz się ofiarą dla prześlągania twoich bogów! - zabrzmiały kolejne zdania.

Mała Tamsin wzięła lalkę z powrotem w ramiona. Twarz jej miała spokojny, niewzruszony wyraz, jakby czekała teraz na odpowiedź. Arnulf Zacny opadł na oparcie krzesła. Widać było, że ogarnia go panika. Drżały mu ręce, jego czoło pokryło się potem.

- Rozumiem - zdołał tylko wykrztusić. - Jak sobie życzysz.

IV

Ucieczka donikąd

Conan odzyskał przytomność pod ciepłymi promieniami słońca na łasze grubego piasku, omywanego wodą szemrzącego potoku. Nogi miał zanurzone w letnim, powoli płynącym strumieniu. Był nagi, pozbawiony przepaski, zawiniątka z klejnotami, wszystkiego.

Kontrast między ciepłem słońca i wilgotnym piaskiem sprawiał, że czuł jednocześnie i żar, i zimno. Usiłując temu zaradzić, przewrócił się na plecy. Czuł się obolały, potłuczony i wyczerpany – był jednak cały. Zmuszając do wysiłku zeszytywniałe, poranione kończyny usiadł. Zauważył wiodące od płytkiego rozlewiska bruzdy w piasku; najwidoczniej zdołał o własnych siłach wywlec się na brzeg. Musiało to stać się parę godzin wcześniej, chociaż nie potrafił sobie tego przypominieć.

Znajdował się w nieznannej, surowej okolicy. Nigdzie nie widać było śladów człowieka. Tuż obok Conana, w podmywanych wodą korzeniach wysokiego drzewa tkwiła płatanina gałęzi, kory i jakichś śmieci, przyniesionych zapewne przez niedawną powódź. Powyżej skarpy ciągnęło się zbocze porośnięte rzadko drzewami i krzewami. Rzeka o skalistym dnie wyryła sobie koryto przez las i rozpościerające się w górnym biegu gołe skalne półki oraz polany. W miejscu, gdzie siedział Conan, potok rozlewał się na równiejszym terenie, osiągając szerokość pozwalającą nazwać go rzeką. Była zbyt głęboka, by przebyć ją w bród; nurt był zbyt szybki, by osłabiony człowiek mógł spokojnie płynąć z prądem.

Tu, gdzie znajdował się Cymmerianin, nurt zdażał na południe. Trudno było zorientować się, w jakim tak naprawdę kierunku płynęła rzeka. Omijała wzgórza i sterczące skały, pełna była piaszczystych łąch i kaskad, a w górnym biegu ostro zakręcała. Po wysokości słońca na niebie i długości cienia barbarzyńca ustalił, że było mniej więcej południe. Nie potrafił jednak powiedzieć, gdzie w odniesieniu do jego położenia znajdują się Góry Kezankiańskie lub jakiegokolwiek inne, bowiem u stóp znanych Cymmerianinowi gór rzeki płynęły zwykle na wschód lub na zachód. Co więcej, w okolicy nie widać było szczytów, z których mógłby brać początek potok.

Conan rozejrzał się, czy w pobliżu nie widać drapieżnych zwierząt lub zaczajonych nieprzyjaciół, po czym zanurzył twarz w strumieniu. Przepłukał usta cudownie chłodną wodą i ochlapał oblepioną piaskiem głowę i pierś. Potrząsnął mokrymi włosami, pochylił się i nabrał wody do ust. Starał się ustalić, czy czuć w niej szczypiący w dziąsła smak stopniałych hiperborejskich śniegów, torfowy posmak poszycia tundry, czy też zapach siarki charakterystyczny dla źródeł w Górach Kezankiańskich. Chłodna woda była jednak kryształowo czysta i pozbawiona smaku. Przypomniawszy sobie, że podobnie było ze strumykiem w brytuńskiej kopalni.

Nie miał pojęcia, w jakiej części świata się znalazł. Nie wiedział, jak daleko zaniósł go nurt podziemnego strumienia i w którym miejscu potok wypływał na powierzchnię. Gdyby położenie kopalni nie stanowiło ściśle strzeżonej tajemnicy, Cymmerianin zdołałby określić przynajmniej orientacyjnie swoje położenie, doskonale bowiem poznał zakątki hyboriańskich królestw, i to nie z map, lecz przeważnie z własnego doświadczenia. Ci, których więźniem był do niedawna, postawili przed nim wszakże nie lada zagadkę. Oszołomili Cymmerianina odurzającym proszkiem, wywieźli do siebie tylko znanego zakątka cesarstwa, utrzymywali barbarzyńcę i jego towarzyszy w całkowitej niewiedzy, dokąd trafili. Czy podążając w dół strumienia dotarłoby się do majestatycznej rzeki Danibos, płynącej przez bogatą Sargosę, stolicę Brytunii? Czy też strumień ginał w piaskach niezmiernie zamorańskiej pustyni, setki mil od porośniętej palmami oazy, gdzie założono Szadizar? A może po pokonaniu tysiąca dni drogi wzdłuż rzeki na wschód w końcu dotarłoby się do jej ujścia nad płytką, pomocną częścią morza Vilayet? Lub do Koryntii? Na te pytania nie sposób było odpowiedzieć.

Conan próbował podejść do tego problemu z innej strony. Jak daleko mógł znieść go prąd? Nurt płynął szybko, na pewno nie inaczej było z zasilającym rzekę podwodnym strumieniem. Jak długo jednak był spychany po kamienistym dnie, nim zdołał wydostać się na piaszczystą łąkę? Na pewno nie trwało to cały dzień. Zbliżało się południe, gdy Cymmerianin podjął rozpaczliwą próbę ucieczki z niewolniczej kopalni. Zapewne znajdował się nadal dość blisko miejsca, w którym był więziony.

Wzrok przykucniętego na piasku Conana spoczął na kawałku drewna, do połowy wbitego w piaszczysty brzeg. Konar o rudej korze, długości większej niż wzrost człowieka, sterczał z ułamanymi gałęziami. Drewno było jeszcze ciemne od wilgoci, chociaż odarte z kory powierzchnie wysychały w promieniach słońca.

Cymmerianin miał wrażenie, że przypomina sobie niejasno, jak pośród wodnego chaosu wczepił się w połamane gałęzie, gdy wreszcie skończyło się opętańcze obijanie w całkowitych ciemnościach o rezonujące echem skały podziemnego kanału. Zdawało mu się, że pamięta, jak z szaleńczą rozpaczą obejmował konar z jedyną myślą, że od tego zależy jego życie. Z namysłem dotknął

obolałego miejsca na piersi. Widniał na niej siniec, prawdopodobnie od uderzenia jednej z u-traconych gałęzi. Conan potrząsał głową - bardziej po to, by pozbyć się tego wspomnienia, niż przywołać je dokładniej. Jeżeli istotnie uwiązał między kawałkami gałęzi, mógł płynąć z konarem przez wiele godzin, może nawet cały dzień i całą noc.

Na razie musiał zająć się bardziej nagłymi potrzebami. Dźwignął się na równe nogi czując, jak żołądek zaciska mu się z głodu w twardą, ciężką kulę. Conan wyprostował się, rozejrzał uważnie, lecz zobaczył jedynie ptaka przypominającego pawia, który zaskoczony zerwał się i przeleciał łukiem na drugą stronę strumienia. Na ten widok żołądek wysłał kolejny sygnał głodu. Gdyby Conan wcześniej wiedział, że ptak znajduje się w jego pobliżu... Barbarzyńca zaczął rozglądać się jeszcze uważniej.

Dookoła panował spokój letniego południa: brzęczenie owadów, łagodny szmer toczącej się wody, szczebiot ptaków. W dole na brzegach strumienia było widać ślady innych stworzeń: bruzdy wryte przez węże i żółwie oraz odciski racic antylop lub kozłów. Widok ten ucieszył Conana, który zdawał sobie jednak sprawę, że miejsce obfitujące w ptaki i zwierzyne roślinożerną może skrywać również dzikie drapieżniki. A Cymmerianin nie miał nic, żeby się przed nimi obronić. Bez broni czuł się naprawdę nagi. Oceniał, że nie warto dłużej pozostawać w pobliżu stromego brzegu.

Przebrnął przez płyciznę, aż znalazł miejsce, gdzie odnoga przejrzystego strumienia płynęła między wielkim głazem i porośniętą chaszczami łachą. Zobaczył, jak ptak o błękitnym upierzeniu nurku - je przy przeciwległym brzegu i wynurza się z wody z lśniącem kąskiem. Pod stopami widział też niewyraźne podłużne kształty, przemykające w cieniu na tle bladego piasku.

Wybrawszy starannie odpowiednie miejsce, Cymmerianin przykucnął i powoli rozpostarł dłoń pod powierzchnią wody. Gdy przestał odczuwać chłód wody, pewnie rozstawił stopy na piaszczystym dnie i zaczął poruszać palcami delikatnymi, falującymi ruchami. Wiedział, że ryby lubią zatrzymywać się łbami pod prąd, sporadycznie wachlując płetwami, by nurt ich nie zniósł i więcej wody docierało do skrzel. Przyglądał się nieruchomo ich ciemnym cieniom na dnie, czekając, aż ryby przyzwyczają się do jego obecności.

Po kilku chwilach stało się to, na co czekał. Srebrzysto-błękitny pstrąg, okazały i zwinnie, wypłynął z cienia i zatrzymał się nad dłonią, zadowolony z wzbudzanych palcami Conana ledwie wyczuwalnych prądów.

Odczekawszy jeszcze chwilę, by uspić czujność ryby, Conan zgiał błyskawicznie rękę, rozchlapując wodę w tęczę migoczących kropli. Wijący się wymachujący ogonem pstrąg zatoczył łuk nad wodą i spadł na piasek na brzegu.

W jednej chwili Cymmerianin doskoczył do rzucającej się ryby i zacisnął na niej obydwie dłonie. Uderzył łbem tak łatwo dającego się schwytać stworzenia o kamienie, by skrócić jego cierpienia, po czym wbił zęby w pokryty łuskami grzbiet i zaczął gryźć surowe, soczyste mięso.

Chociaż pstrąg był duży, jedynie zaostrzył apetyt Conana. Cymmerianin wrócił do strumienia i znowu w bezruchu rozpoczął polowanie, jednak ani jedna ryba nie podpłynęła więcej nad jego dłoń. Barbarzyńca przeniósł się w inne miejsce, gdzie w ciągu popołudnia zdołał wreszcie zwabić dwie kolejne ryby. Jadł łapczywie, gdy skończył, zęby szczękały mu i ogarnęły go dreszcze wywołane wieczornym chłodem.

W błotnistym zakątku nad brzegiem strumienia rosły bagienne cebule. Conan wygrzebał kilka i zjadł, grzejąc się w zagłębieniu zwróconej ku południowi skały. Wnęka częściowo była pogrążona w cieniu, lecz jeszcze wystarczająco rozgrzana po dziennym upale. Zbliżał się wieczór. Conan przeklinał siebie i wszystkich bogów, że po początkowym powodzeniu dalsze poszukiwanie pożywienia okazało się tak jałowe. Nie miał jak rozpalić ognia, by ogrzać się i odstraszać drapieżniki, dla których nadciągająca noc była najlepszym czasem na łowy. Ruszył więc w dół strumienia, przeskakując z kamienia na kamień lub brnąc w wodzie, by drapieżniki nie mogły posuwać się jego śladem. Wreszcie dotarł do zakątka między suchymi, spiętrzonymi skalami. Wyglądał na suchy i bezpieczny. Do wnętrza można było dostać się przez boczną szczelinę, z drugiej strony osłaniały ją głazy i stromo piętrzące się zbocze. Zwisające gałęzie rosnących tu wysokich jodeł sprawiały, że w skalnej wnęce nie zbierała się wilgoć. Gdyby jakiś drapieżnik usiłował dostać się do ciasnej szczeliny, miałby do czynienia z przeciwnikiem w dogodnym do obrony miejscu.

Cymmerianin nałamał wonnych gałęzi cyprysu i umościł z nich posłanie na

skałach. Nazbierał zapas kamieni, by w razie potrzeby ciskać nimi w zwierzęta. Znalazł również na brzegu przyniesiony przez wodę sękaty kij, którym mógłby bronić się przed bezpośrednią napaścią.

Gdy po raz ostatni schodził nad rzekę, na przeciwległym brzegu usłyszał grzechot kamieni. W zapadających ciemnościach spomiędzy krzaków wyłonił się młody łoś i zaczął pić wodę. Conan przykucnął, wziął z dna kamień wielkości pięści i błyskawicznym ruchem cisnął nim w stronę zwierzęcia. Łoś znajdował się jednak za daleko; kamień odbił się od poroża, nie czyniąc mu szkody. Spłoszone zwierzę zawróciło i pognało szybko w zarosła. Cymmerianin mógłby przepłynąć rzekę, lecz pościg za zwierzęciem stanowiłby stratę czasu. Wrócił zatem do skalnej rozpadliny, zwinął się na posłaniu z gałęzi i po paru chwilach głęboko zasnął.

Chociaż spał twardo, od czasu do czasu budziły go wybijające się nad szemranie strumienia nocne odgłosy: pohukiwanie i łopot skrzydeł przelatującej sowy, żalosalne wycie wilków lub zdziczałych psów w dole strumienia, dobiegający z dalszej odległości, ze wzgórz godowy zew pantery lub górskiego tygrysa. Conan był tak bardzo nawykły do życia w dziczy, że potrafił nawet w półśnie zidentyfikować te dźwięki jako nie zwiastujące zagrożenia. W takich warunkach każdy cywilizowany człowiek nie spałby już do rana, ogarnięty dojmującą trwogą.

Barbarzyńca przebudził się jednak z pierwszego, najgłębszego snu, długo rzucał się i wiercił z powodu nocnego chłodu i drobnych owadów pełzających mu po gołej skórze. Zorientował się, że jego kamienne legowisko jest wilgotne i niezdrowe; było w nim zimniej niż w hiperborejskim grobowcu. Nad głową Conana przez obrószone szczytami hulały przeciągi równie lodowate, jak nurt górskiego strumienia. Cymmerianin był wyczerpany długotrwałą niewolą, a potem walką, by nie utonąć w podziemiach, a przede wszystkim godzinami spędzonymi w zimnym strumieniu. Nie chciał być rano zeszywniały i pozbawiony sił po całonocnym dygotaniu z chłodu. Z wielkim trudem zmusił się więc do wstania, przykucnął, otoczył kolana ramionami i zaczął wysilać ospały umysł do przypomnienia sobie sposobów na przeżycie w takich okolicznościach.

Wreszcie podniósł się z kamieni, do ręki wziął drewnianą pałkę i ociężale stawiając zdrętwiałe, bosa stopy zaczął wspinać się wyżej. Po paru chwilach wydostał się z rozpadliny. Wyżej w blasku księżyca widać było osrebrzone szczyty drzew i wzniesień. Słaby letni powiew muskał jego gołe nogi i grzbiet, jak gdyby skórę gładził mu ciepły, suchy puch.

Jaskrawy blask księżyca sprawiał, że bez trudu znajdował oparcie dla stóp i rąk. Cymmerianin wspinał się szybko biegnącą na ukos spękanego zbocza płytka rynną. Dotarł do wąskiej półki, osłoniętej gałęziami wysokich sosen. Nie docierała tu od rzeczno-wąwozowej wilgoci i zimne przeciągi. Powietrze było ciepłe od nagranych w ciągu dnia skał. Półka była wystarczająco duża i wydawała się bezpieczna. Conan wymiół z niej kamienie i kolczaste szyszki, zostawił jedynie wyściółkę z miękkich, gnijących igieł, zwinął się w kłębek pod gałęzią chroniącą przed wiatrem i ponownie zapadł w sen.

Ranek przyniósł oślepiający blask słońca, chóralny szczebiot obudzonych ptaków i irytujące ukłucia spadających szyszek, którymi pożywiała się siedząca wysoko na sośnie wiewiórka. Conan usiadł, przeciągnął się, wytarł z twarzy i całego ciała igliwie oraz piasek. Wychylił się z zalanego ciepłymi promieniami skraju półki i popatrzył w dół na pogrążoną jeszcze w cieniu okolicę.

Rzeka wypływała z szerokiego wąwozu i dalej kierowała się mniej więcej prosto na południe, co można było ocenić z położenia słońca. Rzeźba terenu była tam łagodniejsza. Między pogrążonymi w głębokim cieniu lasami ciągnęło się pasmo bujnych łąk. Na wschodzie rozkładało się pasmo niskich, zaokrąglonych wzgórz. Smugi oparów pozwalały domyślać się przebiegu zasilających rzekę strumieni. Blask słońca odbijał się również od tafli stawów i jezior. Nigdzie jednak nie widać było śladów ludzkiej obecności: dymu, uprawianych pól, jakiegokolwiek oznaki, że ktoś zamieszkuje te okolice. I bardzo dobrze, szeptała Conanowi dzika cząstka jego natury. Zdoła tu przeżyć, nie gorzej, a może nawet lepiej, niż gdyby wcisnęła się tu natarczywa cywilizacja.

Po drugiej stronie rzeki znajdowały się strome, skaliste zbocza. Chociaż widać było parę wysokich urwisk, nie były to jednak góry z prawdziwego zdarzenia, jakie można by znaleźć na wojskowych mapach czy na mapach przewodników karawan. Gdy to pomyślał, przyszła mu do głowy kolejna myśl: a może znalazł się po drugiej stronie zębatych szczytów Gór Kezankiańskich? Może

rzeczywiście kopalnia znajdowała się po wschodniej stronie działu wód, jaki stanowiły wysokie, pokryte śniegami turnie?

Jeśli jednak tak się nie stało, Cymmerianin znajdował się wciąż w znajomym sobie hyboryańskim świecie - chociaż w jakimś dzikim, nie zamieszkanym zakątku, z dala od miejsc zaznaczonych na mapach, z dala od zasiedlonych ziem. Gdyby jednak podejrzenie Conana było prawdziwe - jeżeli strumienie w górskich dolinach spływały na wschód - wówczas czeka go los bardziej niezwykły i bardziej urozmaicony niż cokolwiek, co dane mu było zaznać w życiu. Mogą minąć lata, nim dotrze do któregośkolwiek ze znanych mu miejsc. Może też tułać się w dziczy już do końca życia.

Wygrzewający się na kamieniach jak jaszczurka w promieniach porannego słońca Conan stopniowo przestał się martwić. Cóż takiego zostawił za sobą, do czego miałby ochotę powracać? Gdzie witano by go z radością? Czyż nie odpędzono go wiele razy jak intruza lub ścigano jak dopuszczającego się wszelkiego rodzaju przestępstw cudzoziemca? Przyjaciele, których miał podczas wędrówek, byli przeważnie takimi samymi obieżyświatami. Czyż niewystarczająco wiele razy po burzliwych przygodach zaczynał życie na nowo? Rzadko jednak czynił to nagi, nie wiedząc nawet, gdzie się znajduje. Czy w przeszłości zdarzyło się cokolwiek takiego, o czym powinien zachować pamięć w groźnej, nieznannej teraźniejszości?

Gdy rozmyślał o przyjaciółach, stanęła mu przed oczami twarz utopionego Tjaja, z opuchniętym językiem i wybałuszonymi oczami, unoszącego się bezwładnie w przenikającej podwodne cmentarzysko upiornej poświacie. Szczupły Ilbarsyjczyk na zawsze odszedł z tego świata. Jego śmierć odbierała Conanowi ostatni powód, by wspominać niedawną niewolę. Kopalnia nadal kryła się gdzieś wśród gór, lecz Cymmerianin mógłby spędzić resztę życia na jej poszukiwaniach. Mógłby go też spotkać jeszcze gorszy los, jeśliby zdołał ją odnaleźć. Po co miałby zawracać sobie tym głowę? Dla częściej zemsty lub wątkiej szansy zdobycia bogactwa? W nieznannej krainie, do której trafił, musiał zadbać przede wszystkim o najistotniejsze potrzeby; ani zemsta, ani klejnoty nie nadawały się do zapełnienia żołądka.

Próba odnalezienia kopalni lub jakiegokolwiek miejsca, oznaczonego na cywilizowanych mapach, wymagałaby długich, starannych przygotowań. Cymmerianin podejrzewał, że o wiele ciekawsze przygody mogą czekać na niego znacznie bliżej. Musiał mieć jasny umysł, by wyjść z nich zwycięsko.

Postanawiając ostatecznie strząsnąć z siebie przeszłość jak wyschniętą jaszczurczą skórę, barbarzyńca zszedł ze skalnej półki.

Musiał zatrzeć za sobą ślady, by drapieżniki nie ruszyły jego tropem. Znów spróbował łowienia ryb, nim wznoszące się słońce rozproszyło cienie pod powierzchnią wody. Tym razem sprzyjało mu szczęście: w krótkim czasie schwytał dwa całkiem spore pstrągi, przykucnął na brzegu i zjadł je bez żadnych ceremonii. Potem posilił się jeszcze korzeniami sitowia i zerwanymi z dna strumienia soczystymi wodorostami. Najprzyjemniejszą część posiłku stanowiły dojrzałe jeżyny, których garść Cymmerianin znalazł nieco dalej nad brzegiem.

Krażąc po skarpie, szukał wśród żwiru odpowiednio popękanych kamieni. Wkrótce znalazł nadający się do pełnienia roli krzemienia nakrapianego, niebieskawy kamień. Ponownie przeklinał brak noża, gdyż stalowe ostrze pozwoliłoby mu krzesać iskry i rozpalić ogień, a przed wieczorem zjeść pieczone mięso. Nie musiałyby też lękać się chłodu i drapieżników. Trudno. Teraz musiał temu inaczej zaradzić.

Przyklęknął przy płaskim głazie i uderzył weń kilkakrotnie kamieniem. Ciężki ciemny kamień szybko pękł pod wpływem ciosów. Niebieskie nakrapianie było tylko na powierzchni, całe wnętrze okazało się czarne i błyszczące. Kolejne lekkie uderzenia granitem sprawiały, że łuszczyło się przyskajającymi na boki płatkami. Krawędzie półksiężycowatych odłamków były ostre jak dobra stal, wystarczająco cienkie, by ściąć odciski z dłoni Cymmerianina, chociaż o wiele bardziej kruche niż znane w cywilizowanych stronach metale.

Conan uważnie, coraz słabiej uderzał w skraj kamienia, starając się naśladować zręczne ruchy, z jakimi czynili to przodkowie z jego rodzinnej wioski. Starzy ludzie, pamiętający czasy dawnej Cymmerii, obrabiali tak kamień, nim stal i sztuka kowalska dotarły z Akwilonii na północ. Conan pamiętał, że starcy bez żadnego wysiłku w parę chwil przywracali ostrość stępionym narzędziom. Potrafili też wykonać kamienne topory lub tasaki, bez trudu przecinające kości i grube skóry.

Cymmerianin nie miał w tym wprawy i zmuszony był pracować o wiele

ważniej. Chciał zrobić kamienny toporek. Nagle kawałek krzemienia wyslizgnął się Conanowi z ręki, kalecząc mu dłoń. Przy okazji utraciła się połowa ostrza toporka. Mamrocząc przekleństwa pod adresem wszystkich bogów, lecz wytrwale pracując coraz szybciej i pewniej, barbarzyńca zdołał jakoś wygładzić powstałą szczyrbę.

Gdy skończył, uniósł broń i przyjrzał się jej uważnie. Była niezgrabna i bardziej przypominała toporek ciesielski, jednak nadawała się do użytku. Oczywiście, trzeba było trzymać ją w garści. Cymmerianin smętnie popatrzył na leżącą obok niego pałkę. Rzemień czy chociażby wysuszone ścięgno umożliwiłyby przywiązanie ostrego kamienia do tak dogodnego trzonka. Przy wykorzystaniu toporka jako broni konieczne było uśmiercenie ofiary już pierwszym ciosem, inaczej zabrudzony krwią kamień wyslizgiwałby się z dłoni.

Cymmerianin ujął w ręce toporek, pałkę i zakrzywiony odłamek krzemienia, który mógł się przydać jako nóż. Pozbawiony odzienia, nie mógł zabrać nic więcej. Miał jednak nadzieję, że wkrótce coś na to poradzi.

Przemierzając bezszelestnie odkryty, porośnięty trawą stok, Conan zauważył, że z tej okolicy jest zwierzyna. Na skraju lasu zobaczył skubiącego trawę królika. Barbarzyńca podkradł się bliżej, a szum potoku zagłuszał jego kroki. Ze zdwojonej siłą spowodowaną dojmującym głodem Conan cisnął pałką w królika. Mały gryzoń w szybkich podskokach zniknął, pozostawiając po sobie jedynie kołyszącą się trawę i opadające płatki kwiatów. Ale ptak - tłusty i z błękitnymi piórami - miał mniej szczęścia. Trafiony pałką spadł ogłuszony na ziemię. Conan złapał go szybko, uśmiercił i wbił zęby w surowe soczyste mięso.

Nie zamierzał jednak na tym zakończyć polowania. W miejscu, gdzie rzekę można było przejść w bród, koło skraju polany Cymmerianin zobaczył liczne ślady. Poznał, że są tu antylopy, górskie bawoły, wilki, a nawet niedźwiedzie. Natrafił też na płytkie ślady łap górskich kotów. Najwidoczniej tu do wodopoju schodziła się cała zwierzyna z okolicy. Conan przebiegł to miejsce najszybciej jak umiał. Na skraju lasu, za piaszczystym rozlewiskiem zobaczył zwierzęce świeże odchody o charakterystycznym kształcie i zapachu. Znaczyło to, że niedawno przeszedł tędy jelen lub łoś.

Cymmerianin kilka razy głęboko odetchnął zdrowym, leśnym powietrzem, po czym ruszył po śladach jelenia. Biegł tak, by móc dokładniej widzieć kolejne ślady. Nie zachowywał też większej ostrożności. Wiedział, że wytrzymała męczyzna jest w stanie dogonić każdego jelenia, jeśli tylko rozważnie rozkłada swoje siły. Drobną zwierzyną zwykle błyskawicznie zrywała się do ucieczki i choć szybko traciła siły, często wystarczało to do zgubienia prześladowcy, szczególnie na nierównym terenie. Jelenie natomiast, tropione przez dłuższy czas, wreszcie stawały się zbyt wyczerpane, by uciekać dalej. W końcu albo padały ze zmęczenia, albo próbowały wziąć przeciwnika na rogi. Teraz właśnie nadchodził czas próby dla odwagi i broni myśliwego.

Na razie Conan musiał iść tropem, strzec się niebezpieczeństw, a przede wszystkim pilnować, by nie poranić sobie stóp. Chociaż podeszwy mu stwardniały od długich wędrówek w prostym obuwiu i stapaniu po ostrych kamieniach brytuńskiej kopalni, nie znaczyło to, że są wytrzymałe na wszystko. Podróż boso przez usłany gałęziami las, kępy jeżyn i zalegające na brzegach potoków kamienie stanowiła znaczne ryzyko. Całą uwagę wykorzystywał do przyglądania się połamanym gałązkom, zmiażdżonym źdźbłom, ciemnym wgłębieniom w murawie i innym śladom tropionej zwierzyny. Jednocześnie musiał wybierać odpowiednie miejsca do stawiania stóp i szukać sposobu jak najdogodniejszego wymijania pojawiających się na jego drodze przeszkód.

Usłyszał tropione zwierzę, zanim je zobaczył. Jeleń musiał również wyczuć obecność człowieka. Nagły chrzęst gałęzi i szelest roztrącanego listowia świadczył, że zerwał się w panice do biegu. Gdy Conan wypadł zza kępy krzewów na niewielką polankę, jelenia już tam nie było, jedynie kołyszące się jeszcze po przeciwległej stronie polany gałęzie. Cymmerianin wsłuchał się w tupot kopyt. Mocne odgłosy miażdżonych korzeni i łamanych gałęzi świadczyły, że trafił na dużą sztukę.

Conan ruszył śladem zwierzęcia. Po paru chwilach jelen przystanął i Cymmerianin zdołał go wreszcie dostrzec. Była to okazała sztuka o grubym karku, szerokim grzbiecie i poczwórnym rozwidlonych rogach. Zwierzę stało pomiędzy wielkimi drzewami na skraju zalesionego stoku. Na widok człowieka jelen zerwał się i przeskakując zgrabnymi susami przez zwałone kłody biegł pod górę. Conan starał się utrzymywać jak najbliżej, omijając najgęstsze zarośla i domyślając

się, w którą stronę podążyło tropione zwierzę.

Na skalistym wzniesieniu Cymmerianin zgubił trop. Opierając się bardziej na domysłach niż śladach, przeskoczył dzielący dwa wielkie głązy odstęp i zaczął zbiegać po przeciwległym zboczach. Nagle z prawej strony usłyszał stukanie kopyt o skały. Szybko skręcił w stronę, skąd dobiegał dźwięk, nie zwalniając kroku. Musiał jednak przyhamować, przed sobą bowiem ujrzał zbocze zasłane ostrymi kamieniami.

Gdy w końcu je pokonał, nie dostrzegł żadnego śladu jelenia. Przed Conanem rozpościerała się duża, zalana słonecznym blaskiem polana, porośnięta kępami trawy. Nic nie świadczyło, by zwierzę przebiegło tędy, równie dobrze mogło zaszyć się między drzewa okalające polanę. Szukanie śladów byłoby stratą czasu, jeleni przez ten czas zdążyłby odpocząć i odbiec bezpowrotnie. Cymmerianin raz jeszcze rozejrzał się bezradnie po zalanym oślepiającym światłem skraj u lasu.

Wtem rozległo się przenikliwe szczebiotanie dwóch ptaków. Wzbiły się nad drzewa, niewątpliwie spłoszone przez jelenia. Conan ruszył biegiem w tę stronę.

Jeleń coraz to przystawał, a Conan był zdyszany, strużki potu ściekały mu z czarnych włosów, serce waliło jak oszalałe, jakby chciało wyrwać się z piersi. Tropione zwierzę również osłabło. Gdy jeleni kolejny raz zerwał się do biegu, zatoczył się na drzewo, a jego susy przez zarośla były krótsze i powolniejsze niż poprzednio.

Conan od początku obawiał się ostatecznego starcia z jeleniem. Poroże zwierzęcia było doskonałą bronią. Do tego dochodziły potężne mięśnie szyi, by nie wspomnieć o twardych jak granit racicach i ostrych jak u kozła zębach. Barbarzyńca niemal żałował, że nie trafił na pośledniejszą sztukę lub też nie sporządził jakiejś włóczni, którą mógłby nękać jelenia przed zadaniem ostatecznego pchnięcia. W przeszłości powalał równie wspaniałe okazy, jednak za pomocą miecza i topora. Teraz liczył, że zdoła uczynić to pałką i kamiennym toporkiem. Ostatecznie nękał go o wiele większy głód niż kiedykolwiek.

Jeleń zaczął wspinać się na kamienną skarpe. Gdy dotarł prawie na szczyt, poślizgnął się na zadnich nogach. Cymmerianin poczuł piżmowy zapach, jaki ze strachu wydają zwierzęta. Podążając po kamieniach śladem jelenia, gotował się do ciśnięcia weń pałką, utrudniała mu to jednak stromizna zbocza. Zwierzę zniknęło po drugiej stronie wzniesienia, lecz barbarzyńca, bardziej podniecony niż wyczerpany, piał się ze zdwojoną szybkością na szczyt.

Niespodziewanie z przodu rozległ się krótki chrzęst, po którym nastąpiło żalosne ryknięcie. Coś wielkiego przemknęło przez zarośla, znacząc swoją drogę gradem strąconych liści. Conan miał wrażenie, iż ziemia zadrżała pod stopami, jakby uderzył w nią wielki ciężar.

Kiedy znalazł się na szczycie, na otwartej przestrzeni, jelenia nie było nigdzie widać. Że tu był, świadczyły ślady krwi na ledwie widocznej ścieżce. Karmazynowych kropli, lśniących na żdźbłach traw, było wystarczająco wiele, by Conan zdał sobie sprawę, że pościg dobiegł końca.

Gdzie jednak podziało się tropione zwierzę? Cymmerianin czujnie rozejrzał się po rozciągających się poniżej nierównych stokach, lecz nie dostrzegł ani więcej śladów krwi, ani oznak, że jeleni włócił się po trawie. Conanowi przemknęła przez głowę myśl raczej nieprawdopodobna, że być może zwierzę porwał jakiś olbrzymi ptak. Może jelenia i jego śledził niepostrzeżenie jakiś drapieżnik? A może jacyś ludzie? Może jeleni wpadł w pętlę założoną na przygięte do ziemi drzewo i został wystrzelony wysoko w powietrze? Nie. Czary? Może.

Nie było ani śladu jelenia, ani nawet jego zapachu, prócz ulotnego, kwaśnego aromatu krwi. Oczywiście, Conan czuł również własny pot, zmieszany z wyraźnym, jakimś nieprzyjemnym zapachem. Szybko zdał sobie sprawę, z jakim. Była to woń strachu, zupełnie uzasadniona nagłą zmianą roli z tropiącego na tropionego.

Strach... Żle by się stało, gdyby jakiś grasujący drapieżnik wyczuł tę woń i ją zapamiętał. Conan uważnie rozejrzał się po skraju lasu, zastanawiając się, czy nie kryje się w nim obserwujący go prześladowca. Wreszcie zdecydowanie odwrócił się i pobiegł z powrotem nad rzekę, by się wykapać.

W czwartym roku pobytu w osadzie Sodgrum, w gospodarstwie Arnulfa Zacnego Tamsin odzyskała dar mowy. Stało się to w Dzień Chrzestny, wielkie święto brytuńskiego Kościoła, co stwarzało wrażenie pomyślnego zmiany losu. Zapewne uznano by to za cudowne dzieło Amaliasa, głównego boga brytuńskiego panteonu, gdyby sprawy nie potoczyły się inaczej.

W ciągu tych lat Tamsin urosła, lecz kształty jej nie nabrały kobiecej krągłości. Nie brała udziału w całodziennych pracach w polu, kuchni i zagrodzie, do których zmuszone były inne wiejskie dzieci. Bez wątplenia jej wyjątkowa pozycja wynikała z postawy ojczyma. Co więcej, Tamsin nie brała również udziału w dziecięcych zabawach, konnych wyprawach i polowaniach. Dzięki temu nie nabrała rumianej cery ani kaczkowatego, ciężkiego chodu, charakterystycznego dla wiejskich podlotków. W dwunastym roku życia Tamsin pozostała szczupłą, ascetycznie wyglądającą dziewczynką, której lniane niegdyś włosy nabrały kasztanowego odcienia. Dziewczynka nosiła najchętniej długie, malowane w kwiaty szaty i lekkie sandały, które dostała po macosze. Słaba i chora na nerwy kobieta przez wszystkie te lata rzadko opuszczała łoże boleści.

"Żona Arnulfa nie tylko jest naprawdę chora, lecz odurza się również naparem z lotosu" - plotkowały niektóre wieśniaczki. "Jest też tak głupia, że śmiertelnie boi się zagonić do jakiegokolwiek pracy tę małą wiedźmę, Tamsin". Przyznawano im rację, ale ponieważ tych, którzy oczerniali Arnulfa i jego domostwo, zadziwiająco często nawiedzały różne choroby, jak czyraki na szyi i bóle brzucha, plotki powoli ucichły. Tamsin zadowalała się noszeniem darowanych ubrań i prostych wstążek do związywania długich włosów. Wszystkie ozdoby, które otrzymywała, przeznaczala dla stale noszonej przy sobie lalki. Często stroiła ją w wieńce z ziół i kwiatów ostu, naszyjniki z kamieni, rzeźbionych kości i kawałków drewna oraz kosztowniejsze ozdoby, pożyczane z kufra chorowitej macochy. Chociaż mieszkańcy osady z początku szydzili z lalki, pogodzili się z jej obecnością i traktowali ze skrywanym lękiem.

Na szczęście Tamsin nie można było zarzucić lenistwa ani ociężałości, co utrudniałoby jej życie w prostej, wiejskiej społeczności. Chociaż nie mówiła, wykazywała żywe zainteresowanie otaczającym ją światem: uprawą i wykorzystaniem roślin, poznawaniem zwyczajów udomowionych i dzikich zwierząt, mistycznym znaczeniem żywiołów, gwiazd i pór roku oraz przejawiającą się w codziennym losie śmiertelników kapryśną wolą bogów.

Milczenie dziewczynki w pełni rekompensowała jej wyjątkowa spostrzegawczość. Nie było godziny, by Tamsin nie obserwowała otoczenia z okna lub z chłodnego cienia przydrożnego dębu. Zawsze miała przy sobie lalkę o nieprzeniknionej buzi. Patrzyła na wszystko w milczeniu, znała rytmy natury oraz cykl pracy i zabawy ludzi. Pilnie przysłuchiwała się rozmowom starszych. Z czasem wieśniacy przyzwyczaili się do stałej obecności milczącej sieroty. Ponadto Tamsin miała dobry wpływ na dzieci, działała na nie uspokajająco, więc dorośli byli zadowoleni, że przebywa wśród nich.

Przewodnikiem Tamsin w zdobywaniu wiedzy był stary Urm, wiejski znachor i zaklinacz. Dziewczynka towarzyszyła mu chętnie - gdy przychodził leczyć chorą żonę Arnulfa. Pokryta strzechą chata Urma stała u stóp wzgórza, na którym znajdowała się wieś. Dziewczynka chodziła tam, a starzec godzinami mówił spokojnym, cichym głosem o magii, zaklęciach, uczył ją różnych receptur, które dla łatwiejszego zapamiętania ułożone były wierszem. Chciał przekazać jej wszystkie szczegóły znanych sobie sztuk tajemnych. Urm i Tamsin - zawsze ze swoją lalką - byli prawie nierozłączni. Spędzali czas na łapaniu osobliwych ryb w potokach, oglądali owady na bagnach, palili w piecu Urma ognie niezwykłej barwy i przeczesywali okolice w poszukiwaniu obdarzonych magicznymi właściwościami ziół, kamieni i rodzajów gleby.

Nikt nie wiedział, czy Tamsin odzywała się w obecności Urma, czy i przy nim zachowywała milczenie, a kontakt z nim nawiązywała w jakiś mistyczny sposób. Było oczywiste, że dziewczynka wiele nauczyła się od znachora, w którego towarzystwie przebywała chętniej niż z kimkolwiek ze swojej przybranej rodziny czy rówieśników.

Dlatego pożar w chacie Urma, w którym stary znachor stracił życie, był kolejną tragedią w życiu dziewczynki, następnym dopustem nieprzychylnych bogów. Czy Tamsin była razem z nim, gdy strzecha zajęła się ogniem? Czy może przybiegła na miejsce tragedii, wiedzioną złym przecuciem? Mieszkający najbliżej sąsiad opowiadał później, że chata spłonęła w jednej chwili, a gdy dobiegł do

zgliszczy, zobaczył stojącą tam bezradną Tamsin. Sierota przyglądała się płomieniom nieruchomym spojrzeniem czerwonych od żaru oczu, tuląc w ramionach ukochaną lalkę.

"Nie wiecie, że to dzieło tej małej jędzy? Wyssała z Urma całą wiedzę jak pijawka, a potem usmażyła starego durnia pod jego własną strzechą!" - rozpowiadała złośliwie jedna z wiejskich staruch. Tej samej zimy umarła wskutek ospy i drgawek, co szybko uciszyło plotki.

Po pożarze niewiele zostało z przedmiotów używanych do magii przez znachora. Wieśniaków ujął fakt, że to właśnie Tamsin, schowawszy lalkę pod bluzkę, wyniosła zwęglone kości Urma z jego budzącej powszechny lęk chaty. Mieszkańcom osady nie wystarczyło na to odwagi. Tamsin z najwyższym szacunkiem złożyła prochy starca w szkatule z wonnego cedrowego drewna. Długo trzymała ją na poczesnym miejscu niewielkiego magicznego skarbcza, który urządziła w szopie obejścia Arnulfa. Inną pamiątkę po jej nauczycielu - zaśniedziały i poczerniały miedziany naszyjnik Urma - powiesiła na szyi lalce. Być może dziewczynka chciała w ten sposób wyrazić wdzięczność temu, który wprowadził jaw tajniki czarów.

Sposoby uzdrawiania poznane przez Tamsin okazały się wystarczające, by teraz mogła podjąć się opieki nad mieszkańcami osady. Gdy jakaś gospodyni potrzebowała lekarstwa na chore płuca, dziewczynka przyrządzała palący okład, posługując się osmalonym mózdzierzem i tłuczkiem, wyniesionym ze spalonej chaty Urma. Jedną dłonią zręcznie nakładała leczniczy środek na plecy cierpiącej kobiety, a szelest nasion w dyni i brzęk ozdób trzymanej w drugiej ręce lalki zastępowały mamrotane przez starca kojące zaklęcia. Gdy któryś z wieśniaków potrzebował trutki na grasujące w kurniku łasice, okazywało się, że Tamsin ma wszystkie potrzebne proszki i zioła. Kiedy dziewczynka wręczała gotową mieszaninę, jej surowa mina stanowiła wystarczającą gwarancję skuteczności trucizny. Metody Tamsin pod jednym względem różniły się od metod Urma: ku zaskoczeniu wieśniaków mała czarodziejka zgłaszała się po zapłatę dopiero wtedy, gdy jej środki sprawdziły się w działaniu. Co więcej, za darmo podjęła się zwalczania stałej, wyniszczającej choroby swej macochy. Korzystając wyłącznie z zebranych na miejscowych bagnach składników, bez nabywanych od wędrownych przekupniów kosztownych proszków, na których polegał jej poprzednik, Tamsin sporządziła nowy, uzdrawiający eliksir. Jakież było zdumienie wszystkich, gdy lek spowodował ustąpienie dolegliwości biednej kobiety. Przyczyniło się to do poprawy małżeńskich stosunków i dało mile widziane przez Arnulfa oszczędności.

W rozlicznych prowincjonalnych osadach Brytunii między wioskowymi znachorami i czarodziejami a kapłanami Amaliasa i innych bogów panowały stosunki w najlepszym razie chłodne. Przedstawiciele uznanej za obowiązującą w państwie religii twierdzili, że tylko oni mają prawo do aktów uzdrawiania i przepowiadania przyszłości, dotyczącej nawet najzwyklejszych codziennych spraw. Twierdzono, że wyznawcy Amaliasa winni są swemu bóstwu bezgraniczną wierność i posłuszeństwo. Kapłani zajmowali się jednak przede wszystkim najpoważniejszymi i najbardziej dochodowymi sprawami - wojnami i suszami, zarazami i arystokratycznymi małżeństwami oraz interpretowaniem wizji i majaczeń króla Tyfasa, gdy zanadto pofolgował sobie w nadużyciu trunków. Zainteresowanie kościelnej hierarchii skupiało się przede wszystkim na stolicy i świątyniach w głównych miastach prowincji. Kapłanów Amaliasa było zbyt mało, do tego okazywali się zbyt wyniośli, by zniżyć się do uczestniczenia w niedolach niewolników i mieszkańców odległych, zacofanych okolic. Z tych względów tolerowano wysiłki miejscowych szamanów i uzdrowicieli jako wystarczające na potrzeby naiwnych mieszkańców puszczy i bagnisk, nie mających ochoty rozstać się ze swoimi starymi bóstwami i przesadami. Niektórzy czarownicy okazywali pozorny respekt dla obowiązującej religii, wplatając imię Amaliasa w swe zaklęcia i nosząc prymitywne imitacje świętych talizmanów i symboli, zdobiących kapłanów i oficerów cesarstwa. Inni nie robili nawet tego. Ryzykowali, że gdy zaistnieje potrzeba znalezienia kozłów ofiarnych lub odwrócenia uwagi od miejscowych politycznych kłopotów, zavisną na szubienicach lub zostaną wyklęci przez hierarchów Kościoła, któremu nie chcieli się podporządkować.

Słudzy Amaliasa mieli kontakt z pospólstwem zwykle przy okazji dorocznych przechodnich świąt. Ich daty zależały od rozkładu podróży objeżdżających prowincje kapłanów i od ich religijnych obowiązków. Jednym ze świąt był Dzień Chrestny. Kapłan z danej prowincji sam ustalał datę przybycia do określonej miejscowości. Tam błogosławił dorastającą młodzież i wciągał oficjalnie nadane im imiona do kościelnego rejestru, w ten sposób umożliwiając

im ogłaszanie przedślubnych zapowiedzi; dorośli mogli też sprzedawać ludzi na służbę.

Gdy wyznaczono termin Dnia Chrztanego dla okolicznych miejscowości, pobożny i ogólnie szanowany człowiek, Arnulf Zacny, wkrótce złożył prośbę o ochrzcenie Tamsin oraz jego starszych dzieci. Ponieważ dziewczynka nie odzywała się, trudno byłoby powiedzieć, że stało się to za jej zgodą, ale widać było wyraźnie, iż nie okazywała żadnych oznak niezadowolenia, gdy mówiono o jej udziale w uroczystościach.

Naczelny kapłan dla prowincji, do której należało Sodgrum i pół setki innych biednych przysiółków, nazywał się Epiminofas. Przybrane imię i smarowane oliwą włosy świadczyły, że pyzaty kapłan o woskowej twarzy marzył o zdobyciu miejsca pośród elity rządzącej w Kościele i państwie, w większości wywodzącej się z koryntiańskiej szlachty. Epiminofas nie zamierzał wcale odbywać męczących podróży, by celebrować obchody świąt przed wieśniakami. Liczył, że uwolni się od tych obowiązków, gdy tylko zdoła zapewnić sobie wystarczająco duże wpływy i wyższą pozycję w hierarchii. Niedawno dotarły do niego dość niezwykle pogłoski o młodej uzdrowicielce. Właściwie była jeszcze dzieckiem, ale tak zręcznie posługiwała się magicznymi eliksirami i czarodziejskimi sztuczkami, że sława jej rozniosła się po okolicy. W wielu położonych w pobliżu wsiach krążyły nadzwyczajne opowieści o jej talentach i doświadczeniu. Na domiar mówiło się, że jest niezrównanie piękna. Zwłaszcza ta pogłoska wzbudzała w Epiminofasie zaciekawienie.

Dla wiernych Amaliasa rosnąca sława jakiegoś domorosłego zaklinacza czy proroka nie była niczym nowym. Przeważnie więcej znachorzy gięli karki przed kościelną władzą, co przyczyniało się do wzrostu posłuszeństwa wśród tych, którzy uwierzyli w ich moc. Jeżeli zaś okazywali się oporni, dawano im przykładową nauczkę, co przeważnie pomagało. Efekty podporządkowania sobie samozwańczych świętych zależały od siły przeświadczenia o ich własnej potędze. Niekiedy urojenia okazywały się tak silne, że niechętnie stosowano wobec szamanów tortury. Jeśli kiedykolwiek w przeszłości Epiminofas zmuszony był uciekać się do takich środków w przypadku szczególnie opornych wiedźm, były to dla kapłana najbardziej satysfakcjonujące przeżycia w dziele szerzenia świętej wiary. Pamiętając o tym, tłusty hierarcha zadbał, by osobiście przybyć na miejsce obchodów Dnia Chrztanego. Zjawił się tam w złoczonej lektyce, niesionej przez ośmiu świątynnych adeptów - krzepkich chłopaków, wybranych nie tylko do dźwigania swego przełożonego, lecz również pełnienia roli przybocznej ochrony i poskromicieli tłumu.

Obchody miały zacząć się w południe w Dolmen-Abbas, świętym miejscu, położonym mniej więcej w środku grupy wiosek, tak iż mieszkańcy mogli dotrzeć tam pieszo. Nikt tam nie mieszkał - niewątpliwie ze względu na głęboką cześć, jaką otaczano to miejsce. Dolmen przypominał inne miejscowości, położone we wschodniej części cesarstwa i znajdował się na polanie nad osadą właśnie o nazwie Abbas. Był to krąg olbrzymich, z grubsza ociosanych kamiennych słupów, połączonych rozpadającymi się nadprożami i pokryty niskim, stożkowatym dachem z belek i trzciny, chroniącym przed lodowatym śniegiem, częstym w tej górskiej okolicy. Chociaż kamienną budowlę wzniesiono w dawno zapomnianej epoce - jak szeptano, ku czci bogów o wiele starszych niż Amalias - stanowiła obecnie jeden z licznych przybytków ku czci nowego, oficjalnie wyniesionego na ołtarze bóstwa - odpowiednie miejsce dla dorocznych ceremonii i składania ofiar.

Lektykę z naczelnym kapłanem doniesiono pod sam Dolmen na czele procesji dzieci i ich rodzin z okolicznych wiosek. Ci, którzy przybyli z odleglejszych zaścianków, spędzili noc w zaciszu świątyni, grzejąc się przy rozpalonym ognisku z torfu. Wierni przykryli zniszczony wilgocią dach nową warstwą splecionych trzciny, ziemię wewnątrz posypano świeżo zżętą trawą. Natychmiast po przybyciu świątynni adepci przystąpili do rozstawiania za ołtarzem parawanu ozdobionego jaskrawymi malowidłami, za którym Epiminofas mógł wdziać swe zabrane w podróż wspaniałe (lecz nie najwspanialsze) szaty i przygotować się do ceremonii.

Obrzędy się rozpoczęły. Młode dziewczęta i niewinni chłopcy w strojach z płótna lub grubo tkanego lnu po kolei podchodzili do ołtarza w asyście starszych krewnych. Niektórzy zbliżali się do kapłana z wielką nieśmiałością, inni - z podniesionym czołem. Wywoływano ich po imieniu, a po podejściu do ołtarza pytano raz jeszcze, czy przyjmują takie właśnie imię, jak podali rodzice. Następnie zakapturzeni adepci silnie ujmowali prawe dłonie obdarzanych imionami, Epiminofas zaś w prawą nacinał ceremonialnym spiżowym nożem ich wskazujące

palce. Skapującą do zagłębienia w ołtarzu krwią drugi z adeptów zapisywał imiona na rytualnym zwoju, w ten sposób potwierdzając oddanie dziecka w wieczną niewolę Amaliasowi.

Dla małej Tamsin zarezerwowano miejsce na końcu. Przybyła późno, nawet po samym Epiminofasie. Towarzyszące jej pojawieniu się spojrzenia i szepty potwierdzały otaczający ją rozgłos. Jej obojętne, nieprzeniknione spojrzenie wywarło niezwykle wrażenie nawet na naczelnym kapłanie. Amulf będący głową rodziny poprowadził zalęknionych kuzynów, swoje dzieci oraz Tamsin, by przyjęli błogosławieństwo. Towarzyszyło temu głębokie milczenie wszystkich zebranych i widać było, że ciemni wieśniacy czują i respekt, i lęk przed rudowłosą dziewczynką.

Mała zbliżyła się do ołtarza zachlapanego krwią, odrobinę ciemniejszą od pukli jej włosów. Epiminofas zobaczył, że dziewczyna włożyła wyjątkowo pstrokaty strój zamiast noszonej zwykle przy tej okazji białej lub szarej koszuli. Ubranie jej było obszerne, zbyt długie, koloru spłowiałej zieleni, a rękawy luźno zwieszały się na szczupłych nadgarstkach. Pod szyją wycięty dekolt odsłaniał białą skórę. Jeszcze bardziej niezwykły był przedmiot, z którym dziewczynka przybyła na uroczystości. Oczywiście była to pokraczna lalka, niezgrabnie pozszywana i zniszczona, ale za to wystrojona w jaskrawe kawałki tkanin i mnóstwo mało wartościowych błyskotek: naszyjników, bransolet, diademów i brosz.

Epiminofas postanowił nie zwracać uwagi ani na strój młodej czarownicy, ani na jej zabawkę. Domyślał się, że lalka stanowiła rekwizyt przy magicznych sztuczkach. Skoro czarodziejka postanowiła odróżniać się od tłumu wieśniaków, by podkreślić w ten sposób znaczenie spotkania z przedstawicielem uznawanego przez świeckie władze Kościoła, mogło to przynieść obydwu stronom korzyści. Gdyby jednak kapłan nie zdołał dojść z Tamsin do porozumienia, triumf sługi Amaliasa byłby tym wspanialszy, a upokorzenie czarownicy - tym sroższe.

- Twe imię, dziecko? - zapytał kapłan dźwięcznym głosem.

Podczas długiego milczenia, które zapadło po pytaniu, Epiminofas powiódł po świątyni surowym wzrokiem w poszukiwaniu sprzymierzeńców młodej czarodziejki. Baczenie przyjrzał się spoczonej, wystraszonej twarzy chłopca, którego zwano Arnulfem Zaczynem.

- Wasza dostojność! - odważył się wreszcie odezwać wieśniak. - Muszę przemówić w imieniu mojej pasierbicy, gdyż od dnia śmierci swoich rodziców nie mówi. - Tamsin! - przerwał mu dźwięczny, zdecydowany głos dziewczynki. - Tak brzmi moje imię i niech tak zostanie zapisane.

Natychmiast posłusznie wyciągnęła dłoń nad ołtarz. Szmer i szepty, które rozległy się w pokrytym strzechą pomieszczeniu, pozwoliły kapłanowi zorientować się, że oto wydarzyło się coś niezwykłego. Po chwili zrozumiał: dziewczynka przez długie lata udawała niemowę, by teraz jej odezwanie się sprawiało wrażenie cudu.

- Tamsin... - Epiminofas zawiesił głos, by nadać mu jak największej powagi, - Czy przysięgasz wieczne posłuszeństwo najwyższemu bogowi Amaliasowi?

Kapłan dodał wymyśloną na poczekaniu kwestię, by rozwiać wątpliwości zgromadzonych wieśniaków, jakie jest istotne znaczenie tej ceremonii.

- Przysięgam posłuszeństwo najwyższemu bóstwu.

Znów rozległ się szmer zebranego tłumu. Oto rozwiały się ostatecznie wątpliwości - Tamsin zaczęła mówić. Dźwięczny jak bicie dzwonu głos dziewczynki sprawiał wrażenie, jak gdyby przez wszystkie te lata potajemnie ćwiczyła mówienie. Epiminofas wiedział dobrze, że stoi przed nim jedynie utalentowana aktorka. Skinął głową, a czekający w pogotowiu adept przytrzymał wyciągniętą rękę dziewczynki. Kapłan ujął jej kruchą dłoń, odwrócił do góry i przyłożył spiżowy nóż do wskazującego palca.

Być może zadziałała jedynie wyobraźnia, ale Epiminofasowi zdawało się, że delikatna skóra zaczęła perlić się grubymi, rubinowymi kroplami, zanim jeszcze dotknął jej cienkim jak brzytwa ostrzem. Być może dziewczyna ukryła w dłoni nóż... lub potrafiła siłą woli wywołać takie zjawisko. A może uparte spojrzenie zielonych oczu zakłóciło na moment uwagę kapłana.

- Tamsin z wioski Sodgrum-oznajmił wreszcie Epiminofas tonem mniej pewnym i doniosłym, niż zamierzał. Zakapturzony skryba pochylił głowę, rytualnym gestem umoczył koniec pióra w płomie świeżej krwi na ołtarzu i zapisał wyjątkowo zamasyście imię na zwoju pergaminu.

- Niech towarzyszy ci w życiu błogosławieństwo Amaliasa - oświadczył Epiminofas.

Usłyszawszy pomruk zadowolenia tłumu, kapłan poczuł nieokreśloną ulgę, iż młodziotka uzdrowicielka, chociaż kusząco śliczna, zniknie mu sprzed oczu.

Tamsin nie odeszła jednak od ołtarza. Chociaż adept puścił jej rękę, dziewczynka stała nadal przed Epiminofasem z wyczekującą miną, nie spuszczać z niego spojrzenia świetlistych zielonych oczu. - Możesz odejść, dziecko - rzekł łaskawie kapłan, spoglądając znacząco nad ramieniem Tamsin na jej ojczyma.

Arnulf przysunął się nerwowo do przybranej córki. Chociaż najwyraźniej wolałby odejść od ołtarza, lękał się ująć za ramię i odprowadzić małą czarodziejkę. Epiminofas ponownie popatrzył na Tamsin, tym razem z surową miną.

- Imię zostało ci już nadane.

- Być może - odrzekła dziewczynka ze zdumiewająco stanowczym spojrzeniem. - Została wszakże jeszcze jedna osoba.

- Jeszcze jedna?

Epiminofas rozejrzał się szybko po wiernych, pogrążonych w milczeniu, po czym obejrzał się na skrybę, który pokręcił przecząco głową.

- Moja przyjaciółka. Jej imię również powinno zostać zapisane - stwierdziła Tamsin.

O co chodziło młodej czarodziejce, stało się jasne, gdy uniosła rękę, prezentując nedorzeczną zabawkę w cudacznym przebraniu. Tamsin obróciła nią zdecydowanym gestem, by rozwiać wszelkie wątpliwości kapłana.

- Ninga - padło słowo wyrzeczone ochryplym tonem. Można było odnieść wrażenie, że oto przemówiła sama lalka. Głos zlewał się z dźwiękiem przesypywanych ziaren w dyni i brzękaniem ozdób. - Proszę, nadaj mi imię Ninga, Epiminofasie!

Kapłan słyszał o wykorzystywaniu w prymitywnej magii miniaturowych ludzkich podobizn, lecz coś podobnego było niedopuszczalne w świątym kulcie Amaliasa. Uznał, że rozgrywająca się właśnie scena jest idiotyczna i bezwstydną. Obdarzenie lalki imieniem zakrawało na bluźniercze, bezczelne szyderstwo.

- Niewdzięcznica! - Epiminofas nie potrafił powściągnąć gniewu. - Amalias nie po to dał ci dar mowy, byś z niego drwiła!

Zbierał się, by skarcić Tamsin jeszcze surowiej, lecz mała czarodziejka zapobiegła temu, odzywając się dźwięcznym i spokojnym, lecz zdumiewająco rozkazującym tonem:

- Lepiej porozmawiajmy. - Dziewczynka rzuciła okiem na jaskra-woczerwony parawan za ołtarzem, wyrzuszony lekko pod wpływem wiatru od wrzosowisk. - Na osobności, tylko we troje - dokończyła, ponownie obejmując groteskowy fetysz ramieniem.

Epiminofas pomyślał, że przystanie na propozycję Tamsin mogło okazać się korzystne. Zyskiwał okazję postraszenia przedwcześnie dojrzałego dziecka, któremu mimo objawów szaleństwa chyba nie brakowało inteligencji. Mógł też sprowokować ją do dalszych herezji i bluźnierstw, które usprawiedliwiłyby natychmiastowe wymierzenie jej spektakularnej kary na oczach tłumu. Dzięki temu odzyskałby przynajmniej pozory panowania nad sytuacją - co było nie do pogardzenia w sytuacji, gdy jego autorytet został nadwerężony. Mimo to udzielenie nauczki małej wiedźmie i jej lalce na osobności było upokarzające.

Gdy Epiminofas przeprowadził Tamsin za parawan, towarzyszyło mu czterech adeptów i skryba. Po odejściu pasierbicy Arnulf upadł na twarz przed ołtarzem, dygocząc ze strachu.

- Zrozum, mieniąca się czarodziejką panienko, że wszyscy muszą okazywać należną cześć Amaliasowi. - Epiminofas zaczął mówić swobodnie, ufając, że adepci nie dopuszczą, by ktokolwiek podsłuchał ich z drugiej strony parawanu. - Możesz mnóstwo zyskać na uprawianiu czarów w tej zacofanej okolicy bez konieczności płacenia dziesięciny na rzecz świątyni. Tolerujemy w rozsądnych granicach przesady prostych wieśniaków, chociaż rzecz wyglądałaby zupełnie inaczej, gdybyś zaczęła urządzić swe sztuczki na przykład w Yervash. Wówczas podważyłabyś otwarcie autorytet obowiązującej religii i zostałabyś ukarana z bezwzględną surowością. - Epiminofas przysiadł na składanym taborecie tak, by nie patrzeć na dziewczynkę z góry i w ten sposób sprawić wrażenie, że traktuje ją poważnie. - Konieczne jest jedynie, byś okazywała Kościołowi respekt i posłuszeństwo. Nikogo nie obchodzi, co myślisz naprawdę. Zrozum, dziecko, jest niemożliwe, by kapłani Amaliasa oficjalnie uznali twoje sztuczki i przekonania przez wpisanie imienia twojej lalki w nasze święte zwoje. - Niecierpliwie machnął ręką. - Słudzy wszechmocnego Amaliasa nie mogą spełniać twoich kaprysów; by tak rzec, byłoby to stawianie wozu przed koniem.

Tamsin przyjrzała się Epiminofasowi z udawanym zaskoczeniem.

- Mówisz jak ktoś, kto zwątpił w swojego boga. Nie tylko w kościelne prawa, lecz w magię i świętość przepełniające ziemię i powietrze, które cię otaczają.

Kapłan pomyślał, że sformułowania czarodziejki są zdumiewająco wyszukane jak na kogoś, kogo uważano za niemowę.

- Daj spokój, dziecko - zaśmiał się. - Chcesz wmówić mi, że sama wierzysz w swe sztuczki, którymi mamisz naiwnych? W mamrotanie zaklęć i puszczanie dymów, by oszukać wiejskich prostaków? Przecież noszenie tej lalki i udawana niemota nie służyła ci do niczego innego - powiedział cynicznie. - Jeśli tak jest, jesteś bardziej naiwna, niż podejrzewałem. - We wzroku, który skrzyżował z jej nieruchomym spojrzeniem, kryła się równocześnie ironia i groźba. - Nie staraj się oszukać oszusta ani kpić z kogoś mądrzejszego i bardziej doświadczonego w tej grze. Skutki mogą okazać się dotkliwie. Z drugiej strony nic nie stracisz, okazując należną pokorę i szacunek.

Kapłan zdjął upierścienioną dłoń z rękojeści ceremonialnego noża, wsuniętego do pochwy spiżowego pasa, i wyciągnął rękę, by poufale pogłodzić Tamsin po obleczonym w zieloną szatę ramieniu.

- Wydaje ci się, że nasza magia jest równie fałszywa jak twoja wiara? - rozległ się nagle szeleszczący głos lalki. Epirninofas nie zdołał się opanować i gwałtownym ruchem odsunął się od podsunętej przed jego twarz zabawki. - Spróbujmy!

Po wydarzeniach z Dnia Chrztanego sława Tamsin i Ningi zataczała coraz szersze kręgi. Wszak obydwie obdarzone zostały nieodwołalnym, powszechnie uznawanym błogosławieństwem Amaliasa. Nic dziwnego, że młodą czarodziejkę i jej magiczną zabawkę wzywano nieraz daleko od jej rodzinnej wioski, by dokonywała uzdrowień, rzucała oraz zdejmowała uroki i wykonywała inne magiczne obrzędy.

Czary Tamsin cieszyły się takim wzięciem, że zaczęła uczyć swe przyrodnie siostry i braci prostszych obrzędów w rodzaju spędzania płodów, oczyszczania studni i wywabiania robactwa. Mogli je wykonywać pod jej nieobecność. Młody Arl stał się szczególnie znany jako doświadczony uzdrowiciel zwierząt domowych, podczas gdy jego młodsza siostra Hurda okazała się niezrównanie biegła w sprawianiu, by ser zaczął fermentować.

Najdonioślejsze wezwanie dla Tamsin nadeszło od rady miejskiej Falanderu, gdzie od dawna potrzebowano różdżkarza. O ile wiadomo, młoda czarodziejka nigdy nie okazała umiejętności znajdowania źródeł. Mimo to powszechnie sądzono, że i ta sztuka nie jest jej obca. Nie zdziwiono się zatem, gdy Tamsin uległa prośbom wysłanego przez radców Falanderu kuriera i podjęła na oślim grzbiecie kilkudniową podróż na południe. Czarodziejkę goszczono po drodze w najlepszych zajazdach, gdzie również dokonywała pomniejszych cudów. Nadal odbywała się z rzadka, była przez to jeszcze bardziej tajemnicza i nieodgadniona, a jej sława rozniosła się jeszcze dalej. Falander było największą miejscowością, jaką dziewczynka widziała do tej pory. Miasteczko było o wiele okazalsze niż Sodgrum i inne biedne osady północnej prowincji. Falander nie był umocniony, lecz łączące się ze sobą mury, otaczające najbogatsze siedziby na wzgórzu, tworzyły swego rodzaju obronny bastion. Kamienny łuk wznosił się nad główną ulicą u podnóża wzniesienia, poniżej którego znajdowały się kupieckie stragany i domy mniej zamożnych mieszkańców.

Obok znajdowało się źródło, jednak z każdym rokiem dawało coraz mniej i coraz bardziej mętną wodę. Miejskie zbiorniki były zwykle puste, przez co bogaci mieszkańcy Falanderu stanęli przed koniecznością porzucenia swoich wystawnych willi i posiadłości, by zaczynać życie od nowa w którymś z pobliskich miasteczek.

- Wznosiliśmy modły, jak zalecono nam w świątyni w Yervash, stolicy prowincji - wyjaśnił siwowłosy burmistrz, gdy witał Tamsin w miejskim zajeździe. - Nasi kapłani pobłogosławili studnię, podobnie jak hierarchowie Kościoła, których zaprosiliśmy tu aż z Sargossy. - Odziany w szatę z gronostajowym kołnierzem burmistrz potrząsnął głową, przyciskając do piersi złocony medalion na wstędze, symbol jego stanowiska. - Twierdzili, że zjawisko wysychania wody na pewno ustąpi. Chcieli nam wmówić, że jest to kara za jakieś grzechy, w związku z czym musimy okazywać większą pobożność i składać hojniejsze ofiary. - Stary człowiek spojrzał na towarzyszących mu dwóch równie wiekowych radców, którzy zaśmiali się gorzko. - Moim zdaniem, chcieli dostać zapłatę bez gwarancji

wyniku.

- Tak jest - przyznał łysiejący skarbnik miejski i w uśmiechu ukazał nieliczne zęby. - I tak już dużo zmarnowaliśmy drachm. Nie opłaca się nam dalej napełniać kufrów kapłanom!

- Ty, młoda damo, cieszysz się opinią osoby nie zważającej na kościelne władze i, by się tak wyrazić, ich własną grę - odezwał się tłusty sędzia ziemski. - Założę się, że masz więcej skutecznej magii w jednym ze swoich ślicznych paluszków niż cała procesja mamroczących modły kapłanów.

- Istotnie - przyłączył się do niego burmistrz z uniżonym uśmiechem. - Gdybyś tylko zechciała, młoda damo, oczywiście razem ze swoją przyjaciółką... - dodał szybko, uprzejmym gestem wskazując lalkę - mogłabyś osiągnąć to, co nie udało się kościelnym hierarchom. Czekalaby cię za to sowita nagroda. Prosimy, zechciej sprawić, by nasze źródło znów zaczęło bić hojnie przez okrągły rok lub znajdź inne, obfitsze. Jesteśmy przygotowani zapłacić ci... - Dosyć! - przerwała mu Tamsin dzwięcym głosem, wciąż stanowiącym nowość dla jej otoczenia. - Narzekacie na kapłanów, którzy wymuszają na was ofiary i nie dają nic w zamian. Ja najpierw postaram się rozwiązać wasze kłopoty, dopiero później porozmawiamy o zapłacie. Czy wasz goniec znalazł, o co prosiłam?

Ojcowie miasta z zadowoleniem przywitani zmianę tematu. W chwilę później goniec pojawił się, niosąc przedmiot, o który prosiła Tamsin.

- Proszę, oto różdżka świeżo ucięta ze zdrowego, młodego jesionu - zwrócił się do Tamsin z szacunkiem.

Magiczne narzędzie miało znany od stuleci kształt: była to rozwidlona gałązka ze skośnie uciętymi wszystkimi trzema końcami. Tamsin ujęła różdżkę w szczupłe dłonie i wystawiła przed siebie, nie wypuszczając lalki spod łokcia.

- Chodźcie - powiedziała.

Wstała z za stołu i poszła do wyjścia, za nią radcy. Gdy znaleźli się na głównej ulicy miasteczka, Tamsin ruszyła zdecydowanym krokiem przed siebie. Jej ruchy były pełne gracji. Trudno było powiedzieć, czy istotnie kierowała się płynącymi przez różdżkę impulsami, w każdym razie zawędrowała do źródła na rynku. Niegdyś woda wypływała zeń do szerokiego zagłębienia o kamiennej obudowie, lecz obecnie na dnie widniało jedynie parę kałuż z żółtozielonym osadem. Tamsin skrzywiła się, bo ze zbiornika unosiła się woń zgniłych jajek.

- To źródło jest przeklęte. Nie da się go uratować - oznajmiła radnym.

Z wy stawioną przed siebie różdżką młoda czarodziejka odwróciła się i ruszyła dalej - rym razem wolniejszym krokiem. Minęła zajazd i przeszła główną ulicą, zwężającą się pod kamiennym łukiem. Poza centrum miasteczka kończyła się brukowana droga, a zaczynała piaszczysta. Członkowie rady miejskiej cały czas podążali za czarodziejką. Szybko dołączył do nich tłum mieszkańców i czereda rozbawionych, rozbrykanych dzieci.

- Idzie w dół - stwierdził ze zdziwieniem jeden ze sklepikarzy na widok Tamsin. - Dziwne, wszyscy poprzedni różdżkarze szli pod górę.

Tamsin bez słowa poprowadziła towarzyszący jej orszak dalej pylistą drogą. Gdy dotarła do biedniejszych, pozbawionych ogrodzeń domostw, zaczęła krażyć po ogródkach, między kurnikami i paleniskami na zewnątrz chat. Wiedziona najwidoczniej nadnaturalnymi impulsami, dziewczynka przeskakiwała przez rowy, przedzierała się przez kępy chaszczy, zawiodła nawet radców do śmierdzącej, obwieszanej skórą szopy garbarza.

Gdy w końcu dotarła na skraj miasteczka do wyschniętego dołu pełniącego rolę zagrody dla świń, nakazała towarzyszącym jej ludziom ciszę. Na polecenie burmistrza mieszkańcy odsunęli się kilka kroków, kopiąc i odpychając ryjące w ziemi zwierzęta. Tamsin zaczęła z najwyższym skupieniem zataczać coraz ciaśniejsze kręgi po zagłębieniu, aż zatrzymała się wreszcie naprzeciw węgła stojącego na skraju domu. Chociaż mocno trzymała jesionową różdżkę, koniec wygiął się wprost ku ziemi z taką siłą, iż kora zatrzęszczała i pękła.

- To tutaj! Nareszcie! - rozległy się radosne okrzyki. Mieszkańcy, którzy zabrali ze sobą łopaty i oskardy, natychmiast zabrali się do kopania studni. Okazało się to ciężką i żmudną pracą, ziemia bowiem tuż pod powierzchnią była twarda jak skała. Dochodziło południe. Mężczyźni wykopali dół na tyle szeroki, by teraz jednocześnie dwóch mogło pracować.

Gdy trzeba było użyć kilofa, w dole mogła przebywać tylko jedna osoba. Kobiety rozrzucały ziemię na zewnątrz. Radcy Falanderu przyglądali się temu cierpliwie, jakby już nieraz byli świadkami bicia studni.

- Mój dom! Tylko go nie podkopcie! - nawoływał co jakiś czas stroskany

gospodarz. -I tak już rozgoniliście mi świnię!

- Są korzenie! - rozległ się głos z wykopu, gdy dół był już na wysokość człowieka. Po chwili zaczęły się odgłosy rąbania.

- Pewnie są to korzenie aż od żywopłotu - stwierdził jeden z gapiów, wskazując rosnące nieopodal ciemnozielone krzewy.

- Właśnie - przyznał inny i podniósł z ziemi parę kawałków wyrzuconych z dołu korzeni. - Są grube i twarde, ale wilgotne, widzicie?

- Jest żwir! - rozległo się wołanie z dołu. - I mokry piasek... nie, woda! Dół zaczyna się napełniać!

W chwilę później w powietrzu zamigotały przejrzyste krople - to uradowani kopacze rozchlapywali wodę. Mieszkańcy Falanderu zaczęli tłoczyć się wokół dołu, tańczyć, ochlapywać nawzajem i próbować wodę. Wreszcie kopacze w przemoczonych po pas ubraniach wyleźli ze studni.

- Cudownie! - cieszył się dla odmiany właściciel działki. - Moja studnia jest pełna wody! Wszyscy będą mogli ją nabierać, za bardzo niewielką opłatą! - Tamsin poradziła sobie tam, gdzie wszyscy inni zawiedli! Rzeczywiście musi cieszyć się błogosławieństwem Amaliasa! - zawołał ktoś.

- To czarodziejka o wielkiej mocy! Większej niż kapłani, którzy nie potrafili nam pomóc! - twierdzili inni.

- Tamsin, przyjmij wraz ze swoją przyjaciółką nasze najgłębsze podziękowania - oświadczył burmistrz z dworskim uśmiechem i zamasztywanym gestem, ale nie posunął się do objęcia dziewczynki. - Raczcie przyjąć ze szczerego serca ofiarowaną gościnę w moim własnym domu. Proszę, Tamsin, zostań u nas na noc! Za dzień czy dwa dostaniesz mnóstwo złotych drachm i ziarna, o ile studnia okaże się czysta i wydajna. - Urwał i obejrzał się na radców miejskich z miną świadcząca, że jest gotów podjąć rozmowy o wysokości zapłaty. - O ile pamiętam, zgodziliśmy się na pięćdziesiąt drachm i tysiąc buszli jęczmienia.

- Nie, burmistrzu, nie chcemy waszego złota i ziarna - odparła Tamsin.

- Ach, nie? - rzekł ostrożnie starzec, ponownie oglądając się na radców. - Oczywiście, nie musisz zgodzić się na jęczmień jako zapłatę. Falander już nie jest zamożnym miastem, dlatego wolelibyśmy, by część zapłaty stanowiły towary.

- Bardzo dobrze - oświadczyła dziewczynka. - My również pragniemy otrzymać coś za coś, prawda, Ninga? - Tamsin zwróciła się do zabawki dziecięcym głosem, jakby zwierzała się jej z wielkiej tajemnicy. Umilkła na chwilę, czekając na jej odpowiedź, po czym podniosła wzrok na burmistrza i notabli Falanderu. - W zamian za znalezienie studni prosimy jedynie o waszą wierność.

- Wierność? Co masz właściwie na myśli? - zaprawionemu w politycznych rozgrywkach burmistrzowi to słowo wydało się najwyraźniej podejrzanym.

- Jako zapłatę za nowe źródło wody, dopóki będzie płynąć, macie wyrzec się czczenia Amaliasa i oddawać hołd nowej patronce Falanderu.

- Nowej patronce? - odrzekł starzec z niekłamany zaskoczeniem. - Kogo masz na myśli? Siebie?

- Nie. - Tamsin wyciągnęła przed siebie lalkę. - Jej należy się cześć jako najwyższemu bóstwu i opiekunce tego miasta.

- Lalce? - Burmistrz wyglądał na skonsternowanego, słychać było szepty zaskoczonych radców i mieszkańców, którzy usłyszeli słowa Tamsin. - Nie mówisz chyba poważnie? Nie, to niemożliwe - dokończył stanowczo starzec. - Dlaczego nie? - zapytała dziewczynka. - Amalias i jego kapłani zawiedli was, natomiast ja, odwoławszy się do Ningi, spełniłam wasze życzenie. Po co mielibyście czcić bezskutecznego, niemego na wasze modły boga?

- Amalias jest mimo wszystko ważnym bóstwem - odpowiedział nerwowo starzec. - Co więcej, stoi za nim potężny stan kapłański, cieszący się silnym poparciem króla Tyfasa i jego armii.

- Tak, dziecko. Nawet jeśli najwyższy nie porazi nas gromem z jasnego nieba, nie znaczy to jeszcze, że można nie zważać na jego ziemskie sługi - poparł go sędzia.

- Moglibyśmy zostać obwołani zaprzańcami! - dodał miejski skarbnik - napytalibyśmy sobie wielkiej biedy.

- A woda, którą znalazłam dla was razem z Ningą? - zapytała Tam-sin, wskazując za siebie, gdzie dookoła studni na pastwisku tworzyło się już małe jezioro. Dzieci ochlapwały się radośnie, a dorośli nabierali pełne wiadra. - Czyż właśnie ta studnia nie wybawiła was z wielkich kłopotów?

- Chyba nie możesz sprawić, by znów wyschła? - zapytał z obawą burmistrz, pochylając się nad Tamsin. - Posłuchaj, młoda damo, bądź rozsądna!

Widzę, że twoja lalka-nazywa się Ninga, prawda? - lubuje się w naszyjnikach i ozdobach. Niech przyjmie ode mnie ten medalion, symbol mojego urzędu i szczerzej wiary tego miasta. Dzięki temu powinna zrozumieć, że chociaż nie możemy czcić jej jak bogini, darzymy ją wielkim szacunkiem. Dobrze, dziecko?

Zdjął wstęgę przez głowę, skrócił ją przewiązując pośrodku i zawiesił złoty krążek na piersi lalki. Tamsin przyjęła dar bez słowa i zwróciła się do tłustego sędziego:

- A co ty myślisz o studni?

- Hm, oczywiście jest wspaniała - zapewnił ją sędzia, uśmiechając się nerwowo. - Wszyscy jesteśmy ci szczerze wdzięczni. Tamsin obróciła się jeszcze raz.

- A ty, skarbniku?

- Cudowna... Wody jest pod dostatkiem i jest czysta, o ile mogę ocenić. Oczywiście, gdyby studnia była wyżej na wzgórzu, woda mogłaby spływać rurami wprost do naszych domów - dodał, nie chcąc robić wrażenia zbyt zachwyconego. - Już widać, że wnoszenie mnóstwa wiader na górę będzie wymagało wiele wysiłku i zabierało czas niewolników. Do tego zachowanie studni w czystości pośród tych ruder może nastreczyć kłopotów. - Marszcząc nos, rozejrzał się po odrapanych chałupach i chlewach. - Pewnie jednak nawet cudotwórczyni nie może spełnić wszystkich wymagań. - Spojrzał na Tamsin i urwał, nagle poczuł się nieswojo. - Przepraszam, nie chciałem, by zabrzmiało to jak narzekanie czy powątpiewanie w boską moc twej zabawki.

Dziewczyna powiodła surowym spojrzeniem po trzech notablach i przyglądających się im w zdumieniu mieszkańcom miasta.

- Chcecie mieć jeszcze jedną studnię? - zapytała.

Wyciągnęła zza szerokiego pasa zatkniętą tam różdżkę, jednak tym razem nie ujęła jej w obydwie dłonie, lecz wetknęła w obtoczone malutkimi rękawiczkami bez palców ręce lalki. Podtrzymując zabawkę tak, by jesionowa gałązka sterczała do przodu, dziewczynka zawróciła między nędzne zabudowania, jak gdyby ją i Ningę ciągnęła tam nagląca, niepowstrzymana siła różdżki. Mieszkańcy znów podążyli za Tamsin tłumnie.

Powiodła wędrujący orszak z powrotem na pylistą drogę. Dotarli do wybrukowanej ulicy, minęli garbate domy i stragany. Tamsin nie zatrzymała się pod hakiem i wysychającym źródłem, lecz podążyła dalej aż do gładkich murów i zdobnych bram rezydencji miejscowych bogaczy. Zbierał się coraz większy tłum. Ojcowie miasta starali się dotrzymać dziewczynce kroku. Po drodze naradzali się szeptem, czy powinni okazać jakiś symboliczny hołd samozwańczej bogini-jak ją oceniali-czy też starać się przekupić bardziej sowitą zapłatą, jeżeli znajdzie kolejną studnię.

Orszak dotarł wkrótce do końca brukowanej ulicy, za którą rozpościerał się kamienisty stok. Tamsin nadal się nie zatrzymywała. Wreszcie dotarła na duży, równy plac, służący jako miejsce zawracania wozów. Po bokach drogi znajdowały się wystawne, murowane domostwa burmistrza i sędziego ziemskiego. Wyżej wznosiło się ciemne, bazaltowe urwisko, sięgające szczytu wzgórza. W dole rozpościerała się panorama miasta i wysuszonej, pozbawionej traw doliny. Wiedzona nadnaturalną mocą różdżki zatkniętej w dłoniach czczonej zabawki, Tamsin zaczęła chodzić w koło. Starcy zacierali z zadowoleniem ręce i uśmiechali się do siebie.

Tym razem różdżka wygięła się i dotknęła kamienistego gruntu pod wystającym do połowy z ziemi wielkim głazem. Czerwona skała miała nieco ciemniejszy odcień niż włosy dziewczynki. Tamsin schyliła się i zaczęła rozgrzebywać ziemię końcem różdżki. Po kilku chwilach wstała i dotknęła tego miejsca czubkiem sandała. Podbiegł do niej mężczyzna z oskardem, by kuć zeskorupiałą ziemię. Zdołał jednak tylko raz zamachnąć się kilofem i uderzyć z łoskotem w grunt, po czym zniechęcony stęknął. Ci, którzy podeszli bliżej, zobaczyli, że część głazu się odkruszyła. Z niewielkiej szczeliny wydobywał się z sykiem gorący, śmierdzący siarką gaz. Gdy paru mieszkańców nachyliło się nad otworem, kłęby pyłu szczypały ich oczy, a po chwili w twarze prysnął rozżarzony żwir.

Po chwili zaryty w ziemi głaz jał pękać z donośnym, zgrzytliwym odgłosem. Strużka pary stała się buchającym, przyprowadzającym o zawroty głowy wyziewem. Ludzie zmuszeni byli cofnąć się od skalnej szczeliny. Bose dzieci zaczęły krzyczeć z bólu i podskakiwać, grunt bowiem parzył je w stopy. Ziemię przeniknęło słabe, krótkotrwałe drżenie. Odłamał się kolejny fragment głazu,

odsłaniając jeszcze szerzej szczelinę. Na brzegach tworzył się nalot popiołu i smolistej masy, dobywającej się z nieznośnie gorącego środka ziemi.

- Co to? - wołali mieszkańcy. - Urlaub, po co uderzyłeś w to miejsce? - pytali mężczyznę, który użył oskarda. - To nie studnia, lecz wylot piekielnych czeluści!!

- Czarodziejko, zrób coś, prosimy! - zawołał błagalnie burmistrz. - Nie chcieliśmy cię urazić!

Dziewczynka jednak odwróciła się plecami do radnych i nie oglądając się za siebie odchodziła powoli. Rzucona na skraj szczeliny różdżka skwierczała, wyginając się pod wpływem buchającego z dziury żaru. Gdy gałązka stanęła w ogniu, w jednej chwili spłonęła. Czarodziejki nie było już na szczycie wzgórza.

Tamsin schodziła po zboczu i robiła wrażenie, że nie słyszy dobiegających z za jej pleców coraz głośniejsze pomruków. Wreszcie szczelina eksplodowała buchającymi pod niebiosa kłębamii ognia, dymu i popiołu. Siła erupcji przewracała próbujących uciekać mieszkańców miasteczka. Ryk wydobywających się spod ziemi gazów zagłuszał ich rozpaczliwe, urywane krzyki. Części rozżarzonych do czerwoności gładów poszybowały wysoko pod niebo, sypnęły się na stojące w pobliżu domy oraz wzniecały ogień na dachach i w sadach bogaczy.

Po kilku dniach na miejscu Falanderu znajdowało się już tylko nierówne wzniesienie rozpalonego żwiru, otaczające piekielną otchłań, z której wciąż buchały trujące opary i ogień. Tak przynajmniej opowiadali na poły oszaleli mieszkańcy, którzy zdołali przeżyć. Tymczasem sprawczyni tego wszystkiego, czarodziejka Tamsin, wróciła do Sodgrum, by obmyślać nowe czary.

## VI

### Górcy drapieżcy

Gazela uniosła rogaty łeb i rozejrzała się po skąpanej w rosie łące, nadstawiając uszu w obawie przed niebezpieczeństwem. Dookoła rosły dzikie zioła i rozpościerały się kępy traw, chaszczki i krzewów. Panował całkowity spokój, zakłócany jedynie przez przelatujące ptaki i owady oraz powolne stąpanie pasących się nieopodal zwierząt. Łania opuściła łeb i wróciła do skubania trawy.

Po chwili jeden z płaskich kopczyków zmienił kształt i zaczął posuwać się w stronę zwierzęcia. Był to ogorzały mężczyzna, który przywiązał sobie wokół głowy kilka gałązek paproci, by nie odróżniać się od otoczenia. Poruszał się płynnie i cicho, nie głośniejszy niż delikatny powiew muskający miękką trawę. Zdołał dzięki temu zbliżyć się do ofiary. Znieruchomiał ponownie, podtrzymując wystawioną przed siebie prymitywną włócznię.

Gazela zapewne wyczuła coś, co ją zaniepokoiło - być może spostrzegła odbłask słońca na powierzchni kamiennego grotu. Uniosła z obawą szczupły łeb i odchyliła w tył uszy, gotując się do skoku. W tym momencie łowca napiął mięśnie. Prowizoryczne zamaskowanie osunęło się z jego czarnych włosów.

Człowiek i zwierzę ruszyli się jednocześnie. Gdy gazela wyskakiwała jak z katapulty w górę, myśliwy zamachnął się potężnie, celując włócznią tak, by trafiła ofiarę w locie. Włócznia uderzyła dokładnie tak, jak zamierzał łowca. Impet pocisku sprawił, że zwierzę potoczyło się po trawie, bezradnie wierzgając nogami. Zanim zdołało poderwać się z ziemi, człowiek rzucił się w jego stronę. Wyszarpnął z za pasa na biodrach ciężki toporek i dopadł gazelę, uderzając dwukrotnie, aż zwierzę znieruchomiało. Conan nachylił się ostrożnie i wyciągnął włócznię z trzewi ofiary. Broń okazała się nie uszkodzona. Będzie musiał opłukać włócznię i toporek w najbliższym strumieniu; na razie krew krzepła w szczelinach między kamieniami a mocującymi je paskami skór. Cymmerianin wyciągnął z za pasa długi odłamek obsydianu, by posłużyć się nim jako nożem do oprawienia zwierzęcia. Prosta przepaska z króliczych skór umożliwiła mu wreszcie noszenie broni. Miał przynajmniej wolne ręce, chociaż jego odzienia w żaden sposób nie można było nazwać przyzwoitym. Zamierzał sporządzić sobie ze skóry gazeli lepszy strój. Miał jeszcze cenne rogi, kości i smaczne mięso.

Szybko i sprawnie oprawił gazelę, nie zadając sobie trudu sprzątnięcia resztek. Spotkanie z natrętnymi padlinożercami na otwartej przestrzeni było mniej ryzykowne niż oprawienie zwierzęcia dopiero w kryjówce i ściągnięcie tam dzikich zwierząt. Zjadłby chętnie już teraz wątrobę, lecz obawiał się robaków i znacznie groźniejszych złych snów, które - wierzył w to - mogły go nawiedzić za

sprawą ducha martwego zwierzęcia, nie chcącego rozstać się z tym światem. Teraz gazela była lekka i niósł ją bez wysiłku.

Z dreszczem przesadnego lęku Cymmerianin przypomniał sobie tajemnicze stworzenie, które kilka dni wcześniej odebrało mu pierwszą, o wiele bardziej okazałą zdobycz. Był obecnie lepiej przygotowany do stawienia czoła każdemu, mimo to trwonienie sił na podejmowanie zbędnego ryzyka nie miało sensu - nie wtedy, gdy chodziło o utrzymanie się przy życiu.

Jeleń, na którego polował wcześniej, był zbyt duży; Conan ruszył za nim w pościg z czystej desperacji. Nie zdołałby unieść wielkiego, rogatego zwierzęcia; nie dałby nawet rady zjeść całego mięsa. Gazelę zaś swobodnie niósł przerzuconą przez ramię. Nad rzekę wracał okrężną drogą, by na jego trop nie wpadły drapieżniki.

W ciągu tych kilku dni wyszukał sobie dogodnie położone i względnie osłonięte schronienie. Znajdowało się na wąskiej wyspie, do której o tej porze roku można było łatwo dotrzeć, brnąc po pas w krzyżujących się nurtach rzeki. Dno i brzegi strumienia obfitowały w kamienie wszelkich rozmiarów, kawałki drewna i gałęzie z rosnących tam drzew. W rzece było mnóstwo pstrągów - strawy, która już nieco sprzykrzyła się Cymmerianinowi. Na zalesionym krańcu wysepki w górnym biegu rzeki wznosiła się zapewniająca ochronę sterta skał. Przeszukawszy ją dokładnie, Conan znalazł w zakamarkach wygodną kryjówkę. Starannie zagospodarował nisko po - łożoną rozpadlinę na skraju niewielkiego zagajnika, skąd roztaczał się widok na obydwie strony rzeki. Dzięki temu nareszcie mógł spać spokojnie.

Dotarłszy do wysepki niedługo przed południem, Cymmerianin wykopał się, opłukał zakrwawione mięso, przewiesił je przez najniższy konar dębu i przywiązał paskami króliczych skór. Przykleknął przy doskonale nadającym się na palenisko zagłębieniu u podstawy skalnego nawisu. Wydobył spod kamieni nazbierane wcześniej drobne kawałki drewna i przystąpił do rozpalać ognia. Nasypał miękkich wiórów tuż pod szczybą na końcu długiej, płaskiej kłody. Do rozniecenia ognia posłużył się ściętym, spiczastym kołkiem grubości palca oraz pasmem surowej skóry, rozpiętym na długiej, giętkiej witce. Owinał dwukrotnie skórę na kołku, napinając ją, i wsunął skośny koniec kołka w szczybę w kłodzie. Czwarty element zestawu do rozpalać ognia stanowił płaski, wgłębiony z jednej strony kamień. Przytrzymując nim tępy koniec kołka, równymi ruchami, jakby używał piły, Conan pocierał skórę do i od siebie. Kołek kręcił się szybko w jedną i drugą stronę, ryjąc powoli w kłodzie coraz głębszą szczybę.

Wkrótce z dziury dobywał się dym. Cymmerianin czuł, jak kamień w dłoni rozgrzewa się pod wpływem tarcia. Minęło jeszcze kilka chwil, nim wąska strużka trocin się rozżarzyła. Gdy kłęby dymu stały się wystarczająco gęste, Cymmerianin odłożył narzędzia i, stuliwszy dłonie wokół tłących się trocin, bardzo delikatnie dmuchał. Pojawiły się jasne płomyki. Conan dorzucił do ognia suchych gałązek i kawałków kory. Niebawem gorzało przed nim duże ognisko.

Conan obłożył palenisko twardymi, wyschniętymi polanami i zaczął rozcinać mięso ostrym brzegiem skały. Chociaż utrzymanie narzędzia w wymazanych krwią palcach nastroczało sporo trudności, stopniowo zdołał obedrzeć zwierzę ze skóry. Teraz przystąpił do ćwiartowania mięsa, aż wreszcie przebiwszy je giętka zieloną gałęzią i zatknąwszy na dwóch rozwidlonych kołkach, opiekł nad ogniskiem jeden udziec. Pamiętał, by często obracać kawał mięsa. Polana stopniowo dopalała się, zamieniając w gorejące, szkarłatne węgielki.

Pozostała część mięsa Cymmerianin pociął na długie pasy. Połowę rozwiesił na ustawionych tuż koło paleniska rusztowaniach, by jak najszybciej się uwędziło. Resztę rozłożył na kamieniach, by wysuszyło je słońce. Zyskał w ten sposób zapas jedzenia na później. Dzięki temu mógł wyprawić się dalej w ciągu następnych dni i ba - dać okolicę bez potrzeby troszczenia się co dzień o zdobycie pożywienia.

Conan zdążył się zorientować, że trafił do hojnej krainy, w której żyło wiele rozmaitych gatunków zwierząt. Było tu pod dostatkiem również innych rodzajów strawy. Samotny człowiek mógł żyć tu o wiele wygodniej niż na niegościnnych, skalistych wyżynach północnej Cymmerii. Mimo to w nie tkniętej ludzką stopą dolinie niewątpliwie czyhały niebezpieczeństwa. Trudno było powiedzieć, czy były to drapieżniki, czy nieokrzesane dzikusy - jak Piktowie znad Zachodniego Oceanu. Mogły też być nadprzyrodzone zjawy, których obecność Conan na poły wyczuwał w mroku wieczorów i nocy, gdy tchnienia wiatru kołysały gałęziami i trawami. Cymmerianin uważał za konieczne poznanie bliżej tej doliny,

co pozwoliłoby mu być przygotowanym na wszelkie zagrożenia.

Conan wprawdzie zdołał zapewnić sobie przetrwanie, ale istniała kwestia, co ma począć ze swą przyszłością. Lato dopiero się zaczęło, więc pożywienia było pod dostatkiem, lecz może być o nie trudniej w późniejszych porach roku. Ponieważ nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, trudno było mu orzec, jak ciężkie susze lub jak surowe mrozy zdarzają się w tych górzystych okolicach. Z doświadczenia wiedział, że pozorna obfitość dzikich zwierząt i roślinności może zniknąć praktycznie w ciągu jednej nocy. Dręczyło go pytanie, czy powinien postawić szaląs i przeczekać w nim zimę, czy też podążyć za zwierzętami wzdłuż biegu rzeki w poszukiwaniu okolic o być może łaskawszym klimacie. Zapewnienie sobie na czas dłuższy wygodnej egzystencji w dziczy wymagało sporego rozsądku, wysiłku i intuicji.

Conan był pewny jednego: bez względu na to, jak mu się powiedzie, gdyby nawet zdobył porządną broń i zapasy, by dotrzeć do kresów tej krainy, nie czuł potrzeby powrotu do odstręczających hyborykańskich królestw. Ich bogactwa i wspaniałości okazywały się zwykle czczym pozorem. Zbudowane były na niewolnictwie, niepoohamowanych występkach i narzucaniu woli bezimiennym masom przez garstkę tyranów.

Cymmerianin urodził się w surowej, niecywilizowanej krainie. Wpojono mu kodeks honorowy dumnego górala oraz tak przydatną obecnie umiejętność przetrwania w trudnych warunkach. Chociaż zawędrował do dziesiątek wielkich miast, by wieść tam godny lub podły żywot, wyniesione z rodzinnych stron wartości ciągle uznawał za cnoty. Z woli Croma Conan raz jeszcze znalazł się w od - ległym od cywilizacji raj. Niewiedza, gdzie się znajduje, stanowiła dla niego pretekst do ostatecznego zrzucenia kruchych więzów z przeszłością. Postanowił, że nie będzie tęsknić za blaskiem ogarniętych dekadencją stolic, za różnymi pokusami i uciechami życia. Zdecydował, że nie zależy mu już na życiu bardziej cywilizowanym, nie miał ochoty postawić więcej stopy na bruku występnych miast.

Skończywszy dzielenie mięsa, zajął się udźcem - przyrumienionym z zewnątrz, lecz miękkim i soczystym w środku. Wgryzł się weń do samej kości, żując i przełykając z apetytem. Uzupełnił posiłek upieczonymi w popiele korzeniami i bagiennymi ziołami. Popił to wszystko głębokimi haustami zimnej wody z wypalonego z rzecznej gliny garnka. Ponieważ nie miał koła garncarskiego, nadał mu kształt przez obklepnięcie gliną splecionej ciasno z trzciny formy. Zagotował resztę wody na dogasającym palenisku i dodał do niej mózg z rozłupanej czaszki antylopy wydłubany z kręgów rdzeń. Wcześniej zdarł ścięgna z nóg i grzbietu zwierzęcia, zyskując pożyteczne wiązania. Czaszkę i pozostałe kości rozłożył wokół paleniska, by się wysuszyły.

Ruszył nad brzeg rzeki ze służącym do kopania kawałkiem drewna i skórą gazeli. Ta ostatnia była jeszcze zbyt świeża, by nadawała się do przerobienia. Conan wygrzebał jednak z mulistego piasku na brzegu rzeki skórę ubitego kilka dni wcześniej kozła sarny. Zewnętrzne futro zaczęło oddzielać się od wytrzymałej, spodniej warstwy. Cymmerianin wywlókł starą skórę z zagłębienia i zakopał w nim nową.

Zszedł kilka kroków w dół strumienia i rozłożył skórę na wygładzonym przez wodę sosnowym pniu. Używając żebra sarny, ostrożnie zdarł sierść i luźną skórę. Zabrało mu to wiele czasu, skończył późnym popołudniem. Zagrzebał odpadki i zaniósł oczyszczoną skórę do ogniska. Czekał tam już na niego parujący bulion z mózgu gazeli. Włożył doń skórę i co jakiś czas mieszał zawartość garnka patykiem. Wreszcie odstawił gar z ognia wiedząc, że słony wywar przez noc wybieli i zakonserwuje skórę. Zamierzał rano wyszorować ją, rozciągnąć i wysuszyć w dymie z wierzbowego drewna, by wyprawić ją do końca i nadać jej ciemnobrazową barwę.

Wiedział, jak ze spreparowanych w ten sposób skór sporządzić wytrzymałe sandały, bluzę i spodnie, chroniące przed nocnym chłodem, ostrymi cierniami i użądleniami owadów. Co więcej, mógł wykroić z niej solidne rzemienie, wystarczające do sporządzenia broni i siodła. Zdobycie większej ilości skór pozwoliłoby mu zrobić worki i pałatki.

Jego dobytek rósł; przewidywał, że zdoła zapewnić sobie względną wygodę, wiązało się to wszakże z jednym, bardzo istotnym ograniczeniem. Wszystko musiał nosić ze sobą, chyba że znajdzie sposób zabezpieczenia rzeczy na czas swojej nieobecności. Zapasy żywności łatwo mogły paść łupem drapieżników i padlinożerców, jeśli nie zdoła wyszukać dla nich bezpiecznej, niedostępnej

kryjówki.

Ponieważ najadł się do syta w południe, nie miał ochoty na sutą kolację. Zadowolili się przegryzieniem paru orzechów i małych cierpkich owoców, które nazbierał wcześniej do wyplecionych przez siebie koszyków. Tuż przed zmrokiem zawinał w liście wędzone, częściowo wysuszone w ciągu popołudnia mięso i zagrzebał je pod ciężkimi kamieniami. Wieczór spędził przed ogniskiem na rozszczepianiu i wygładzaniu twardej kości uda gazeli, dzięki czemu zyskał nie najgorsze szydło. Później udał się na spoczynek.

Sypiał w zagłębieniu łukowato wznoszącej się skały, odbijającej ku ziemi promieniujące w jego stronę ciepło od ogniska. Obozowisko Cymmerianina znajdowało się na tyle wysoko nad wodą, iż było tu mniej wilgotno i chłodno. Dodatkową ochronę przed zimnem dawała wydłużająca się każdego dnia derka z króliczych skór. Conan stale uzupełniał zapas drewna na opał. Budził się co jakiś czas, by dokładać do ognia, gdy płomienie przygasały i zaczynał dokuczać nocny chłód. Czynił dla ochrony przed zimnem, oraz przed grasującymi w nocy stworzeniami - zarówno doczesnego jak i nadnaturalnego, rodzaju.

Najgłębiej skrywane nieokreślone obawy wzbierały w samotnym barbarzyńcy właśnie w najmroczniejszej porze nocy. Leżąc na twardym posłaniu w ciemnościach, rozpraszanych jedynie pełgającymi płomykami, rzucającymi mętne odbłaski na leżące w pobliżu kamienie i kości oraz niewyraźne zarysy dalej leżących drzew, Conan zaczynał wątpić, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Tu wydawało się, że czas się zatrzymał, nigdzie żywego ducha. Nagle całkowicie zerwał z przeszłością-czy cokolwiek łączyło go jeszcze ze światem ludzkiego trudu i daremnej chwały? Czy miejsce, w którym się znalazł, w ogóle figurowało na mapach hybrydańskich królestw? Czy też porwany wartkim prądem podziemnego strumienia zawędrował o wiele dalej, poza zasięg człowieka, poza granice tego padołu, gdzie nie obowiązywała żadna znana mu rachuba czasu? Może trafił jakimś osobliwym zrzędzeniem bogów w wiek, gdy świat był jeszcze pierwotny? A może w rzeczywistości umarł, a jego dusza błąka się w podziemnych lub niebieskich zaświatach? Czyżby tak właśnie wyglądał żywot wieczny, o którym milczący Crom, bóg jego cymmeriańskich ojców, nie raczył powiadomić swoich wyznawców? Czyżby Conan miał odpokutować lub odkupić przeszłe grzechy i przewiny, zanim stanie przed surowym sądem bogów? A może przez wieczność całą miał medytować o każdej swojej pomyłce w dzikim, bezkresnym czyścicu? Jeżeli ten żywot lub jego złudzenie miało trwać po wsze czasy, czego mógłby albo powinien dokonać? I czy zdołałby wytrzymać samotność, nie popadając w obłęd?

W Cymmerianinie odzywała się utajona, mistyczna strona jego duszy. Niektórzy mężczyźni i kobiety mogliby posunąć się w takich rozważaniach bardzo daleko, tworząc całe kosmogonie, zaludnione duchami i demonami, stanowiące wątle, lecz wygodne usprawiedliwienie dla ich obaw. W obliczu nie dających się rozstrzygnąć pytań tego rodzaju Conan instynktownie trwał przy tym, co było mu znane: przy doznaniach własnych zmysłów, wszystkim, co dawało się dotknąć i poznać. Tej nocy jak zawsze zasnął przy błogich wspomnieniach z przeszłości, o gibkich zamorańskich tancerkach i wonnym akwilońskim piwie.

O wschodzie słońca był zmarznięty i zeszywniały, niemrawy i otępiały. Mimo to natychmiast zabrał się do roboty, więc szybko się rozgrzał. Pomogło mu w tym trochę i ognisko. Parę głowni żarzyło się jeszcze; dorzucając drewna, dmuchając energicznie i machając rękami, Cymmerianin podsycał ogień na nowo.

Poszedł sprawdzić, czy jakieś ryby nie złapały się w pułapkę zrobioną z kołków wbitych w piaszczystą łachę na dnie brzegu wysepki. Okazało się, że pływa w niej niewielki pstrąg, ale nie na tyle mały, by przecisnąć się z powrotem między kołkami. Ryba była akurat i wystarczyła na śniadanie. Conan nie miał ochoty stać dłużej w lodowatej wodzie, zrezygnował z próby zwabienia kolejnych ryb. Nadziany na patyk i upieczony nad rażno płonącym ogniem pstrąg smakował co najmniej tak samo dobrze, jak jego dwaj zjedzeni na surowo poprzednicy.

Ponieważ Cymmerianin miał wystarczająco duży zapas mięsa i innego pożywienia, postanowił wykorzystać ranek na rozejrzenie się po wyspie. Gdy niedawno wdrapał na szczyt skał, dostrzegł wyłaniającą się zza drzew granitową kopułę i szereg kamienistych wzgórków opadających stromo w stronę kaskad i rozlewisk w dolnym biegu rzeki. Tam, gdzie nie mogły wyrosnąć drzewa, skalne szczeliny i zakamarki wypełniały krzaki. Conan zamierzał bez pośpiechu rozejrzeć się właśnie po tych zakątkach. Obecne schronienie u podstawy skalnego kopca, chociaż położone dogodnie blisko lasu i wody, było jak na jego gust zbyt odkryte.

Cymmerianin związał ciasniej skórzaną przepaskę na biodrach. Zabrał włócznię, toporek i nóż - nigdy za wiele uzbrojenia - i zaczął wspinać się na skarpę nad swoim obozowiskiem. Przeskakiwał z głazu na głaz i wspinał się po skalnych półkach bez większych trudności. Conanowi podobało się, że dzień w dzień może wspinać się na najwyższe wzniesienie na wyspie i schodzić na jego przeciwległą stronę, nie zostawiając za sobą śladów. Nawet dym nie nastroczał problemów; gdy ogień rozpalało się na wystarczającej wysokości, jeżeli wiał wiatr, kłęby rozpraszały się szybko. Zupełnie inaczej rzecz wyglądała w bezwietrznych zakątkach dolin.

Dotąd Conan nie natrafił na ślad ludzkiej obecności, jeżeli jednak ktoś mieszkał w pobliżu, wolał dowiedzieć się o tym pierwszy.

W połowie drogi na szczyt zauważył parę nadających się na schronienie płytkich rozpadlin. Gdyby ostrożnie oczyścić ich przedpola, umożliwiłoby to dostatecznie wczesne dostrzeżenie intruzów. Powstrzymać ich, a przynajmniej ostrzec przed zbliżaniem się niepożądanych gości mogły również sidła i wygrzebane doły z zaostrzonymi kołkami na dnie. Z obydwóch miejsc roztaczał się wspaniały widok na całą dolinę i dalej na wzgórza. Mimo to Conan doszedł do wniosku, że rozpadliny są zbyt odsłonięte.

Wkrótce dotarł pod sam szczyt, nie natrafiając już na inne dogodne kryjówki. Cała wyspa miała raptem sto kroków szerokości, więc możliwości zaszycia się na niej były ograniczone. Zapewne lepszą strategią było częste przenoszenie się z miejsca na miejsce z całym dobytkiem.

Cymmerianin wypatrzył w końcu pochyły, porośnięty krzewami skalny taras, który miał kilka zalet, chociażby tę, że jego pionowe zbocza niezwykle ułatwiały obronę. Conan ruszył w dół po granitowym stoku. Stwierdził, że taras jest szerszy, niż mu się pierwotnie wydawało, i sięgał dość głęboko pod nawisającą nad nim półkę z czarnych, pokrytych porostami skał. Obrzeża kryjówki porośnięte były płataniną gęstych krzaków, mocno wczepionymi w podłoże korzeniami. Szereg nierównych kamiennych stopni prowadził do osłoniętej, najwyższej części tarasu - piaszczystej, suchej galerii, do której na pewno nie docierały deszcze i zimowe zawieje. Była to niemal jaskinia. Zapewne przed wiekami w najciemniejszym zakątku wgłębienia masywna skalna płyta oberwała się ze sklepienia, tworząc mroczny, trójkątny zachyłek.

Conan zbyt późno dostrzegł swoją omyłkę. U wylotu zagłębienia leżały rozrzucone upiorne szczątki bielejące, potrzaskane kości. Do uszu barbarzyńcy dobiegł wściekły ryk. Z wydawałoby się zbyt wąskiej szczeliny wyłonił się otoczony chmurą piżmowej woni jaskiniowy niedźwiedź.

Wielki stwór dorównywał rozmiarami niedużej chacie. Miał sierść brunatną, miejscami siwiejącą i pokrytą plamami zakrzepłej krwi. Bestia zaryczała powtórnie, obnażając żółte, ociekające śliną kły długości ludzkich palców. Ryk w na połę zamkniętej przestrzeni był tak głośny, że Conanowi zadzwoniło w uszach. Miał wrażenie, że skały pod stopami zadrżały. Obawiał się, że zaraz zwali się kolejna część sklepienia jaskini.

Zrobił parę kroków w tył, nic mu to jednak nie dało. Niedźwiedź ruszył za nim i wspiał się na zadnie łapy tak wysoko, jak pozwalało na to sklepienie zagłębienia. Zwierzę było rozjuszone tym, że jakiś intruz dotarł tak blisko jego legowiska. Conan domyślał się, że ogłuszające, odbijające się echem od pobliskich zboczy porykiwanie oznacza, że bestia chroni schowaną w jaskini niedźwiedzicę i jej młode.

Zrozumiał, że władował się w tarapaty jak ostatni głupiec. Niedźwiedź wybrał to miejsce na legowisko, kierując się tymi samymi względami, które zwróciły uwagę Cymmerianina. Pragnący znaleźć schronienie przed dzikimi zwierzętami barbarzyńca zawędrował wprost w pazury największego i najgroźniejszego z drapieżników.

Conan wiedział, że nie może cofać się zbyt szybko; w ten sposób dałby tylko bestii większą swobodę ruchów. Od razu porzucił myśl, by jak najszybciej pierzchnąć po stromym, kruszącym się zboczu. Na otwartej przestrzeni żadne stworzenie nie mogło prześcignąć zwalistych, lecz zdumiewająco zwinnych niedźwiedzi, obdarzonych silnymi i sprężystymi mięśniami. Pozostanie w szczelnie sprawiał, że mniejszy od zwierza człowiek zyskiwał czasową przewagę.

Conan błyskawicznie wyskoczył z rozpadliny i dźgnął niedźwiedzia w przednią łapę. Wywołana zranieniem wściekłość bestii przedstawiała potworne widowisko. Zwierz zaryczał ogłuszająco, wypuszczając z pyska ohydny smród. Uderzeniem łapy o zakrzywionych pazurach zmiotł rosnący między nim i

Cymmerianinem krzak. Kawałki gałęzi boleśnie uderzyły w obnażone ciało barbarzyńcy. Niedźwiedź wyciągnął naprzód rozdziawioną paszczę. Conan dźgnął w jej stronę włócznią. Zwierz zgrabnie uchylił łeb - uderzył jednak bokiem w twarde granitowe zbocze. Ogłuszony rozstawił szeroko nogi i zakołysał łbem, po czym podjął atak na nowo.

Conan znów dźgnął włócznią, prawie trafiając bestię w pysk. Kamienny grot ześlizgnął się, nie wyrządzając żadnej szkody. Cymmerianin błyskawicznie cofnął broń. Jeden cios masywnej łapy wystarczyłby, by strzaskać ją na kawałki, masywne szczęki z łatwością mogły zgruchotać drewno i kamień. Włócznia okazała się niewiele dłuższa niż zasięg łap niedźwiedzia, więc Conan musiał błyskawicznie przeskakiwać z miejsca na miejsce, by ocalić własną skórę. Wreszcie dostrzegł szansę dla siebie i zamierzył się we włochaty bok-kamienny grot nie zdołał jednak przebić twardej skóry. Rozjuszony zwierzę ruszyło na Cymmerianina jak lawina. Barbarzyńca był zmuszony do spiesznego odwrotu.

Mimo otrzymanych ciosów niedźwiedź nie zamierzał zaprzestać ataku. Wyprostował się na całą wysokość i wymachując szeroko przednimi łapami. Chociaż w ten sposób poruszał się niezgrabnie, w każdej chwili mógł stanąć na wszystkich czterech łapach i pędem ruszyć naprzód.

Conan dźgał bestię w pysk i brzuch, sam robiąc uniki. Liczył, że zdoła zmusić niedźwiedzia do respektu dla kłującego ostrza. Zwierz tymczasem stracił resztki cierpliwości i zamachnął się łapą z siłą wystarczającą, by zmiażdżyć człowiekowi czaszkę. Cymmerianin zgiął się błyskawicznie, ale wystawione pazury rozdarły jego nagi grzbiet. Zdołał jednak wbić włócznię w bok zwierzęcia. Grot uwiązł pod twardą skórą i oderwał się od drzewca. W następnej chwili niedźwiedź machnął łapą i przełamał włócznię na pół. Conan ledwo zdążył przetoczyć się na bok, ale poderwał się na równe nogi, wyszarpnął toporek i uniósł go, by próbować się jeszcze bronić. Bestia była jednak tak rozwścieczona, że nic nie mogło jej powstrzymać. Ponownie ruszyła wprost na Conana, spychając go w dół po granitowym zboczu. Zręcznie zadany cios we włochaty łeb zwierzęcia nie spowolnił jego szarży, jedynie kamienny obuch obluzował się w wiązaniach na skutek silnego uderzenia.

Conan usiłował uciec, nie zdołał jednak uchylić się przed niedźwiedzią łapą. Cios był w gruncie rzeczy lekki, jednak ostre jak dłuta pazury rozerwały barbarzyńcy udo, zdarły skórzaną przepaskę i prześlizgnęły się po żebrach. Siła uderzenia sprawiła, że Conan runął na kamienisty stok jak worek z jęczmieniem. Odpychając się od ziemi rękami, chciał przetoczyć się w bok, lecz został przygnieciony do ziemi. Nie wiedział, czy bestia chce tylko go przytrzymać, czy wali się na niego całym swoim ciężarem. Okazało się, że to drugie; poczuł na sobie ciężar potwornego cielska, przygniatającego go bezlitośnie do granitowego podłoża. Sierść niedźwiedzia była ostra jak pokryta stalowymi ćwiekami zbroja. W nozdrzach Conan poczuł nieznośny, piżmowy smród, choć i tak z trudnością łapał oddech. Ucisk zelżał, gdy zwierzę przetoczyło się na bok, lecz po chwili wielkie jak widły łapy z wystawionymi pazurami zacisnęły się na bokach Conana i uniosły go nad ziemię.

Siła, z jaką niedźwiedź ścisnął Cymmerianina, była większa niż jego ciężar. Przed oczami barbarzyńcy pojawiły się szkarłatne plamy. Słyszał chrzęst własnych kości. Miotał się i zadawał na oślep ciosy toporkiem, rozpaczliwie walcząc o życie.

Nagle poczuł kilka bolesnych wstrząsów, a niedźwiedź rozluźnił uścisk. Cymmerianin poczuł na ciele powiew powietrza, ujrzał następujące po sobie w szaleńczym tempie widoki kamieni i nieba. Zrozumiał, co się stało - niedźwiedź nie mógł go dłużej utrzymać, bo sam zaczął staczać się po zboczu. Nim Conan zdołał wyrwać się z objęć zwierza, runął wraz z nim poza skraj skalnego występu. W dole ujrzał niebiesko-czarne rozlewisko rzeki, pokryte burzącą się na zębatych kamieniach pianą. Cymmerianin odepchnął kopnięciem wymachującego wszystkimi łapami niedźwiedzia, gotując się na zderzenie ze skałami.

Oszołomiony, przemarznięty, siedział w kucki nad brzegiem, obmacując pokaleczone i pokryte sińcami ciało oraz obolałe kości. Chyba stracił przytomność. Jak poprzednio, prąd wody zniósł go - dokąd? Bogom jednym wiadomo. Nie poznawał tej okolicy; w górze rzeki nie było widać wyspy. Nie potrafił powiedzieć, co stało się z niedźwiedziem.

Nie miało to zresztą znaczenia. Oto znów był pozbawiony broni, jedzenia oraz sił na polowanie. Najbardziej potrzebował ciepłego, bezpiecznego zakątka, w

którym mógłby zaszyć się, aż ustąpi najgorszy ból i gorączka, która zaczęła narastać. O jedzenie, odzienie i broń zamierzał zatroszczyć się później.

Drzewa w tym miejscu rosły dość wysokie, by ocieniać obydwie brzegi rzeki. Nurt był wolniejszy, w szerokim korycie tworzyły się wiry. Tam, gdzie znajdował się Conan, do rzeki wpadał niewielki strumień. Gęsta sieć korzeni pokrywała zbocza wrytego przez po – tok wąwozu. Nad brzegami było jednak dosyć miejsca, by móc tamtędy przejść. Po obydwóch stronach jaru roztaczał się gęsty las.

Cymmerianin podniósł się wreszcie i ruszył po kamieniach pod prąd strumienia. Był obolały i otępiały, pamiętał jednak, że w wodzie nie zostawi za sobą śladów. Wiedział również, że na czas dojścia do siebie musi poszukać kryjówki, położonej blisko wody.

Grube pnie drzew po obydwóch stronach wąwozu pięły się dostojnie jak kolumny wielkiego pałacu czy świątyni. Mimo wyczerpania i bólu Cymmerianin musiał podziwiać wiekową, odludną puszcę. Przez kopuły drzew przesączały się rzadkie, skośne wiązki słonecznego światła. Migotały w nich pyłki i owady. Do ziemi docierał jedynie rozproszony przez listowie blask. Wzdłuż strumienia rosły lilie i paprocie, niezbyt jednak gęsto, więc Conan mógł posuwać się naprzód. Z zadowoleniem usłyszał dobiegający zza zasłony zieleni szum niewidocznej kaskady. Chciał wspiąć się nieco nad poziom ujścia strumienia do rzeki, zanim wyszuka miejsce na odpoczynek.

Rozgarnawszy z wysiłkiem pnącza i gałęzie, zobaczył przed sobą niewielkie, z lekka ocienione rozlewisko. W przeciwległym końcu, gdzie ze spiętrzonych skał staczały się strugi wody, ujrzał zaskakujący widok i zamarł jak sparaliżowany.

Pod wodospadem, odwrócona plecami do niego, stała kobieta. Na chwilę uniosła w górę kształtne ramiona, podstawiając je pod spływającą z góry wodę. Była naga i zupełnie nieświadoma obecności mężczyzny. Jej widok na tle galerii skał i roślinności był niewymownie piękny. Bujne, lecz idealnie harmonijne kształty jej ciała zdawały się lśnić własnym światłem – a może było to złudzenie, wywołane odbiciem słońca na wodzie. Conan zobaczył, jak kobieta opuszcza ramiona, przykłada stulone dłonie do szyi i pozwala strugom spływać po ciele. Powoli obmyła ramiona, piersi i uda, wycisnęła wodę z bujnych, czarnych włosów, sięgających do bioder. Nachyliła się, żeby umyć stopy. Nagle odwróciła się i wyszła spod strumieni wody. W tym momencie zobaczyła Conana.

Barbarzyńca nadal stał w bezruchu. Był tak oszołomiony widokiem niezwykle kobiecego piękna, że żadna myśl nie przychodziła mu do głowy. Zapomniał o swym żalonym położeniu, ranach i o tym, że był również nagi. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał, by mógł bez przeszkód podziwiać jej czar.

Kobieta przez moment zachowywała się podobnie. Nie krzyknęła, nie zasłaniała się nerwowo i wstydliwie, przypominała zaskoczona łanię. Uniosła głowę i patrząc przed siebie czujnym, nieprzeniknionym wzrokiem, chciała zapewne zorientować się, czy istota, która zakłóciła jej spokój, niesie ze sobą zagrożenie. Jej ciemne oczy zdawały się nie pomijać niczego – ani wspaniałej budowy barbarzyńcy, ani egzotycznie dla niej wyglądającej twarzy. Po chwili opuściła wzrok, skupiając spojrzenie na czterech ranach, sięgających od żeber do połowy uda. Na jej twarzy nadal malował się wyraz świadczący, że chłodno ocenia sytuację, nie zaś lęka się, czy czuje upokorzona.

Nie wiadomo, co przerwało tę scenę. Być może trzask łamiącej się gdzieś w lesie gałęzi, mogący oznajmiać o zbliżaniu się innych ludzi. Być może zaś był to nieuchronny rezultat milczącego dialogu między barbarzyńcą a kobietą. Tak czy inaczej, Cymmerianin wyszedł spod osłony zarośli i stanął na śliskich kamieniach na brzegu rozlewiska. W tej samej chwili kobieta zerwała się do biegu jak spłoszona łania, wyrzucają spod stóp kaskady perlającej się wody.

Conan instynktownie rzucił się za nią w pościg. Nie był w stanie zrezygnować z tak wspaniałej zdobyczy – oszałamiająco pięknej istoty, której spotkanie oznaczało koniec wyczekiwania i tęsknoty za przedstawicielem ludzkiego rodzaju. Pognał za nią wielkimi susami, potknął się, ale zdołał odzyskać równowagę i podążył dalej tropem migających w leśnym półcieniu pięt. Widok kobiety i wywołane tym podniecenie tak silnie uderzyły mu do głowy, że zapomniał o bólu i wyczerpaniu. Czuł, że przepełnia go energia i uniesienie większe niż te, jakie mogła wywołać walka czy polowanie. Kobieta biegła szybko – najwidoczniej miała stopy zahartowane do stąpania po cierniach i kamykach leśnego poszycia – jednak Conan czuł niewytłumaczalną, gorączkową pewność, że ja

dogoni.

Dopiero później, gdy pięty wspinającej się po skarpie kobiety pokryły się czarnym pyłem, Cymmerianinowi zaczęły przychodzić do głowy motywy i usprawiedliwienia tego pościgu - niejasne i wyrwykowe, lecz nie mniej nieodparte niż pierwszy impuls. Kobieta niewątpliwie miała krewnych, żyła pewnie wśród plemienia, w jakiejś wiosce. Musiał dowiedzieć się, co to za ludzie, zanim się na nich natknie. Musiał wiedzieć, czy grożą mu z ich strony męki, śmierć, a może pożarcie, jak było to w zwyczaju Piktów i innych, poznanych przez niego dzikich plemion. Musiał dopaść kobiety i w jakiś sposób nakłonić ją, by nie powiadamiała ziomków o jego istnieniu. To, iż biegła w milczeniu, zdawało się dobrze wróżyć - być może w zasięgu krzyku nie było żadnego plemienia. Jak mógł ją powstrzymać, co zrobi, gdy dotknie dłońmi jej aksamitnej skóry i przewróci na ziemię - tak daleko jego myśli nie sięgały. Nim zdołał pozbierać myśli, pole widzenia zaczęła przesłaniać mu gęstniejąca z każdą chwilą szkarłatna mgła.

Powoli doganiał kobietę. W pewnym momencie, gdy obsunęła się jej stopa podczas wspinaczki po kamienistym zboczu, zdołał dotknąć dłonią jej kostki. Kobieta jednak przyśpieszyła, a grząska ziemia osunęła się Cymmerianinowi spod stóp. Na szczycie wzniesienia kobieta odwróciła się i obrzuciła spojrzeniem ścigającego ją mężczyznę. Dyszała ciężko. Jej pełne piersi wznosiły się i opadały gwałtownie w rytm oddechu, pot spływał strużkami po jej ubrudzonych ziemią bokach. Cymmerianin zobaczył, że twarz ma piękną, wyraziste rysy, łączące w sobie kształt ras z Pomocy oraz sności z Południa. Barbarzyńca ze zdumieniem stwierdził, że w jej spojrzeniu nie maluje się nawet odrobina lęku.

Wyszukując oparcia dla stóp, Conan wspiął się na górę z szybkością, która musiała zaskoczyć kobietę. Gdy znów rzuciła się do biegu, roztrzając nisko zwisające gałęzie dębu, był tuż za nią. Wreszcie poczuł w nozdrzach intensywny, doprowadzający do szaleństwa zapach jej ciała. Czując świeży przypływ sił, poderwał się i nagle zatoczył w miejscu. Nie był w stanie zwracać uwagi na nic poza ściganą kobietą i uderzył z całej siły w wystający, sękaty konar.

Poczuł przenikliwy ból, a strużka krwi zmieszała się ze spływającymi na policzki łzami. Uderzenie odebrało mu resztkę sił. Oślepiiony, zatoczył się naprzód, potknął na zagrzebanym do połowy w ziemi korzeniu i runął na kolana.

Dla zamroczonego Conana kobieta stała się bladą, niewyraźną sylwetką na mrocznym tle. Była o parę kroków dalej i wpatrywała się w niego uważnie. Po chwili podeszła bliżej po kobiercu suchych liści i unosząc kształtną stopę, wymierzyła mu kopniaka w szczękę. Cymmerianin stracił przytomność.

VII

Uzdrowicielka

Wrota rezydencji władającego prowincją Urbander barona sięgały wysoko pod pokryte skłębionymi chmurami niebo. Pociemniałe od upływu lat umocnienia były właśnie wieńczone nowymi bastionami z jaśniejszego kamienia. Prace toczyły się mimo zimowego chłodu i twardej pokrywy zlodowaciałego śniegu, zalegającego w rynnach i brukowanych rynsztokach podgrodzia. Słychać było okrzyki majstrów, skrzypienie zamarzających kołowrotów i cierpliwe stukanie dłut, gdy wciągano na górę i dopasowywano nowe głązy.

Młoda czarodziejka Tamsin po raz pierwszy została wezwana do stolicy prowincji. Urbander, jedno z najbardziej na północ wysuniętych miast cesarstwa brytuńskiego, było silnie ufortyfikowane dla obrony przed atakami samowolnych możnowładców Pogranicznego Królestwa. Gród kwitł jednak dzięki handlowi i wojennym łupom z egzotycznych ościennych krain. Sprawowanie władzy nad odosobnioną, obdarzoną wszak kluczowym znaczeniem rubieżą wymagało twardej ręki. Wiązała się z tym również, z czego zdawali sobie sprawę wszyscy Brytuńczycy, znaczna samodzielność i niezależność od płynących z Sargossy edyktów władcy cesarstwa, króla Tyfasa.

- Nie wątpię, że baron przyjmie nas od razu - powiedział zakuty w zbroję oficer, wysiadając z zachłapanego błotem krytego wozu. Odwróciwszy się ku otwartym drzwiom pojazdu, podał dłoń młodej kobiecie. - Zbliży się południe. Jego wysokość zdążył już pewnie wstać po wieczornych uciechach. O tej porze dnia z reguły najbardziej potrzebuje pomocy uzdrowiciela. - Rozumiem. - Nie zwracając uwagi na ofertę pomocy oficera imieniem Isembard, Tamsin wysiadła z wozu płynnym, dziewczęcym skokiem. Jak zawsze, w ramionach trzymała wspomagającą ją w

czarach lalkę; liczne ozdoby zabawki zamigotały i zaszczekały pod wpływem wstrząsu. - Podobnie jak ja, Ninga wielką przyjemnością pozna barona Einholtza.

- Baron wielce potrzebuje twoich usług - ciągnął Isembard z poważną miną. - Od jakiegoś czasu jest niedysponowany. Sierżancie! - Porucznik wrócił do pełnienia swych obowiązków. - Zwołaj asystę barona i wyznacz paru ludzi, by nie dopuszczali motłochu do drzwi!

Krótkim ruchem dłoni wskazał tłum chłopów i miejskich obiboków, tłoczących się z wyraźnym zaciekawieniem przed bramą. Ciżba podążała śladem ubłoconego pojazdu, rozniosła się bowiem wieść, że przybyła nim czarodziejka. Sława Tamsin dotarła do Urbanderu mimo znacznej odległości dzielącej miasto od jej rodzinnych stron.

Wydawszy rozkazy, Isembard ruszył energicznym krokiem w stronę twierdzy. Jego młoda towarzyszką podążyła za nim po szerokich stopniach; asystowała jej para trzymających się z tyłu pałacowych strażników.

Wnętrze rezydencji wydało się wielkie i wspaniałe dla pochodzącej z biednego obejścia Tamsin. Obszerną, rezonującą echem główną komnatę wykończyli wytrawni kamieniarze, pojmami w niewolę podczas podbojów na południu. Wystrój wnętrza miał zdecydowanie męski charakter: wszędzie znajdowały się stojaki z bronią i tarcze, ściany przystrojono głowami niedźwiedzi, łosi, jeleni i dzików. Stoły na blatach nosiły ślady cięć bronią, zadanych podczas biesiad i nauki walki. Mimo surowości, majaczące w blasku gorejącego na wielkim palenisku ognia rzeźbione kamienne kolumny, łuki z kasetonami i strzeliste galerie wyglądały tak dobrze, że przy niewielkim nakładzie środków wewnątrz mogłoby stać się naprawdę eleganckie.

Przed paleniskiem na środku komnaty, otoczona przez pół tuzina służących, w wielkim fotelu zasiadała postać o zaiste arystokratycznych wymiarach i zaroście. Pan rezydencji miał pobrużdżoną, zaczerwienioną twarz, krzaczaste siwe brwi i wianuszek sterczących na wszystkie strony białych włosów, okalających pokrytą plamami czaszkę. Szlachcic miał wypukłą klatkę piersiową i chociaż odziany był we wspaniałą strój - składający się z jedwabnej koszuli, szerokiego pasa i pantalonów - siedział w fotelu bezwładnie. Widać było, że trawi go choroba. Gdy porucznik zbliżył się do niego rażnym krokiem, baron zwrócił ku niemu twarz z wyrazem świadczącym o złym humorze. - Panie, wedle twej woli podjąłem po całym cesarstwie poszukiwania uzdrowiciela, który mógłby uśmierzyć twoje cierpienia. Przybywam dziś w towarzystwie czarodziejki leczącej z niezrównaną biegłością doczesne przypadłości. Poza tym zna liczne zaklęcia i potrafi przepowiadać przyszłość. - Isembard odwrócił się i wskazał skinieniem głowy stojącą obok niego dziewczyną. - Jasnowidząca Tam-sin pochodzi spod odległego Yervash i gotowa jest spełnić każde twoje życzenie.

- Każde moje życzenie? - Wyciągnawszy z wysiłkiem szyję, stary baron uważnie przyjrzał się młodej kobiecie w długiej szacie malowanej w kwiaty, stojącej spokojnie obok Isembarda. - Długo będzie musiała poczekać, jeżeli rzeczywiście gotowa jest to zrobić... Przynajmniej do jutrzejszego wieczora, jeśli istotnie jest tak wspaniałą uzdrowicielką!

Żartowi, wypowiedzianemu z pospolicym, wschodnim akcentem, towarzyszyło pełne złości spojrzenie po zgromadzonych w komnacie ludziach. Reakcją na to były ostrożne, uprzejme śmiechy porucznika i paru wyższych rangą zauszników barona.

- Podejdź, dziecko. Stań w blasku ognia, bym mógł ci się przyjrzeć bez wykręcania mojego nadwerężonego podczas bitew karku. Oho, naprawdę jesteś jeszcze dzieckiem! - wykrzyknął Einholtz, gdy Tamsin w milczeniu spełniła jego polecenie. - Isembard dobrze zna mój gust. Nic dziwnego, od lat sprowadza mi do łoża mnóstwo ślicznotek, by ogrzewały me stare kości.

- Wasza wysokość, chciałbym przypomnieć, że ta dziewczyna nie jest żadną nierządnicą. To osławiona uzdrowicielka, czarodziejka niezrównanej biegłości...

- Tak, tak, wiem! - przerwał niecierpliwie Einholtz, zbywając protest Isembarda machnięciem obrzmiałej dłoni. - Nazywasz się Tamsin, prawda? Twoja sława dotarła do mnie nawet w tej głuszy, chociaż nie przywiązuję wielkiej wagi do rozdmuchiwanym przez pospólstwo bajeczek. - Zwrócił ponownie ku dziewczynie horobliwie opuchniętą twarz i odchrząknął z wysiłkiem. - Może moja łatwowierność stanie się tym większa, im bardziej będę potrzebował pomocy. Tak czy inaczej, wysiłki tutejszych uzdrowicieli okazały się daremne. Bogom jednym wiadomo, że modły do wszechmocnego Amaliasa i wojennych duchów z mojej rodzinnej Nemedii też na nic się nie zdały. Jeśli potrafisz spełnić pokładane w tobie nadzieje, dziecko, Isembard zasłużył sobie na hojną nagrodę, sprowadzając cię tutaj.

- Dzięki, baronie. - Mimo dość sztywnej pozy, jaką przybrała, i dźwięczącej ozdobami lalki na ramieniu, Tamsin zdołała złożyć elegancki ukłon. - Ninga i ja pragniemy ci służyć. - Ninga? Ach, przypominam sobie, co głoszą plotki. Oto czarodziejka bawiąca się lalkami! - Baron Einholtz wyciągnął opuchniętą dłoń w stronę strojnej zabawki, zaniósł się rechetem wstrząsającym jego tłuste ciało i poprawił w fotelu. - Ta dziewczyna ogłupia wiejskich matołków czarami i urokami i udaje, że jej lala to religijny symbol! - Baron zakrztusił się ze śmiechu. Przez chwilę wstrząsał nim kaszel. - Widzisz, Isembardzie? Dziewka już zdołała mi pomóc, poprawiając z samego rana humor! - Ciężko dysząc, Einholtz osunął się na oparcie fotela. - Powiedz mi, Tamsin, co zamierzasz zrobić dla mnie ze swoją małą przyjaciółką... Chwileczkę! Isembard, co to ma znaczyć? - Einholtz nie dokończył pytania, gdyż z głębi rezydencji do komnaty weszła grupa szlachciców i strażników, zatrzymując się po obydwóch stronach ognia. - Chłopi znów podnieśli bunt? Ogłoszono alarm? Na Ulfgara, co tu się wyprawia?

- Nie denerwuj się, baronie. Nie stało się nic złego - odparł spokojnie Isembard, chcąc ubiec wybuch gniewu swojego pana. - Wezwałem twoich najwierniejszych poddanych, by mogli być świadkami uzdrowienia cię przez Tamsin. Jak mówiłem, dziewczyna potrafi dokonywać niezwykłych cudów. O tym, co się tu stanie, będą krążyły przez lata opowieści. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli paru naocznych świadków to potwierdzi... lub w razie potrzeby zaprzeczy fałszywym pogłoskom.

- Aha... Bardzo mądrze, Isembard. - Baron uśmiechnął się przebiegle do porucznika. - Lepiej mieć gotowych do pomocy świadków, chociażby dla własnego bezpieczeństwa. - Zwrócił przekrwione, nieco wylupiate oczy w stronę Tamsin. - Teraz, kiedy zdążyłem się zastanowić, przypomniałem sobie, że dobroczynne czary tej panny mają czasami przykre uboczne skutki. Wiem, że to rozdmuchane plotki, ale można się przestraszyć, gdyby to była prawda. - Powiódł spojrzeniem po zebranych. - Podobno sprawiła na przykład, że w jakiejś kupieckiej osadzie na południu wyrosła góra buchająca siarką i smołą, ponieważ mieszkańcy nie chcieli jej zapłacić.

- Baronie, nie musisz obawiać się takiego losu z naszej strony - odparła spokojnie Tamsin, chociaż jej odpowiedź była prawdziwa tylko w dosłownym sensie. - Nie wykorzystałabym z Ningą naszej mocy do wyrządzenia szkody temu pięknemu miastu. Zrobię tylko to, o co poprosił mnie Isembard, prawda, Ninga? - Dziewczyna spuściła wzrok i pogładziła lalce włosy z czarującą, dziecięcą niewinnością. - Nie musisz się również martwić o zapłatę, bo jest niepotrzebna. Usłużenie tak znamienitemu szlachcicowi jak ty, baronie, będzie stanowić dla nas wystarczającą nagrodę. To, co w zachowaniu Tamsin było dziewczęce i naturalne, wydawało się staremu arystokracie impertynencją lub zawołaną groźbą. Jego odpowiedź była lodowata:

- Nie chcesz zapłaty? - burknął. - Bardzo dobrze, nic nie dostaniesz... oczywiście, jeżeli zdołasz mnie wyleczyć. Jeżeli nie... cóż, czarodziejko, na twoim miejscu bałbym się zapłaty, jaka wówczas cię spotka! - Ruchem zdumiewająco zręcznym jak na kogoś tak schorowanego Einholtz wyciągnął z pochwy przy boku długa, lśniąca szablę. - Wiedz, że bez względu na to, jak zręcznie władasz ze swoją laleczką magicznymi mocami, ja o wiele sprawniej posługuję się bronią. Jak myślisz, dlaczego ci wojownicy sami wierni? - Machnął szablą w stronę wszystkich zebranych, nie napotykając na żadne protesty. - Powinnaś wiedzieć, że stal to skuteczny środek na wszelkie czary! Zaklęcia giną w jej cieniu jak ścięte wczesnym mrozem kwiecie. Gdy zmusza mnie do tego potrzeba, umiem przeciąć wszelkie zawikłane więzy zdrady i pajęczyny czarodziejskich pozorów! - Swoje słowa Einholtz zilustrował błyskawicznym sztychem, a ostrze szabli zamigotało złowrogo w blasku ognia. - Potraktuj to jako ostrzeżenie, czarodziejko!

- Dobrze, baronie. - Tamsin pokornie skinęła głową. - Ninga i ja słyszałyśmy wiele o twój ej biegłości w posługiwaniu się bronią. Wciąż mówi się o twoich wyczynach, gdy byłeś kapitanem nemediańskich najemników, zanim król w Sargossie uczynił cię baronem tej prowincji. Słyszałyśmy, że miażdżyłeś wówczas każdego, kto znalazł się na drodze twoich wojsk... prawda, Ninga?

Einholtz spojrział z ukosa na wpatrzoną w lalkę dziewczynę, lecz mimo to zdawał się akceptować jej pochwały. Schował szablę i powiedział:

- Istotnie, dziecko, nie da się temu zaprzeczyć. Kiedy stary król Tyfas mianował mnie baronem Urbander, nie dziękował mi tylko za pomoc w wojnach z południowymi sąsiadami. Okazał należną wdzięczność za przybycie w porę z

wojskami dość bezwzględny, by zdołały mu zapewnić zwycięstwo w kampanii. Tak było. - Zdawało się, że stary żołnierz wykorzystuje okazję do wygłoszenia mowy również do swoich poddanych. - Król chronił granice kraju i własną osobę, ponieważ w swej monarszej przenikliwości stary Tyfas wyczuł we mnie hart ducha i bezwzględność, potrzebny mu był do utrzymania placówki na północnych rubieżach. Słusznie ocenił, że ja, Einholtz, potrafię obronić okolicę nie tylko przed łupieżczymi wyprawami i góralskimi rozbójnikami, lecz również przed zbuntowanymi rycerzami i zdradzieckimi niewolnikami, podnoszącymi rewoltę na tych właśnie ziemiach. - Obrzmiałymi palcami pogładził przypiętą do piersi ciężką złotą broszą, symbol nadanego mu tytułu. Urwał na chwilę, wsłuchując się w dobiegające od głównego wejścia dźwięki. - Skoro o buntownikach mowa, co to za wrzawa przed bramą? Więjczy parobcy znów chwycili za broń? Może wzburzyła ich zimowa wycena podatków lub ostatni zaciąg rekrutów i branka kobiet? Jeżeli tak, zgnieciemy ich tak samo, jak zawsze! - Einholtz wychylił się z fotela i znów zaczął wywijać szablą. - Wola barona jest święta! Chłopstwo nie ma prawa się jej sprzeciwiać!

- Nie, panie, nie ma żadnych powodów, byś się irytował - pośpieszył z zapewnieniem Isembard, pragnąc uspokoić barona i nie dopuścić, by ktokolwiek z jego świty wyszedł na zewnątrz. - To tylko garść ludzi z miasta zebrała się zwabiona przybyciem sławnej czarodziejki. Niewątpliwie mają nadzieję uczcić cudowne uzdrowienie waszej wysokości. Wyzaczyłem strażę, by nie dopuszczać ich do pałacu, więc nie ma żadnej groźby, że dojdzie do nieporządków. Nie musisz się tym troskać, baronie.

- A co z zewnętrzną bramą? Trzeba ją porządnie zamknąć, a na karki gapiów spuścić kratę, ot co! To powinno przemówić im do rozsądku.

- Baronie, wiesz przecież, że do czasu ukończenia przebudowy umocnień brama jest otwarta. Zawiasy zamarzły wskutek deszczu ze śniegiem i ciężko byłoby wyrąbać je teraz z lodu. - Isembard nachylił się ku Einholtzowi, starając się nakłonić go do schowania broni. - Sądzę, panie, że powinniśmy potraktować to jako okazję do zjednania sobie mieszczan. Proszę, niech wasza wysokość pozwoli im na rozrywkę. Kiedy czarodziejka wykona swoje zadanie, będzie można uczcić to przez odszypuntowanie na placu miejskim beczki piwa z pałacowych zapasów.

- Hm... W porządku, Isembard, skoro za to ręczysz. - Wyczerpany swoją tyradą baron przystał bez dalszego oporu na słowa porucznika i zwrócił się ponownie do Tamsin: - No dobrze, czarodziejko, szykuj się do swoich zaklęć. Jak chcesz uzdrowić to stare truchło?

- Najpierw muszę wyjaśnić naturę twojej choroby. - Tamsin przyjrzała się uważnie baronowi, podnosząc Ningę, jak gdyby chciała, by lalka również mogła patrzeć na niego. - Wydaje mi się, że cierpisz na postępujący paraliż kończyn.

- Owszem - oświadczył Einholtz, rzucając zirytowane spojrzenie zebranej świcie. - Choroba najbardziej mi dokucza, kiedy odpoczywam, a także wczesnym rankiem, zanim pokrępię się piwem.

Po chwili wahania uniósł z drewnianego oparcia fotela pokrytą starczymi plamami dłoń, by zaprezentować dolegliwość. Wyraźnie widać było drżenie koniuszków palców, któremu towarzyszyły skurcze mięśni i ścięgien pod przebarwioną skórą nadgarstka.

- Istotnie, choroba poczyniła duże postępy - stwierdziła młoda czarodziejka poważnym tonem. - Bez leczenia na pewno wkrótce stałaby się jeszcze cięższa. Zapewne jest to skutek spożywanego w nadmiarze mocnych trunków, baronie, oraz licznych nocy, spędzonych na uciechach z brankami ze zdobytych dworów i pałaców. - Wyszepiała kilka niemal niesłyszalnych słów do swojej lalki, po czym przez chwilę nasłuchiwała w milczeniu, jak gdyby spodziewała się cennej rady bardziej doświadczonego medyka. W końcu spytała: - Powiedz, baronie, czy cierpisz również na podagrę?

- Podagrę? Niestety tak, chociaż ostatnio mi nie dolegała - przyznał baron, już bez oporów zwierając się ze swoich niedomagań. - Są jednak dni, zwłaszcza w okresie dożynek i zimowego przesilenia, kiedy dostaję takiej przekłętej opuchlizny i bólu, że ledwie mogę się poruszać.

Podniósł obłóczoną w jedwab nogę; chociaż uczynił to bez trudu, jednak można było dostrzec, że stopa jest opuchnięta i zniekształcona.

- To widać - przyznała Tamsin. - Podagra to choroba dotkliwa w umiarkowanym klimacie, zwłaszcza po spożyciu ciężkostrawnych, mocno przyprawionych świątecznych potraw. Oczywiście, nie każdy spożywa takie jadlo, lecz ty, baronie, masz do niego prawo, jak przystało możliwym tego świata. Taka

jest cena-można by rzec też, ofiara - jaką szlachta płaci za zdrowy stan państwa. - Rozejrzała się po słuchających jej słów dworzanach; w jej głosie nie można wszak było usłyszeć ironii. - A jak twoje kości, baronie?

- Och, tak, moje kości! - Einholtz zdażył zapalić się do tematu własnego zdrowia, nie przejmując się, że dyskusowanie przed dworską swiłą o jego chorobach może wzbudzić wątpliwości, czy nadal nadaje się do rządzenia. - Artretyzm, jaki czuję późno wieczorem i przed świtem, to istna udręka. Nawet kociołek z węglami, kubek grzanego wina i towarzystwo dwóch czy trzech wiejskich dziewczek w łożu nie jest w stanie przegnać bólu i lodowatego zimna, przenikającego mnie aż do szpiku kości. Gdybyś zdołała mnie od tego uwolnić... i od innych chorób, mógłbym zmienić postanowienie, że nie dostaniesz żadnej zapłaty. - Ze znużeniem potarł dłonią oczy.

- Tak, baronie, widzimy twoje cierpienie.

Tamsin zamyśliła się głęboko, ciągle podtrzymując lalkę na ramieniu. Przyjrzała się zaczerwienionej, grubej twarzy starego szlachcica: pobrużdżonemu, pokrytemu ospowatymi bliznami czołu, ogorzałej od słońca łysej czaszce, podpuchniętym, przekrwionym oczom, sinawym ustom i obłożonej tłuszczem szczęce z niestaranie wygoloną brodą. Ze środka oblicza sterczał bulwiasty, pokryty szkarłatnymi żyłkami nos, w połowie nadarty przez uporczywe owrzodzenia, pozostawiające po sobie blizny. To przydawało baronowi dodatkowej szpetoty.

- Tak, baronie, widać je aż zbyt dobrze. - Tamsin przez chwilę jakby nasłuchiwała słów lalki, po czym kontynuowała: - Trawiące cię przypadłości nie dają się niestety łatwo wyleczyć. Padłeś ofiarą zjadliwego demona, czającego się we krwi - podstępnej choroby, przez lata z wolna dręczącej człowieka i pozbawiającej go sił życiowych. Co gorsza, widoczne gołym okiem szkody są niczym w porównaniu z tymi, jakie zaraza niepostrzeżenie wywiera wewnątrz ciała i w umyśle. Jej źródło to nierozważne spółkowanie... parzenie się z istotami zwierzęcej natury i z nie lepszymi od nich pospolitymi dziewczkami. Choroba cechuje się podstępnością i uporczywością; może przez wiele lat towarzyszyć na drodze życia, jak w twoim wypadku, od skromnego, podrzędnego stanowiska po wielkie tytuły i zaszczyty.

- Co chcesz przez to powiedzieć, czarodziejko? - zapytał zniecierpliwiony i wystraszony Einholtz. - Czy to znaczy, że nie zdołasz mnie uzdrowić? A może targujesz się o zapłatę?... Co to za przeklęte hałasy?! Niech diabli porwą tych chłopów!

Baron podniósł wzrok na wysokie okna o szybach z barwionego szkła, od których z zewnątrz odbijały się ciskane z dołu - najprawdopodobniej rzucane przez tłum - bryły lodu i kamienie.

- Twoje schorzenie - ropiejący wrzód nosa i być może innych organów w środku - nie podda się mojej uzdrowicielskiej mocy, jest bowiem zwyczajnym skutkiem młodzieńczych uciech i wyczynów, baronie. Podobnie ból kości to rezultat gwałtownych, bezwzględnych zmagania z naturą i ludźmi, wynik stoczonych bitew i cudzołożenia, konnej jazdy i forsownych marszów, awantur i gwałtów, które wyniosły cię na tak wysoki urząd. Podagra zaś i paraliż to tylko konsekwencje arystokratycznych występków i przywilejów - chociażby umiłowania silnych trunków i mocno zaprawionych potraw. Oto cena za zagarnianie bogactw tego kraju. Jak mogę wraz z Ningą, mimo jej boskiej mocy i zrozumienia, naprawić przypadłości, które są tak związane z twoją naturą? Nawet gdybym mogła je usunąć, zmieniłabym cię nie do poznania.

- Dostyc tej śmiałej gadaniny, bezczelna wiedźmo! - Wojowniczy szlachcic wyprostował się w fotelu. - Chcesz mi wmówić, że ja, baron Einholtz, stanowią jedność ze swoimi chorobami? Że stałem się chodzącą zarazą, zropiałym, gnijącym czyrakiem?! Że spółkuję ze zwierzętami i raczę się odrażającym jadłem? Nie zniosę takich wymysłów, czarownico! Uciszę je, chociażbym musiał poderżnąć ostrą stałą twoje chude gardło... Aaaa! Aaach, nie!!!

W trakcie gniewnej przemowy baron Einholtz raz jeszcze obnażył ciężką szablę i ze zdumiewającą szybkością wyskoczył z fotela. Gdy jednak wyciągnął broń przed siebie, ostrze zabłysło tak oślepiającym blaskiem, jak gdyby do pogrążonej w półmroku komnaty zabłąkała się gwiazda lub kawałek słońca. Chociaż płomienie nad paleniskiem nie były zbyt jaskrawe, przeszywające lśnienie, bijące od ostrza, wzmagalo się nadal, zmuszając dworzan do odwrócenia wzroku. Moc światła oparzyła twarz Einholtza; widok jego wytrzeszczonych oczu i szeroko otwartych ust na długo wbił się w pamięć świadków tego wydarzenia.

Po chwili szlachcic osunął się z rozpaczliwym krzykiem na kolana.

Przycisnął obydwie dłonie do oczu; wypuszczona z ręki szpada potoczyła się ze szcęką po posadzce.

- Aaach! Oślepiłem! - jęczał żałośnie, podczas gdy blask stopniowo przygasł, a zebrani w komnacie ludzie odzyskali zdolność widzenia. - Oczy pala mnie jak gorejące węgle!

Gdy Einholtz odjął dłonie od twarzy i zaczął obracać głowę, nadaremnie starając się ujrzeć cokolwiek. Dworzanie ujrzeni, że w jego oczodołach tkwią dwie białe kule, przypominające ugotowane na twardo jajka.

- Straże! - krzyknął nieszczęsny arystokrata. - Rozkazuję wam, zabijcie tę przekłętą wiedźmę! Rzućcie jej trupa w płomienie, niech się smaży tak, jak jej dusza będzie skwierczeć w piekielnym ogniu! - Oślepiły mężczyzna wyciągał przed siebie bezradnie rękę, szukając na płytach posadzki swej broni. - I zaprowadźcie mnie na fotel!

Einholtz wyczuł po chwili, że nikt nie ruszył się z miejsca, by wypełnić jego rozkazy. Moment później Tamsin podjęła niewzruszonym tonem przemowę do klęczącego barona:

- Jak powiedziałam, twoje cielesne niedomagania stanowią oczywistą konsekwencję życia spędzonego na grzesznych uczynkach. Nie sposób ich uleczyć, lecz zważywszy na twe szczere zaproszenie i zawartą przez nas umowę, Ninga i ja możemy przynajmniej uchronić cię przed ich najgorszymi konsekwencjami. W naszej mocy jest obdarzyć cię życiem wiecznym. Ningo, upraszam cię, zrób to!

Młoda czarodziejka nachyliła się przy tych słowach i złożyła dłonie niezdarnie zszytej lalki na ramionach klęczącego barona, jak gdy - by spodziewała się wyrzeczenia przez zabawkę błogosławieństwa. Czując dotknięcie, Einholtz drgnął i zgarbił się, zasłaniając się rękami w obronnym geście, jak przed wtargnięciem obcej mocy.

- Możesz być teraz pewny, baronie, że bez względu na dolegliwe skutki wyniszczających cię chorób, bez względu na doznawany ból, odbierający siły i pozbawiający woli, nie umrzesz, lecz będziesz trwać w nie zmienionym stanie przez całą wieczność. Od tej chwili nie możesz zostać zabity, nawet najpotężniejszym ciosem. Oto dowód mych słów... Isembard!

Na rozkaz dziewczyny porucznik straży barona wydobyl długi rapier, podszedł do Einholtza, nachylił się i przebił na wylot jego pierś. Smukłe srebrzyste ostrze wyszło z drugiej strony. Bez wątplenia w normalnych warunkach cios byłby śmiertelny. Stary baron wił się przez chwilę jak ryba. Jęczał, a spomiędzy jego wykrzywionych ust wyciekły strużki krwi. Gdy Isembard wyciągał rapier i prostował się, baron zakrzyknął raz jeszcze - wszelako nie przestał oddychać i niemrawo przebierał palcami w powietrzu. Jedynie niewielka czerwona plama znaczyła miejsce, w które ugodziła broń.

- Wiedz, że to moc Ningi uczyniła cię nieśmiertelnym! - podjęła przemówienie Tamsin. - To największy cud, jakiego potrafimy dokonać. Mamy nadzieję, że ucieszysz cię ten dar. W zamian pragniemy otrzymać jedynie niewielką, wręcz symboliczną zapłatę... - Tamsin nachyliła się nad Einholtzem, unikając jego wyciągniętych, błędzących na oślep dłoni, i zręcznie zerwała z jego piersi godło barońskiej rangi. - I tak nie będziesz już tego potrzebował, skoro twój stan się pogorszył. - Wpięła oznakę na brązowej szpilce w koszulkę swojej lalki, wzbogacając strój o jeszcze jedną ozdobę. - Powinieneś udać się w jakieś zaciszne miejsce, baronie, by odzyskać siły. Porucznik Isembard zgodził się zastąpić cię na stanowisku; nie wątpię, że wszyscy obecni przy witają tę decyzję z radością.

Gdy Tamsin skończyła mówić, odpowiedziały jej wiaty zebranych, po chwili zaś rozległy się radosne okrzyki zebranego na zewnątrz tłumu. Dworzanie jeszcze bardziej ochoczo okazywali aprobatę, gdy Isembard zasiadł na fotelu barona. Tuż potem na polecenie nowego władcy otworzono drzwi rezydencji i wpuszczono do środka przywódców buntowników. Oddali pokłon nowemu baronowi i na jego znak wywlekli jęczącego i proszącego o litość Einholtza na dziedziniec, skąd dobiegały jego rozpaczliwe krzyki.

- Woli ludu stało się zadość - Oświadczyła Tamsin. - Waszego byłego pana można powiesić lub poćwiartować, według uznania, ale Ninga i ja gwarantujemy, że nie umrze. Dzielny Isembard złożył przysięgę, że będzie lepszym władcą niż Einholtz, dlatego też ma rządzić pod naszą czarodziejską opieką. Co więcej, zobowiązał się szerzyć wiarę w najwyższą boginię Ningę, poddani mają jej być posłuszni przez wszystkie lata rządów Isembarda. Nastal wspaniały dzień chrztu w imię nowej bogini, której imię zostało wypisane szlachetną krwią. By dopełnić

tęgo przymierza, pozostało jeszcze jedno: symboliczna ofiara spośród was. - Powiodła spojrzeniem powoli po dworzanach. - Łaskawa Ninga wyraziła zgodę, by życie oddały tylko trzy osoby. Niech będzie to dla was próba wierności nowemu baronowi. Niech nikt nie zawaha się okazać mu posłuszeństwa.

Na znak Tamsin Isembard wstał z fotela.

- Podejdźcie! - polecił zgromadzonym w komnacie dworzanom. Wszyscy buntownicy z ociąganiem ruszyli naprzód; czynili to nierówno, przez co zdeformował się tworzony przez nich krąg.

- Wystarczy. - Tamsin z powagą zaczęła przyglądać się ich twarzom. - Na moich adiutantów wybieram ciebie... i ciebie.

Dwaj żołnierze w hełmach posłusznie, chociaż z jakimś wahaniem wystąpili z kręgu i ustawili się za Tamsin.

- Muszę znaleźć trzy osoby... To bardzo trudne po tylu latach... Gładząc lalkę, Tamsin ruszyła uważnie przyglądając się ludziom, którym narzuciła wiarę w nową boginię. Odziane w płótna i futra kobiety mijała bez zastanowienia; bacznie przypatrywała się mężczyznom. Odpowiadali jej nerwowym spojrzeniem znad wąsów i czesanych lub zaplatanych bród. Czarodziejka poprawiła lalkę, jakby miała przyglądać się ludziom wraz z nią. Żaden z możliwych prowincji Urbander nie uniknął jej nieprzeniknionego, surowego spojrzenia.

- Masz doskonałą pamięć, Ningo - szepnęła. - Wspomóż mnie, jeśli łaska. Znajdź tych, których widziałam krótko, z daleka i tak dawno temu. Jeżeli możesz wskazać mi zbrodniarzy, którzy wystąpili przeciwko tobie... Ach, tu jest jeden! Pojmijcie go!

Lalka wyciągnęła rękę. Być może był to tylko skutek ruchu ramienia Tamsin, nie zaś boski omen. W każdym razie żołnierz z harcapem, mający wysoką rangę w wojskach barona, został natychmiast pojmany przez parę zwalistych adiutantów Tamsin i przykuty łańcuchem do kraty przy palenisku. Gdy dwójka strażników wróciła, Tamsin ponowiła poszukiwania.

- Rozejrzyj się uważnie, Ningo. Pachołkowie Einholtza z dawnych czasów byli mu bardzo wierni. Wielu z obecnych tu dzisiaj ludzi musiało wędrować przez puszcze w naszych stronach i plądrować zagrody. Tak, Ningo, widzisz ich niepewne spojrzenia? - Po chwili zawleczono do ognia kolejną wydającą zduszone krzyki ofiarę. - Tak, Ningo, lisy znalazły się w potrzasku. Pozostaje jeszcze schwytać wilka. Patrz uważnie, wierna przyjaciółko, czyje sumienie trawi winą.

Tamsin prawie wykrzyczała ostatnie słowa. To sprawiło, że jeden z oficerów - porucznik Bohemund, dowódca pary wcześniej pojmanyh żołnierzy - stracił panowanie nad sobą i wyskoczył z kręgu dworzan.

- To jakaś czarnoksiężka szopka! - zawołał z wściekłością. - Mamy oddawać życie przed majaczącą wariatką i jej lalką?

Krzycząc, wyszarpnął zakrzywioną szablę. Ostrze zabrzączało, wyslizgując się z pochwy... a dźwięk ten nie ucichł, lecz nabierał mocy, aż zamienił się w ogłuszającą kakofonię, zagłuszającą głos żołnierza. Wielu z obecnych cofało się przed koszmarnym hałasem i zakrywało uszy. Bohemund rzucił broń, lecz wywołało to tylko spotęgowanie niesamowitego łoskotu. Oficer opadł na kolana, zacisnął dłonie na uszach, z których pociekła krew. Z jego ust dobywały się zgłuszone, rozpaczliwe jęki.

Nieziemski hałas ustał tak nagle, jak się rozpoczął.

- Doskonale, Ningo! Wbrew słowom Einholtza, stał jednak nie może równać się z czarami! - szepnęła Tamsin do lalki ułamek sekundy później.

Dworzanie wrócili na miejsca, wpatrując się w czarodziejkę z oszołomieniem i strachem. Z trzech wybranych na ofiary żołdaków - łącznie z niesłyszczącym i oszalałym Bohemundem - zdarto zbroje i skutych rzucono na pastwę nienasyconego, ciągle rosnącego tłumu na zewnątrz.

Gdy chóralne wrzaski z dziedzińca ucichły, czarodziejka wyszła na balkon. Jedna z czterech odciętych głów, zatknięta na wysokiej pice, wciąż otwierała usta i chwytała powietrze. Tamsin wygłosiła krótką mowę do nowych wyznawców:

- Zemściliście się na łotrze Einholtzu, którego niezliczone zbrodnie to zaledwie ułamek niegodziwości, do których dopuszcza król Ty-fas z dalekiej Sargossy. - Wywołała na balkon Isembarda, którego przywitano ogłuszającymi wiewatami. - Wasz nowy władca uznał boginię Ningę za swoją przewodniczkę i sprzymierzeńczynię w krucjacie przeciwko tyranii króla i starego Kościoła. Tak oto zaczyna się nowa epoka w dziejach tego kraju. Wasz bunt dobiegł końca, lecz rewolta w Brytanii dopiero się zaczyna! Oddajmy wszyscy cześć Nindze!

## Topór sprawiedliwości

Śmierć, jak już wiele razy wcześniej, zapalała niezwykłą sympatią do Conana. Posępna, pozbawiona oblicza mara wabiła i miała Cymmerianina jak roznamiętniona kochanka podczas długich godzin i dni po jego spotkaniu z jaskiniowym niedźwiedziem. Unosiła się, nad nim nisko i dławiące, jak ciężkie czarne płatki lotosu kradnącego dech w dżungli, a równocześnie rozpościerała się pod pozbawionym władzy w członkach barbarzyńcą jak pełna miękkiego, lotnego piasku czeluść. Szemrała mu cicho do ucha, kusząc propozycjami mrocznych rozkoszy. Z upływem czasu Cymmerianin niemalże poddał się roztaczanej przez nią pokusie nieskończonej błogości.

Nieznana, skrycie działająca moc sprawiła jednak, że ostatecznie nie uległ. Za każdym razem, gdy był gotów osunąć się w spokój wiecznego snu, uścisk silnych dłoni sprawiał, że na poły odzyskiwał przytomność, wstrząsany przenikliwymi dreszczami i wysuszającą ciało gorączką. Doznania te przywracały mu świadomość, że jeszcze nie pożegnał się z tym padołem. Blask światła raził go w oczy, czuł zimną wodę na twarzy lub w gardle, gdzie wlewano ją, chociażby krztusił się i dławił. Brakowało mu sił, by przynajmniej porządnie zakląć. Silne, natarczywe ręce uderzały go wówczas po plecach. Co gorsza, obmacywały i uciskały również palące żywym ogniem rany w jego boku. W nozdrzach wierciło go od przenikliwych, kwaśnych zapachów maści i okładów, jego uszy wypełniał grzechot amuletów i gardłowo mamrotane zaklęcia w nie znanym języku. Beźladnie przeplatające się momenty pogrążania w nicość i katusze bezceremonialnych, natarczywych zabiegów zdawały się nie mieć końca dla ранnego mężczyzny. Bał się, że już na zawsze będzie rozdarty między błogość umierania a opiekuńcze tortury.

Nadszedł jednak dzień, gdy czując padający na twarz silny blask, Conan zdołał otworzyć oczy. Kosztowało go to niezmiernie wiele wysiłku; każda powieka zdawała się ważyć więcej niż talent srebra. Cymmerianin zwątpił, czy znajdzie dość sił, by zamknąć je z powrotem.

Ujrzał nad sobą niezmierną kopułę niebios, pociętą pajęczyną krzywych linii, zbiegających się z jaskrawym, gorejącym kręgiem w miejscu ich przecięcia. Światło sprawiło Cymmerianinowi niewymowny ból. Łzy przesłoniły mu oczy, gdy nagle przed nim pojawiła się postać tak piękna, że zachwycił się pomimo cierpienia i łez.

Poczuł, jak jego ciało przenikają gwałtowne dreszcze, pozostawiając po sobie pustoszące wyczerpanie. Gorączka jednak ustąpiła. Siatka przecinających niebios linii okazała się trzcinowym rusztowaniem zbudowanego z tyczek szalasu. W środku przez dymnik widać było kawałek błękitnego nieba. Nieprawdopodobnie piękną postacią była kobieta o brązowych włosach i śniadej skórze. Wydała się Conanowi znajoma, chociaż jej rysy były odmienne niż u jakiegokolwiek ze znanych mu ras.

Trudno byłoby powiedzieć, że strój kobiety wydał się Cymmerianinowi obcy, był bowiem nader skąpy. Składało się nań parę wplecionych we włosy ozdób - przeważnie wyciętych z jasnego drewna ptasich sylwetek, trzy spływające na nagie piersi naszyjniki ze starannie wypolerowanych kawałków kości oraz opinający talię zręcznie spleciony rzemienny pas, podtrzymujący nieco większą i jeszcze kunsztowniejszą przepaskę tuż pod pępkiem.

Ozdoby tylko podkreślały urodę zdrowej, dojrzewającej dziewczyny o pełnych, opalonych piersiach oraz rozkosznie zaokrąglonych biodrach, brzuchu i udach. Dołki i wypukłości jej oblicza były nie mniej godne podziwu. Mógł przyjrzeć się tej twarzy dokładniej, ponieważ kobieta klęczała nad nim, oszołomionym z wrażenia Conanem. Cechował ją charakterystyczny dla dziewcząt z Północy zdecydowany zarys szczęk, śniada skóra, ciemnobrązowe włosy i zielone jak u kota oczy, typowe dla piękności z królestw hyboreańskiego Południa, oraz ślad delikatnych, pociągłych rysów, zdradzający pokrewieństwo ze wschodnimi ludami. Połączenie to sprawiło, że oblicze przypatrującej się spokojnie Conanowi tajemniczej nieznanym stanowiło nieskończenie fascynujący zbiór zaskakujących zagadek. Kobieta nachyliła się bliżej, przez co jej ozdoby - dzieło ludzkich dłoni oraz te, w które wyposażyła ją natura - zakołysały się tuż nad twarzą bezwładnego Cymmerianina. Poczuł jej zapach - i znowu miał wrażenie, że sobie przypomina, gdzie poczuł go wcześniej. Przez chwilę przed oczami

przemknął mu obraz leśnej polany. Poczł, jakby wbijano mu w skroń rozpaloną do białości igłę, wyczerpane gorączką ciało przeszyły nowe dreszcze.

Kobieta chwyciła go za głowę, przycisnęła kciukami policzki i zmusiła do rozchylenia ust. Wcisnęła mu do gardła coś mokrego i gorzkiego. Conan szarpnął się, jednak nie był w stanie wykrzesać z siebie dość sił, by się wyrwać. Zdołał jedynie wypłuć to, co wsadziła mu do ust. Kobieta odsunęła się od niego gwałtownie. Na jej twarzy malowała się mieszanina niemożliwych do przeniknięcia emocji.

- Juwala! - zawołała.

Pograżony w otępiającym wyczerpaniu Conan pomyślał z rezygnacją, że za chwilę do chaty wpadnie jakiś zwalisty osiłek, noszący takie właśnie imię. Kobieta odwróciła się niecierpliwie i sięgnęła do kosza przy wejściu. Wyjęła garść wiotkich, zerwanych z korzeniami szarozielonych ziół, odwróciła się do swego podopiecznego i potrząsnęła nimi przed jego twarzą.

- Juwala! Juwala! - powtórzyła kategorycznie.

Conan z wysiłkiem przypomniał sobie, że tak nazywane przydrożne zioło wykorzystywano w porze kwitnienia jako lekarstwo. Najwidoczniej kobieta włożyła mu do ust macerowane, wilgotne jeszcze liście. Nie chciała go otruć, podsuwała mu jedynie ludowy lek o wątpliwej wartości. Gdy podniosła mokrą kulkę z ziemi i powtórnie wepchnęła mu między wargi, żuł ją bezradnie przez chwilę, a potem bez powodzenia próbował przełknąć. Udało się to dopiero wtedy, gdy kobieta chochlą z wydrążonej dyni wlała mu w usta obfitą ilość wody.

Wówczas Conan uwierzył w jej dobre intencje. Spędzała długie godziny na opiekowaniu się powracającym do zdrowia Cymmerianinem. Nazywała się Songa, miała pogodną naturę, bez skrępowania traktowała jego fizyczną niemoc oraz ropiejące rany -

1 zdumiewająco dobrze znosiła słabe klepnięcia i podszczypywanie, na które pozwalał sobie, gdy się nad nim nachylała. Dopiero gdy szybko odzyskujący siły barbarzyńca starał się przycisnąć ją do siebie, karciła go za to celnie wymierzonym szturchnięciem łokcia lub kolana, oblaniem zimną wodą lub walnięciem garnkiem po głowie. Nawet wówczas była miła i pogodna. Widocznie trudy opieki nad Cymmerianinem sprawiały jej przyjemność; dowodziły tego długie popołudnia, jakie przesiadywała z wdzięcznie podciągniętymi pod brodę kolanami tuż poza zasięgiem dłoni Conana. Przy okazji uczyła go różnych prostych wyrazów w swoim języku.

Rany Cymmerianina budziły jej szacunek, bo wiedziała, że zadał je jakiś potężny zwierz. Pokazała Conanowi z mieszaniną dumy i zawstydzienia białe, równoległe blizny na kostce i udzie - dzieło górskiego kota.

Pozostali członkowie rodu czy też plemienia pozwalali Sondze opiekować się rannym nieznajomym. Co jakiś czas wysoki, muskularny mężczyzna o podobnych rysach twarzy, ale mniej dobronudszny, zaglądał do chaty. Nigdy nie przeszkadzał, co najwyżej pomrukiwał. Conan dowiedział się ze strzępów rozmowy, że człowiek ten miał na imię Aklak.

Tam, gdzie trafił Conan, mieszkało co najmniej dwudziestu ludzi. Cymmerianin domyślał się tego na podstawie dobiegających do niego odgłosów rąbania drewna, oprawiania zwierzyny i innych zajęć oraz rozmów i chóralnych śpiewów, rozlegających się w ciągu dnia. Kiedy usiłował wypytać o to Songę, kreśląc palcem na ziemi obok swego posłania proste figurki ludzi, kobieta ochoczo recytowała nie kończąca się listę trudnych do zapamiętania imion: Orpa, Emda, Urga, Ekdus, Amawak, Poliwak, Fnan. Jednak miała niejaki kłopoty z orientowaniem się w liczbach wyższych od pięciu. Cymmerianin podejrzewał, że udaje tak, by nie wyjawić obcemu mężczyźnie zbyt wielu informacji o swoim plemieniu. Kiedy z kolei Songa próbowała wypytać Conana o jego lud, barbarzyńca był jedynie w stanie machać ręką nad głową, mając na myśli to, że pochodzi z daleka, spoza lasów i gór. Próbował wyjaśniać dalej, wydając szumiący odgłos przez zęby i wykonując falujące gesty dłonią.

- Targokan. - Songa najwidoczniej zrozumiała jego gesty, ponieważ użyła słowa oznaczającego rzekę. Tak właśnie członkowie plemienia nazwali Conana na własny użytek: Targoka, czyli człowiek z rzeki.

Narzecze, którego uczyła, nie miało sobie podobnych pośród poznanych przez Cymmerianina. Różniło się od pospolitych wschodnio-hyboriańskich dialektów oraz języków turańskiego i hyrkańskiego, Conan nie mógł więc odgadnąć, gdzie się znalazł. Mowa ta zdawała się dowodzić, że lud Songi miał styczności ze znanym Cymmerianowi światem. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że się z tego cieszy.

Mieszkańcy doliny używali wobec siebie jedynie określenia "atupan" - czyli "ludzie". Songa ze swej strony nie wykazywała zbytniego zainteresowania obcymi słowami, których chciał ją nauczyć Conan, nawet jego imieniem. Być może uważała, że nie istnieje żaden inny język poza mową jej ludu, a Conan, zanim zaczął uczyć się jej narzecza, potrafił posługiwać się jedynie gestami i nieartykułowanymi pomrukami. Trudności w porozumieniu się nie martwiły Cymmerianina. Nie miał ochoty przybliżyć tym ludziom cywilizacji, która nie samo dobro ze sobą nosiła. Wiedziony tu żywot - o ile można było ocenić to po dobiegających z zewnątrz odgłosach, zapachach gotowanych i pieczonych potraw oraz po twarzach zagląających do chaty dumnych mężczyzn i roześmianych kobiet - wydawał się prosty i spokojny. Barbarzyńca czuł się, jakby trafił z powrotem do cymmeriańskich obozów i warowni z czasów swego dzieciństwa.

Tutejsi ludzie opanowali podstawowe, umożliwiające przetrwanie umiejętności - co, jak się wydawało Conanowi przed spotkaniem z jaskiniowym niedźwiedziem, udało się i jemu - i wiedli dobre życie w nie zakłóconej harmonii z naturą, jedynie sporadycznie okazującą im swe groźne oblicze. Dzięki żyznej, urozmaiconej okolicy żyli niemal tak dobrze, jak w przekazanych Conanowi opowieściach cymmeriańscy praprzodkowie w czasach przed pojawieniem się rabujących ich ziemie, władających stalowym orężem przybyszów z południa, co zepchnęło jego lud na szlak wojny i doprowadziło do zniszczenia.

Myśli te przychodziły Conanowi do głowy podczas długiej choroby. Były to raczej odczucia, obrazy, doznania. Za przykładem Songi przestawał się pograżać w rozmyślaniach o świecie, który pozostawił, przyzwyczajając się do bardziej prostego sposobu myślenia. Poczuł, że na nowo wyostrzają mu się zmysły, zwłaszcza węch i słuch, które nie były tak niezbędne w hałaśliwych, cuchnących miastach. Cieszyły go proste rzeczy: przynoszone przez hożą opiekunkę garnce słodzonej miodem, parującej papki z orzechów, garście jagód, gotowane warzywa i półcie wędzonej dziczyzny. Powracający do zdrowia Cymmerianin znalazł wreszcie dość sił, by żuć i przełykać kęsy mięsa.

Zaspokojenie głodu sprawiało, że w Conanie odzywał się inny apetyt - na powabne wspaniałe ciało Songi, raczej podkreślane niż skrywane noszonymi przez nią ozdobami, miękkimi futrami i girlandami kwiatów. Conan nie zastanawiał się nawet przez chwilę ani nad stosownością swoich marzeń, ani nad konsekwencjami. Nie znał systemu moralnych wartości tego plemienia. W miarę nabierania sił chciał po prostu zaspokoić swoje pragnienia.

Niestety, na przeszkodzie stawały najpierw słabość i płynący ze świeżych ran ból, a później zręczne uniki, stosowane przez wymarzoną kobietę. Jakiś instynkt kazał Sondze unikać dotknięć adoratora - chociaż nie jego spojrzeń. Conanowi szybko wracały siły, a wtedy żadna kobieta nie mogłaby stawić mu oporu. Mimo to nie leżało w jego naturze udawać słabość, by zwabić Songę w swoje objęcia czy wzorem drapieżnika zacząć się na nią. Jego miłosne pragnienia wymagały i z jej strony dowodu gotowości, wzajemności. Mimo nieśmiałych pieszczot Songa nie posunęła się jednak daleko, chociaż z drugiej strony nie odbierała Conanowi nadziei na sukces. Prowadziła tę grę równie zręcznie, jak najbardziej wyrafinowana dama.

- Songa! Przyjść, odpocząć! - zawołał, gdy tylko poznał odpowiednie słowa, klepiąc trzciniową matę obok siebie. - Przyjść, położyć się! Odpocząć, zrobić razem dobrze-dobrze!

- Nie, Targoka - odpowiedziała niedbałym tonem, kreśląc dłonią poziomy atupański gest, oznaczający zdecydowaną odmowę. Z przyzwyczajenia wypowiadała słowa powoli i wyraźnie, jakby zwracała się do dziecka. - Nie położyć się, nie zrobić dobrze-dobrze. Targoka za bardzo chory.

- Targoka nie chory - zapewnił Conan, dźwigając się do połowy z posłania. - Targoka silny! - Wskazał bok, pokryty grubymi strupami, spod których tylko w kilku miejscach wyciekało jeszcze osocze. Usiłował powiedzieć, że będzie bardzo chory, jeżeli nie zrobi z Songa dobrze-dobrze, ale musiał zrezygnować, bo przy jego nieznanym odpowiednich słów było to zbyt skomplikowane. - Songa odpocząć z Conanem! - dokończył, jak potrafił.

- Nie podejść, nie odpocząć - powtórzyła Songa. - Targoka za bardzo chory, nie wychodzić z chaty! - Wskazała wyjście, za którym na ziemię padały wydłużone o zmierzchu cienie. - Targoka nie wychodzić, Aklak nie zabić! - Wykonała gest, imitujący rąbanie toporem. - Później Targoka nie chory. Targoka wyjść, Aklak zabić. Potem zrobić dobrze-dobrze.

- Hę?! - mruknął pytająco Conan czując, jak włosy jeżą mu się na głowie.

Usiłował pojać, o co mogło chodzić kobiecie. - Aklak zabić Conan... Targoka? - starał się wyjaśnić. - Tak, Aklak zabić Conan. - Prosta dziewczyna wzruszyła ramionami, jak gdyby nie miało to wielkiego znaczenia. - Conan zabić Alkak, wtedy być dobrze-dobrze.

Conan chwilowo zrezygnował z zastanawiania się, jak będzie mógł robić dobrze-dobrze, jeżeli zostanie zabity. Zamiast tego zapytał:

- Songa robić dobrze-dobrze Aklak?

- Nie! - Dziewczyna ucierała drewnianym tłuczkiem orzechy w połówce dyni, lecz po słowach Conana bez ostrzeżenia rzuciła nim w Cymmerianina, trafiając go boleśnie w ramię. - Nie robić dobrze-dobrze z unka! Targoka nie mówić źle-źle!

- Kto to być unka? - zapytał ostrożnie Conan. Mimo to nie podnosił leżącego na macie tłuczka, mając nadzieję, że gdy Songa po niego podejdzie, zdoła przyciągnąć ją do siebie.

- Unka! Unka! - powiedziała niecierpliwie Songa. Nachyliwszy się, nakreśliła na ziemi cztery proste figurki ludzkie, dwie duże i dwie małe. Wyjaśniając dalej, udała, że wyjmuje niemowlę z łona i unosi je do piersi. Potem "wyjęła" drugie dziecko i przyłożyła je do drugiej piersi. - Unka! - powtórzyła, machaniem palca zaznaczając płeć niemowlęcia.

- Ach, brat! - Conan przerwał jej w rodzinnym cymmeriańskim narzeczu, najprymitywniejszym znanym mu do tej pory języku. - Aklak to unka. Nie robić dobrze-dobrze z Songa. - Pokiwał ochoczo głową, by wyrazić zrozumienie, po czym przypomniał sobie, by przesunąć trzymaną poziomo dłonią w górę i w dół na wysokości brody, co znaczyło to samo u Atupanów. Wciąż jednak martwiła go zasadnicza kwestia. - Unka zabić Conan?

- Tak, zabić. - Songa wykonała parę obszernych ruchów, jak gdyby chwyciła kogoś i powalała na ziemię.

Conan rozluźnił się nieco i położył z powrotem na macie. Gestykulacja Songi znaczyła, że być może to, co określała jako "zabicie", oznaczało jedynie walkę. Cymmerianin nie martwił się taką perspektywą; wydała się mu nawet pociągająca.

- Aklak zabić Targoka - kontynuowała Songa. - Pozbyć źle-źle. Targoka zrobić kraść Songa. - Przybrała przesadną, urażoną minę. - Targoka widzieć Songa naga, bardzo źle-źle - dokończyła, wstydliwym gestem poprawiając wiszący na jej obnażonym brzuchu amulet.

Conanowi brakowało sił, by od razu ostatecznie wyjaśnić ten problem, znaczenie słów Songi stało się wszak jasne w ciągu kilku kolejnych dni nauki języka. Okazało się, że Atupanie przywiązywali wielką wagę do obyczaju, nakazującego porywanie kobiet ich rodzicom i opiekunom. Było to praktycznie konieczne, zważywszy na małą liczebność plemienia i silnie ugruntowany zakaz kazirodztwa. Conan serdecznie to aprobował. Odwiedziwszy niezliczone odizolowane klany i wsie czuł, że wśród Atupanów nie mogliby rodzić się tak silni i piękni ludzie, jak Aklak czy Songa, gdyby zawierali małżeństwa wyłącznie między sobą. Conan wiedział z opowieści, że porywanie kobiet było honorowanym cymmeriańskim zwyczajem. Gdy był młody, brankami często zostawały gładkie, wyperfumowane kobiety najeźdźców z Południa.

Tak więc wykradanie kobiet między kilkoma atupańskimi plemionami, koczącymi w okolicznych lasach, było otwarcie przyjęte. Mężczyźni pozostawiali dziewczęta w odpowiednim do zamążpójścia wieku bez dozoru podczas długich rytualnych kąpieli - zwykle grupowych, jak się dowiedział Conan, ponieważ dziewczęta wolały być porywane w towarzystwie przyjaciółek, by złagodzić ból rozłąki z rodzinami. Dokonywali tego członkowie sąsiadujących plemion, przeważnie ograniczając się do kobiet niezamężnych, dzięki czemu rzadko dochodziło do wzajemnych waśni i rozlewu krwi. Ponieważ pośród tych prymitywnych ludów nie znano niewolnictwa i haremów, nie dochodziło do poważniejszego hańbienia czci i wykorzystywania dziewcząt.

Conan dowiedział się, że z Songą sprawa wyglądała dość nietypowo: brak było wystarczająco dojrzałych chłopców w odpowiednim dla niej wieku, poza tym dziewczyna czuła się silnie związana z Aklakiem i ich starzejącą się matką, Nuną. Tubuhan, jej ojciec i szanowany członek plemienia, zginął przed laty, gdy stado bizonów wpadło w panikę. Odtąd jego żona musiała sama opiekować się potomstwem.

W chwili spotkania z Conanem Songa na pewno spodziewała się, że z lasu wypadnie obcy mężczyzna, który uniesie ją w swoich objęciach. W każdym razie nie

oczekiwała pojawienia się cudzoziemca, na poły martwego od poniesionych ran. Songa i towarzyszące jej kobiety zatrzymały się z dala od siedzib znanych im plemion, jednak szybko sprowadziły mężczyzn, którzy przenieśli zwaliste ciało nieprzytomnego przybysza do chaty. Cymmerianin domyślił się wreszcie, że rozbawienie na twarzach zagląających do chaty kobiet było po części wywołane myślą, iż to właśnie on, wspaniały łowca z jakiegoś dalekiego plemienia, został porwany przez Songę. Sprawy komplikował jeszcze jeden szczegół owego spotkania: Songa była całkowicie naga. Cymmerianin rozumiał, czym jest obrzędowa nagość. Miałaby ona drugorzędne znaczenie, gdyby Songa została porwana we właściwy sposób przez członka spokrewnionego plemienia. Wydawało się, że jest to osobliwa odmiana tabu Atupanów, dotyczącego kazirodztwa - na dodatek niedorzeczna. Myśl, iż parę miedzianych błyskotek, kilka rzemieni i przepaska na biodrach może uczynić widok dojrzałego, bujnego ciała Songi mniej kuszącym lub przyzwoitszym, była zabawnie naiwna. Conan śmiałyby się z takiego rozumowania do rozpuku, gdyby nie świeżo zabliźnione rany na boku. Wszelako skarga Songi - a raczej przejrzysta, by tak rzec, wymówka - stwarzała między nimi barierę. Nie tylko dawała dziewczynie powód do odrzucania jego awansów, groziła również pojedyńkiem z wiedzionym zwykłą zazdrością i przesadną braterską dumą Aklakiem.

W miarę upływu dni młody członek plemienia Atupanów zachowywał się coraz bardziej prowokacyjnie. Gdy Conan czekał wieczorem na pojawienie się Songi z jedzeniem, nieraz dobiegały go szorstkie pokrzykiwania Aklaka, besztającego siostrę za nadmiernie dogadzanie przybyszowi. Brat dziewczyny czasami rzucał też zza drzwi gniewne komentarze, gdy wydawało mu się, że siostra przebywa zbyt długo w towarzystwie Cymmerianina.

Zdarzyło się wreszcie, że podczas nauki języka, o zmierzchu Aklak wetknął ospowatą twarz do środka szałas i powiedział:

- Naucz go dobrze mowy, siostrzyczko. Będzie mógł czołgać się przede mną i błagać o litość, zanim rozbiję go na miazgę i wrzucę do rzeki na pożarcie rybom!

Conan zdołał to zrozumieć. Nie potrzeba mu było niczego więcej. Nie zważając na nie wygojone rany, zerwał się z posłania i skoczył do drzwi chaty. Songa zastawiła mu jednak drogę i surowo nakazała, by wracał na matę. Zachowywała się tak stanowczo, że Conan musiałby użyć siły, a przecież chciał sprawić lanie Aklakowi, nie jej. Obrócił się więc na pięcie i nie starał nawet dotrzeć do wyjścia. Po prostu wybił ciałem dziurę w ścianie chaty. Gięte tyczki były solidne, ale kilka ustąpiło pod jego naporem.

Znalazł się na wprost czekającego na efekt swoich słów Aklaka. Krępy, ogorzały Atupan miał na sobie jedynie sandały ze skóry bizona, paciorki i zdobione szlachetnymi kamieniami metalowe błyskotki, które służyły zapewne jako oznaki przynależności do plemienia. Conan nie zwykł rzucać formalnego wyzwania, i tak wolał walczyć z Aklakiem bez broni, by zmniejszyć prawdopodobieństwo, że go zabije. Rzucił się więc bez wahania w stronę brata Songi, zaciskając pięść.

Wpadł na Aklaka, który się jednak zwinnie przed ciosem uchylił, ale nie poprzestał na tym. Wywijając rękami, uderzył obutą w twarde sandały stopą Conana w tors, na szczęście nie tam, gdzie były rany od niedźwiedzia. I tak ból sprawił, że przed oczami Cymmerianina na chwilę rozpostarła się ognista zasłona. Znieruchomiał oszołomiony, ale usłyszał okrzyk Aklaka, gdy ten ponowił atak.

Atupan używał obutych nóg z równą zręcznością, z jaką jego siostra wykorzystywała bose stopy. Mimo to nie docenił przeciwnika. Kolejne kopnięcie wymierzył wprost w krocze Cymmerianina. Było to zagranie niedopuszczalne w walce między mężczyznami. Conan odsunął się i z łatwością chwycił Aklaka za kostkę, szykując się do szarpnięcia i powalenia przeciwnika na ziemię.

Przebiegły Atupan zdążył jednak odbić się od ziemi drugą stopą i wyrzucić ją przed siebie. Z dużą siłą wbił twarde obcas w brzuch Conana i jakby nie było dość, niemal cudem zdołał powtórzyć kopnięcie.

Odskoczył tanecznie pośród wiwatów gromadzących się wokoło członków plemienia. Conan stał przez chwilę ogłuszony, walcząc z mdłościami, brakiem tchu i bólem drażącym jego trzewia, jakby miał w środku głodnego smoka z kłami i pazurami, który chce się wydostać na zewnątrz. Aklak jeszcze raz ruszył w jego stronę. Cymmerianin uchylił się przed kolejnym kopnięciem, jednak za chwilę otrzymał cios kolanem w pachwinę i kantem twardej dłoni w szyję. W rewanżu wbił łokieć w pierś, co z impetem odrzuciło przeciwnika.

Atupan odczekał tym razem nieco dłużej przed ponowieniem ataku. Conan był gotów na jego przyjęcie. Gdy Aklak wyrzucił przed siebie umięśnioną nogę,

celując znów w osłabiony bok Cymmerianina, ten uchylił się i kopnął z taką siłą, iż gdyby stopa dosięgła krocza przeciwnika, zakończyłoby to walkę i zapewne historię jego rodu. Dzięki zdumiewającej zręczności Aklak uniknął ciosu Conana, ale stracił równowagę i zatoczył się w stronę ogniska.

Wymachując pięściami, Conan ruszył na przeciwnika, gotów pogruchotać mu kości. Ciężką dłonią zdołał trafić w skroń Aklaka. Atupan zatoczył się pod ciosem, Cymmerianin chwycił go ramieniem za szyję i przyciągnął do siebie, zamierzając nauczyć młodzika dobrych manier w walce. Aklak nie stracił jednak jeszcze ochoty do bójki rąbnął Conana podstępnie głową w podbródek. Cios sprawił, że barbarzyńca przygryzł sobie język. Gwiazdy stanęły mu przed oczami z bólu. Na chwilę rozluźnił uchwyt, z którego przeciwnikomal się nie uwolnił.

Ból stał się silnym bodźcem do walki. Cymmerianin poczuł kwaśny smak krwi w ustach i zawył z wściekłości. Dźwignął przeciwnika za szyję i udo, po czym cisnął Atupana z całej siły przed siebie. Miał on tyle szczęścia, że nie wpadł w ognisko, lecz poszybował i rąbnął z impetem w tyczki ustawione po drugiej stronie, służące do wędzenia mięsa i suszenia skór. Mimo wrzawy podekscytowanych ziomków, których kilku Atupan zwałił z nóg przy upadku, Conan usłyszał wyraźnie szczere, pełne podziwu westchnienie Songi.

Klnąc słowami, jakich Conan nie poznał jeszcze podczas lekcji języka, Aklak przez chwilę grzebał między bezładnie rozrzuconymi tyczkami, połciami mięsa, skórami i garnkami. Wydobył stamtąd nie byle jaką broń-topór o długim, solidnym trzonku i kamiennym obuchu, wystarczająco ciężki, by powalić nim wołu czy niedźwiedzia. Wywinał nim nad głową i z głośnym okrzykiem ruszył w stronę Conana.

Cymmerianin rozejrzał się po obozowisku, w nadciągającym zmierzchu nie znalazł jednak nic nadającego się do obrony, z wyjątkiem na poły zwęglonych polan - równie bezużytecznych wobec ciężkiego oręża Aklaka jak wierzbowe witki. Żaden z Atupanów najwyraźniej nie chciał go wspomóc. Cymmerianin nie zamierzał jednak się wycofywać. Z gołymi rękami czekał na Aklaka. Zdawał sobie sprawę, że musi polegać wyłącznie na swoim refleksie, by nie paść pod ciosem ciężkiej broni przeciwnika. Ruszył naprzód, lecz poczuł na ramieniu kobiecą rękę, która go powstrzymywała. Przemknęło mu przez głowę, że Songa postanowiła wreszcie sprzeniewierzyć się ich przyjaźni i wspomóc brata.

Tymczasem czający się do ataku Aklak zatrzymał się kilka kroków przed Cymmerianinem, skończył wywijać toporem nad głową i cisnął nim w największe polano w ognisku. Kamienne ostrze uwięzło w drewnie, w górę buchnęła kaskada czerwonych iskier. Aklak niespodziewanie wyszczerzył zęby w uśmiechu, czemu towarzyszyły wiwaty jego ziomków. Atupanie zaczęli obejmować Cymmerianina i z zapałem poklepywać go po plecach. Mimo bólu Conan był zmuszony traktować to jako dowody serdeczności i podziwu.

- Aklak spalił topór! - rozlegały się wołania. - Rzeczny człowiek otrzymał przebaczenie! Teraz może odejść wolno!

Radość mieszkańców wioski była wielka. Zdawało się, że wykorzystywali tę okazję do zaspokojenia od dawna tłumionej potrzeby świętowania. W ciągu paru chwil naznosili najprzeróżniejszego jadła, ustawili garniec wody na wonny wywar z kory, przyciągnęli maty z szałasów i rozłożyli je wokół ogniska. Zajmowały się tym przeważnie kobiety. Mężczyźni i dzieci tańczyli wokół ognia, pokrzykiwali, gestami odtwarzali poszczególne sceny walki, czemu towarzyszyły powszechne śmiechy.

Conan stał pośród uradowanych Atupanów, starając się ukryć wywołane starciem wyczerpanie i ból. Po pewnym czasie siły częściowo mu wróciły, tak zaraźliwa była radość Atupanów. Teraz miał pewność, że nie tuczono go na suty posiłek ani ofiarę dla któregoś z plemiennych bóstw.

Przyprawiono Songę. Stała skromnie, ze wstydliwie spuszczoną głową. Towarzystwa dotrzymywali jej Aklak i pomarszczona stara kobieta. Brat zachowywał się jak dumny ze swej córki rodzic. Songa przyjrzała się uważnie strużkom krwi, sączącym się z otwartych na nowo ran Cymmerianina, i rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie. Odwróciła się do Aklaka i wygłosiła długą tyradę, uderzając go zaciśniętą pięścią w miejsca, gdzie jego ciosy dosięgły Conana. Brat chwycił ją za nadgarstek i po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Cymmerianina:

- Songa to harda, dumna kobieta - stwierdził poważnie. - Brak jej należytego szacunku dla łowców. Sprowokowała cię i wykorzystwała twoją słabość. - Aklak zrobił przesadnie groźną minę. - Powinieneś złoić jej skórę, by nauczyć szacunku.

Po tych słowach nastąpiło zbiorowe westchnienie członków plemienia i nagle zapadła cisza. Songa rzuciła Cymmerianinowi spojrzenie, w którym migotały wesołe iskierki. Conan przez chwilę wstrzymał się z odpowiedzią - zdawał sobie sprawę, że jego słowa będą miały wielkie znaczenie, nie wiedział jednak, czego się po nim spodziewano.

- Songa opiekowała się mną i uczyła mnie, nic ponadto - oświadczył wreszcie. - Gdyby była mniej dumna, gdyby nie obstawała przy swoim, nie byłoby mnie tutaj. Nie mam jej za co ganić.

- Bzdura! To dzika kocica! - upierał się Aklak. - Wzięła cię pod pantofel jeszcze tego dnia, gdy cię znalazła, wezwała nas, byśmy przenieśli cię do wioski. Wszystkim o tym opowiadała!

- Mimo to nie mam zamiaru jej bić. Zawdzięczam jej przecież życie. - Conan poważnie potrząsnął głową.

- Myślę, że rzeczni ludzie żyją w strachu przed swoimi kobietami - rzekł szyderczo Aklak, rozglądając się po chichoczących Atupanach. - No pewnie! - niespodziewanie do dyskusji włączyła się Songa i obrzuciła swoich ziomków zabawnie groźnym spojrzeniem. - Bracia Targoki pozwalają, żeby kobiety używały sobie na nich! Mężczyźni z jego plemienia nigdy nie mają dość śmiałości, by powiedzieć, co myślą. Patrzcie, udowodnię to wam! - Wyszarpnęła się Aklakowi, odwróciła do Conana i uderzyła go obydwoma pięściami w pierś. - Widzicie? Boi się mnie!

Podniosła dłoń i wbiła ostre paznokcie w jego policzek. Cymmerianin jednak szybkim jak błyskawica ruchem uderzył ją w skroń. Było to zaledwie dotknięcie, ale powstrzymało atak Songi. Dziewczyna chwyciła Conana, by zachować równowagę, po czym w geście pokory przytuliła głowę do jego piersi.

- Uderzył ją! - natychmiast zaszemrały Atupanki.

- Teraz jest jego żoną! - potwierdzili mężczyźni.

- On ją kocha! Na wszystkie duchy przodków, dowieść tego! - zawołały z większym uczuciem kobiety.

Aklak rozpromienił się, objął Conana i przytuloną do niego Songę.

- Witaj, bracie! - wykrzyknął.

Jego słowa stanowiły sygnał do rozpoczęcia świętowania. Tancerze i tancerki rozstawili się wachlarzem wokół ogniska, zaczęli pisać zwrócenie plecami do siebie ze splecionymi rękami. Wśród uczujących krążyły gorące mięsiva i inne dania w koszach i dyniach. Conan i Songa poparzyli sobie palce, musieli bowiem kosztować wszystkiego jako pierwsi. Potem nastąpiły śpiewy. Cymmerianin z trudem pojął, że w pieśniach chodziło o to, w jaki sposób duchy zwierząt stworzyły niebo i ziemię. Opowieści tego rodzaju nie były mu zupełnie obce, chociaż w Cymmerii cześć dla posępnego Cromy zepchnęła dawniejsze mity do rangi bajek dla dzieci.

Jadło i powszechna życzliwość wprawiły go w błogi nastrój, herbata z kory odurzyła, chociaż nie mogła równać się z silniejszymi trunkami. Songa tuliła się, ani razu już nie złoścąc się na niego.

Mimo to nocą, gdy ognisko dogasało, a pary Atupanów zabrały maty do swoich szałasów, Cymmerianin okazał wobec dziewczyny równą krzepę, jak wcześniej na placu walki wobec jej brata. Był dzielny i wymagający, nie zważał na swoje rany i z o wiele większym zapamiętaniem dążył do doprowadzenia zmagania do końca.

## IX

### Góry ognia, rzeki krwi

Tłum wlewał się na ulice stolicy jak wezbrana powodzią rzeka. Motłoch nie przypominał jednak wody - raczej wzburzony potok magmy, strumień świętego ognia, na rozkaz bogini Ningi oczyszczający i pochłaniający występne południowe miasto Falander. Ludzki potop, jak każdy inny kataklizm, pozostawiał na swej drodze ruinę: zgliszcza, nienasycone płomienie i zwęglone, powykręcane zwłoki niepokornych. Tłuszcza krążyła w labiryncie pociemniałych miejskich zabudowań pod burym, zasnutym chmurami niebem. Jej szlak znaczyły słupy dymu i bijącego pod niebiosów ognia. Wezbrane łudzkie strugi przelewały się po stertach gruzu i zmiażdżonych trupach, pozostawiając za sobą makabryczne rynsztoki, wypełniające się spływającą po bruku krwią.

Biorący początek w Urbanderze potop świętego buntu szerzył się szybciej niż ogień. Ogarnął rodzimą dolinę Tamsin i poruszył niezadowolonych ludzi z

wiejskich prowincji i małych miasteczek. Niepowstrzymane ognie rebelii dotarły wreszcie ze wszystkich stron do Sargossy - wielkiej stolicy Brytuńczyków, siedziby głównej świątyni Amaliasai majestatycznego cesarskiego pałacu. Podsycany wichrami niezgody i herezji przeciwko starym bogom, żarłoczny płomień buntu zagrażał teraz osławionemu Tronowi Gryfa i zasiadającemu na nim monarsze - Tyfasowi Przebiegłemu.

Rozjuszony motłoch wzbierał na placach i alejach, niosąc zagładę wszystkim świątyniom Amaliasa i każdemu, kto śmiał wątpić w nową wiarę. Wyznawcy Ningi rabowali i mordowali z dzikim zapamiętaniem, odpłacając za dziesięciolecia tyranii i krzywd. Mimo to tłum cechował się taką dyscypliną i oddaniem, że szczupła młoda kobieta z wystrojoną lalką jechała całkiem spokojna w rydwanie pośród absolutnego chaosu. Dla pewności strzegł jej jednak podwójny rząd dobrze wyszkolonej konnej straży, wyznaczonej przez przywódców buntu.

Nikt nie śmiał przekroczyć linii oddzielającej zbrojną asystę kobiety od reszty tłumu, pilnowała tego sama ciżba. Oto bowiem wiodła ich sama Tamsin, arcykapłanka i wyrocznia, odziana w luźną szatę, wyszywaną w zielone kwiaty, podkreślające kolor jej oczu. W rękach trzymała troskliwie dogladaną nową boginię Ningę w ziemskim wcieleniu lalki. Wiara nakazywała respekt dla boskiej obecności, podobnie jak przenikliwy, nie dający się zagłuszyć lęk przed mistycznymi mocami jadącej w rydwanie pary. Krażyły bowiem wieści, że daleko na północy kraju, w ogłoszonym jako święte mieście Urbander, głęboko w krypcie pod nowo wybudowaną, wspaniałą świątynią ku czci Ningi, znajdował się żywy dowód potęgi bogini, wymowny dowód jej mocy - odcięta, posiniała, pozbawiona krwi głowa, rozwierająca i zamykająca usta w nie kończącej się udręce, niemo potwierdzająca bezwzględna, straszliwą siłę bogini i jej arcykapłanki... i skazana na istnienie po kres wieków.

Ludzka rzesza, z rydwanem w środku jak z unoszoną prądem barką, dotarła karnie na plac przed największą w Sargossie świątynią Amaliasa. Marmurowe kolumny lawendowej barwy pięły się tu pod gigantyczną kopułą najpotężniejszego, lecz już ostatniego bastionu wyznania obowiązującego w cesarstwie do niedawna. Tu wyniesiony właśnie na stanowisko arcykapłana Epiminofas poprzysiągł, że powstrzyma wzbierającą falę zaprzaństwa, w razie konieczności nawet przez osobiste stawienie czoła kapłance-czarodziejce.

Tu również król Tyfas z wykalkulowaną oszczędnością rozlokował swoje doborowe wojska, mające bronić stolicy.

- Jeżeli tłum się zbuntuje, to trudno! - stwierdził na dzień przed przybyciem Tamsin do swoich generałów. - Niech prostacy wyżyją się, wywołując rozruchy w swoim własnym sąsiedztwie. Niech burzą swe rudery, wznecają pożary, niech się ze sobą biją i gwałcą nawzajem. Gdy upiją się i zaspokoją żądze łupów, nie zdołają utrzymać jedności. Cesarskie pułki utworzą kordony na granicach poszczególnych dzielnic, dzięki czemu będzie łatwo zapanować nad rozruchami. Jeżeli zaś rebelianci wedrą się na główny plac, będzie można wybić ich co do jednego, gdyż zbiegają się tam wszystkie ulice!

Zbrojne w halabardy siły królewskie po pojawieniu się tłumowi nie wymaszerowały jednak natychmiast z pałacowych ogrodów, szlacheckich cmentarzy i ogrodzonych niskimi murami posiadłości. Cze - kały tam w pogotowiu. Król Tyfas urządził stanowisko dowodzenia w najwyższej pałacowej wieży. Towarzyszyło mu dwóch oficerów łącznikowych, wyposażonych w urządzenia do sygnalizacji. Na razie z nich nie korzystali; król wstrzymywał się z charakterystycznym dla siebie skąpstwem przed wysłaniem armii do dzieła, z którym mógł sobie poradzić jeden człowiek.

By dać odpór buntownikom, na wykładane złoconymi płytami wielkie świątynne schody wstąpił siwobrody Epiminofas. Arcykapłan wielce się zmienił w ciągu lat minionych od jego pierwszego spotkania z Tamsin. Wyszczupłał, jego przystrzyżona kwadratowo broda stała się śnieżnobiała, a oblicze wychudło i pokryło się bruzdami, przystojącymi godności hierarchy. Kaczkowaty, świadczący o zadowoleniu z samego siebie chód zastąpiło sprężyste, proste stąpanie. Zamiast strojnych, lamowanych futrem szat, noszonych za czasów religijnej posługi na prowincji, Epiminofas nosił obecnie prosty szary strój, pozbawiony ozdób.

Arcykapłan nie zstąpił do tłumy, zatrzymał się na podłożu. Za nim ustawił się rząd świątynnych adeptów z przypasowanymi mieczami. Wydawało się to wystarczające, by ubezpieczyć odwrót, gdyby tłum zaczął szturmować schody świątyni. Dla zaznaczenia wielkości Amaliasa i ukorzenia pielgrzymów każdy stopień zbudowany był tak, że sięgał po pas dorosłego człowieka, dlatego do

wejścia do przybytku wiary trzeba było wspinać się z pomocą rąk. Okolony złotym gzymsem pomost Epiminofasa był dziesięciokroć wyższy i wysunięty tak, że górował nad placem. Dzięki temu arcykapłan mógł przyjrzeć się tłumowi, przynajmniej chwilowo bezpieczny przed jego gniewem.

Widok na placu był przytłaczający: morze głów, las wzniesionych pięści naprędcie uzbrojonych w co się dało oraz śmiało wzniesione chorągwie. Przez tłum podawano ku przodowi kilka wysokich, malowanych transparentów, rozpiętych na podtrzymywanych przez wiele osób tyczkach. Gdy poruszone wiatrem płótna dotarły bliżej, obrońcy świątyni ujrzeli, co przedstawiają. Odmalowano na nich buchający ogniem wulkan niszczący Falander, masakry wiernych Amaliasowi kapłanów oraz inne złowieszcze triumfy buntowników. Ponure malowidła pasowały wszelako do tła wokół placu: płonących budowli, splądrowanych domostw i bijących pod zasnuwane chmurami niebo kłębow dymu.

Daleko na tyłach tłumu pojawił się rydwan wiozący Tamsin i jej lalkę-boginię. Nie czekając, aż pojazd zatrzyma się czy chociaż zbliży do pomostu, Epiminofas zaczął przemawiać: - Dzieci Amaliasa! - Głos arcykapłana przebił się ponad gniewną wrzawą tłumu, odbijając echem od fasad odległych budowli. - Zbłąkani synowie i córki, witam was przed domem waszego ojca i jego sług.

Zaskoczony życzliwym tonem kapłana motłoch niemal zupełnie zaprzestał skandowania i śpiewów, by lepiej słyszeć. Zapanowała cisza, przerywana jedynie śmiechami, sceptycznymi okrzykami i szuraniem stóp. Epiminofas odniósł w ten sposób największe zwycięstwo: sprawił, że go słuchano.

- Wiem, że niektórzy z was zwątpili w świętą moc naszego Wielkiego Ojca. Zachowują się jak dzieci szyszczące z rodziców i okazujące nieposłuszeństwo. Niektórzy, gdyby mogli, starliby nawet na proch tę siedzibę bóstwa. Wielu innych dopuściło do serca zwątpienie i herezję, zamiast dochować prawości i posłuszeństwa świętym naukom. - Urwał, szerokim gestem wyciągnął ramię nad tłum, by dać do zrozumienia, że ma na myśli wszystkich. Nie zwracając uwagi na gwizdy i wrzaski, stwierdził: - Dlatego dobrze się stało, że tu przybyliście.

- Ninga jest jedyną boginią! - krzyknął jakiś żarliwy wyznawca w pierwszych szeregach tłumu.

Epiminofas nie podawał tego twierdzenia w wątpliwość, dzięki czemu zapobiegł wybuchowi gniewu.

- Powiedziałem, że jestem zadowolony z waszej obecności, dzięki niej bowiem Wielki Ojciec Amalias ma okazję tchnąć wiarę w serca wszystkich wątpiących i przekonać heretyków o swojej mocy-kontynuował arcykapłan. - Dla zbłąkanych dusz świątynia to przystań bezpieczeństwa i uzdrowienia. Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie... gdyż do niedawna byłem jednym z was! Również moim grzechem była herezja, moją winą zwątpienie! - Te słowa uciszyły szyderców i podżegaczy, któż z wrogiego tłumu chciałby przerywać arcykapłanowi w oskarżaniu samego siebie? Epiminofas wykorzystał ciszę i przemawiał dalej: - Wiedźcie, bracia Brytuńczycy, że moja wina i mój grzech są o wiele cięższe niż wasze. Chociaż w duszy odrzucałem naszego boga, chyliłem fałszywie głowę przez jego ołtarzami i przywdziewałem poświęcone szaty jego sługi. Chociaż brakowało mi wiary, mimo to nie śmiałem otwarcie okazać swojego zwątpienia. Kryłem się pod kapłańskim strojem i udawałem posłuszeństwo bogu, by zdobyć jak największe bogactwa, wygody i absolutną władzę.

- Łotr! - wrzasnął ktoś z tłumu. - Wciąż to robisz! Nie udawaj, że jest inaczej! - Wszyscy kapłani okradają lud! - poparł te słowa inny głos. - Należy ich spalić co do jednego!

- Moje kazania były nieszczerze! Przyznaję się, moje postępowanie było niegodne! - zawołał Epiminofas. Żarliwość w jego słowach ponownie zapobiegła wybuchowi wściekłości tłumu. - Moja nieuczciwość mogła przyczynić się do zasiania herezji w waszych umysłach! Za to wszystko serdecznie przepraszam!

- Ninga jest naszą boginią! - zaczęła skandować grupa fanatyków.

- Jak doszło do mojej przemiany? Raczcie mnie wysłuchać. - Chociaż wrzawa nie ucichała, Epiminofas mówił, by nie zmarnować uzyskanego samooskarżeniem efektu. - Ujrzawszy siłę i głębię wiary wrogów naszego pana, Amaliasa, musiałem zmierzyć się z własnym jej brakiem i zwątpić w samo zwątpienie! Zadawałem sobie wówczas to samo pytanie, które chce teraz wam postawić: czy ta świątynia, największa we wszystkich hybrydańskich królestwach, została wybudowana dla czczego oszustwa? - Teatralnym gestem arcykapłan objął ogrom górującej nad nim budowli. - Czy nieprzebrane rzesze wyznawców naszego Wielkiego Ojca kiedyś, zostały zwiedzone przez chciwych, kłamliwych kapłanów?

- Tak! Tak! - rozległy się wołania, lecz nie zważając na to, Epiminofas zaprzeczył:

- Nie! I dam wam tego dowód! Przedtem jednak chcę was spytać, czy wszystkie nauki naszej wiary: przykazania, proroctwa, boskie objawienia, dotyczące początków naszego wielkiego narodu, oraz imiona i dzieje pomniejszych bogów, czy wszystko to tylko naiwne bajeczki? Czy doniosłe prawdy, jakie wpajamy dzieciom, to kłamstwa? - Nie czekając na odpowiedź, arcykapłan mówił: - Nie! To niemożliwe! Jeżeli nad światem czuwa jakiegokolwiek bóstwo, nie mogło wzgardzić i uczynić obiektem szyderstw naszego wielkiego cesarstwa! Jeżeli bogowie istnieją w ogóle, istnieje Amalias i jest największym spośród nich! - Kapłan utrzymywał uwagę gapiów patosem słów i wymachiwaniem ramion. - Brytuńczycy, zstąpiłem do zakazanych katakumb! Pograżyłem się w lekturze starożytnego pisma na kamiennych tabliczkach i pergaminów tak wiekowych, że rozpadały się od mojego spojrzenia! Sięgnąłem do najgłębszych korzeni naszej odwiecznej wiary i dzięki temu powiadam wam, że Amalias czuwa nad nami!

- Kłamstwa! Same kłamstwa! - szydzili fanatyczni wyznawcy Ningi. - Dość tych bredni!

- To nasza bogini przywróciła ci wiarę, Epiminofasie, nie twój martwy bóg! - podniósł się krzyk w tłumie. - Istotnie, mam dług wdzięczności wobec czarownicy Tamsin i jej zaklętej lalki - odparł arcykapłan, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do swoich najbardziej zaciętych przeciwników. - Dzięki nim odzyskałem wiarę w potęgę magii. Wszyscy powinniśmy dziękować jej za przebudzenie...

- Zapamiętajcie go, wierni! - zawołał ktoś donośnie pośród tłuszczy. - Oto kapłan, który zapisał imię Ningi na świętym zwoju w Dolmen-Abbas! Zapamiętajcie jego tchórzostwo!

- Tak, zapamiętajcie to! - kontynuował Epiminofas mimo śmiechu, który zabrzmiał wśród ciżby. Gestem objął zebranych na placu ludzi i stwierdził: - Pojąłem bowiem, że ta niedola, ten zamęt to tylko element planu naszego Wielkiego Ojca. Amalias chce odnowić i oczyścić naszą wiarę, okazując swą rzeczywistość, potężną moc. Gdy się objawi, Ninga, a za nią wszyscy inni bogowie ukorzą się przed jego siłą. Wiedźcie, rodacy, że nie wolno wam porzucać Amaliasa i okazywać uwielbienia tej, która chciałaby zająć jego miejsce. - Kapłan wskazał palcem rydwan Tamsin, który wreszcie dotarł pod stopnie świątyni. - Pytam was, czy wielki bóg jest jak miotła, którą wrzuca się do pieca i zastępuje nową, gdy się zużyje? Nie, Brytuńczycy, zastanówcie się poważnie, jaką chwałę możecie stracić i jakie ohydne brzemie hańby nałożyć na siebie, jeżeli zegniecie karku przed niezdarną, wymalowaną lalką-uzurpatorką, która pojawiła się z najbardziej zacofanego, najciemniejszego zakątka cesarstwa jak szkaradna ropucha, wyskakująca ze sterty nawozu!

Ostatnie zdanie Epiminofasa wywołało w tłumie długo hamowany wybuch furii. W kapłana rzucano rozmaitymi przedmiotami, chociaż większość nie dosięgnęła nawet podestu. Przez ludzkie morze przetaczały się przypominające łoskot fal śpiewy. Ciżba z impetem ruszyła naprzód, tratując pod nogami niejednego ze swoich, podczas gdy inni, chcąc uniknąć zmiżdżenia, wspięli się na wysokie stopnie świątynnych schodów i natychmiast ruszyli na uzbrojony rząd uczniów Epiminofasa.

- Zbeczczył imię bogini! Zabić bluźniercę! - wołali fanatycy zebrani wokół rydwanu Tamsin.

Epiminofas nie zwracał jednak na nich uwagi. Klęknął i wyciągając ku niebu ramiona, rozpoczął modły do Amaliasa:

- O panie nad panami! Surowy a sprawiedliwy, przedwieczny boże! - wołał, wznosząc twarz ku nisko płynącym chmurom. - Twój pokorny sługa Epiminofas przyzywa cię! Błagam, jeżeli mnie słyszysz, wielki władco rzek, daj znak swym posłusznym wyznawcom. - Zabijcie go! Uciszczone szatański pomiot! Znosi modły do martwego, zdetronizowanego boga, którego wyznawcy okryli się hańbą! - rozlegało się powtarzane przez coraz to kogoś nowego w tłumie wołanie.

W tym momencie, jakby w odpowiedzi na modły arcykapłana, rozległ się stłumiony grom. Z oddali przetoczył się łoskot jak odgłos uchylanych gdzieś w niebiosach drzwi. W chwilę później na tłum począł padać deszcz.

Wielkie, ciepłe krople wsiąkały głęboko w pokłady kurzu na dachach i w zaułkach. W powietrzu wisiała przygnębiająca ciężka woń, zwiastująca zbliżanie się ulewy. Zmieszała się z bijącym od tłumu zapachem potu. Nastąpiła długa chwila nieznośnego oczekiwania.

- Twoje modły na nic się nie zdały, łotrze w kapłańskich szatach! - krzyczeli najgorliwsi wyznawcy nowej bogini. - To Ninga sprowadziła deszcz! Szydź z ciebie i twojego starego, słabego boga!

- Uciszcie się i zanoście dzięki! - zawołał mimo to triumfalnie Epiminofas. - Tysiączne uniżone pokłony za zwrócone na nas oczy! Amalias Pluvias, najwyższy bóg w roli sprowadzającego deszcz opiekuna pól, odpowiedział na nasze wołania! Zanoście niebiosom dzięki za ten wspaniały dzień! - oświadczył arcykapłan tłumowi. - Wzywam teraz Amaliasa Ferohera, Amaliasa Gromowładnego! Surowy panie, twoi wierni wyznawcy błagają, byś się objawił! Daj znak piorunami, że nas słyszysz!

- Zaczęło padać zbyt późno, by zaradzić ubiegłorocznej suszy na południu - rozległ się cyniczny głos, lecz słowa sceptyka zagłuszyły nowe gromy, głośniejsze i wyraźniejsze. Na horyzoncie przed niespokojnym tłumem ukazała się pajęczyna błyskawic. Deszcz stawał się coraz bardziej gęsty i obfity.

- Ach! Błagam, najwyższy panie, przekonaj wątpiących i ukarż niedowiarków!

Dowodzenie arcykapłana, że ulewa stanowi dowód boskiej uwagi, nie powstrzymało tłumu. Wręcz przeciwnie, podsyciło tylko jego wściekłość. Buntownicy na stopniach świątyni dopadli do uzbrojonych w miecze adeptów. Schody zrosiła oprócz deszczu krew, w powietrzu zawisł gniew tłumu rozbudzony zapachem krwi.

- Oszust! Zakłamany łotr! Twój wąż Amalias trudzi się drapaniem nieba piorunami, a Ninga sprawia, że całe miasta giną w płomieniach! - wołali fanatycy.

Buntownicy rozochocili się na dobre, gdy nagle zwinięto z przodu tłumu szerokie transparenty. Wówczas objawiły się równe rzędy zbrojnej jazdy. Były to oddziały wyszkolonej i wyekwipowanej przez Nemedianczyków konnicy, która dawniej dowiodła swej skuteczności, brutalnie tłumiąc powstania w północnych prowincjach. Nad wojskiem powiewał nowy proporzec na lancy ze stalowym grotem: godło Isembarda, zbuntowanego, samozwańczego barona Urbanderu.

- Wiwat jazda! - rozległo się wołanie. - Na świątynię! Za Ningę, dopóki tchu w piersiach!

- Oho, umierający bóg zesłał deszcz, by rdza przeżarła broje naszych nemediańskich sprzymierzeńców!

Chociaż wśród tłumu dało się słyszeć i takie głosy, szybko ucichły, deszcz bowiem nagle ustał. Epiminofas zdążył jeszcze zawołać:

- Wielki Amaliasie, nadszedł czas!

Jeden z otaczających Isembarda żołnierzy wznosił krótką, złowrogą kuszę. Rozległo się trzaśnięcie zwalnianej cięciwy, bełt śmignął nad tłumem - i ugodził arcykapłana prosto w serce. Nie zdążywszy dokończyć modłów, Epiminofas osunął się na podest i skonał.

- Cieszcie się! Fałszywy prorok nie żyje! Ninga zwyciężyła!

Jak gdyby na potwierdzenie tych krzyków, posępny odgłos gromów z nieba ucichł.

Gdy znajdujący się w pałacowej wieży obserwatorzy zameldowali o śmierci arcykapłana, o pojawieniu się jazdy buntowników i szturmie na świątynię, król wydał szybko przekazany za pomocą sygnalizacji rozkaz. Po paru chwilach straż pałacowa i cesarska konnica ruszyła przez szerokie bramy i niskie ogrodzenia, by stawić czoło rebeliantom.

Trudno było przewidzieć, kto zwycięży. Cesarscy żołnierze byli dobrze odżywieni, wyśmienicie wyszkoleni i uzbrojeni, dosiadali dorodnych wierzchowców, cechowała ich karność i duże doświadczenie w bezwzględnych miejskich walkach. Jednak nawet doborowe oddziały obrońców starego ładu nie gwarantowały łatwego zwycięstwa. Naprzeciw siebie mieli bowiem zaprawionych weteranów kampanii na północy kraju w równie solidnych zbrojach oraz niezmierny, fanatyczny tłum, zdolny do ściągania jeźdźców z koni, by ich rozedrzyć na strzepy. Zapowiadała się zacięta walka, przenosząca się aż na ogrody i stajnie rezydencji arystokratów, dziedzińce, pałace, świątynie i wille najbogatszych kupców cesarstwa. Sargossa doznałaby wielkich zniszczeń - gdyby król Tyfas nie ogłosił rozejmu.

Monarcha bez namysłu wysłał szambelana Basifera, by zawrzeć warunkowy pokój z Tamsin i Isembardem. Propozycja króla sprawiła, że młoda czarodziejka z towarzyszącym jej konno baronem ruszyła w stronę pałacu. Obok Tamsin na pomoście rydwanu stał jej przyrodni brat Arl, obecnie kapłan Ningi. Czarodziejka, jej

towarzysz i Isembard jechali za falangą żołnierzy cesarskiej gwardii w asyście trzech zakutych w zbroje rycerzy.

Pozostawiony na świątynnym placu motłoch wrzał z mieszaniną uczuć triumfu, rozczarowania, podejrzliwości i obawy. Chmury rozstąpiły się, jedynie parę kropli deszczu spadło na tłum, a na horyzoncie z rzadka pojawiały się błyskawice. Co trzeźwiejsi sądzili, że letnia burza nie była dziełem Epiminofasa, lecz naturalnym zjawiskiem, które arcykapłan przez staranne wybranie chwili rozpoczęcia przemowy próbował wykorzystać do ocalenia świątyni. Większość buntowników, rozwścieczonych jak rój szerszeni, w duchu dziękowało Nindze, że arcykapłan zginął od strzału z kuszy, nie zaś od jej straszliwej magii i nie doszło do przepowiadanej apokaliptycznej walki między dwoma bóstwami. Bardziej zajadli wyznawcy odczuwali jednak niezadowolenie, iż zostali pozbawieni widowiska krwawej łaźni zdającej się tak blisko.

Większość fanatyków zadowalała się na razie rabowaniem i bezczeszczeniem świątyni Amaliasa. Zdzierano wspaniałe gobeliny, przewracano posągi, tropiono ostatnich kryjących się w środku adeptów i służące bogu dziewice. Wkrótce należało spodziewać się kaźni w imię nowej bogini, ćwiartowania i palenia na stosach ku uciesze gawiedzi. Mimo tymczasowego rozejmu nadal groziło starcie z królewskimi siłami. Konnica z Urbanderu czekała w gotowości. Wierzchowce gryzły wędzidła i przebierały nogami zaledwie parę kroków przed końmi pierwszej linii oddziałów wiernych władcy odzianych w żelazne zbroje.

Innym powodem do zmartwienia i obaw była groźba, że Tamsin i jej niewielka świta zostanie pojmana do niewoli lub zamordowana przez pachołków przebiegłego Tyfasa nawet mimo roztaczanej nad nią boskiej opieki Ningi. Co gorsza, kapłanka i jej towarzysze mogli zdradzić ludzi i nieopatrnie dać się namówić na ugodę z panującym tyranem. Czczyciele Ningi powtarzali jednak sobie, iż ich boska opiekunka nie dopuści do podobnej niesprawiedliwości.

Boginię, jej prorokinię i kapłana oraz rycerzy wprowadzono wreszcie do pałacu. Minęli labirynt obronnych wąskich dziedzińców, bram ze zwodzonymi kratami i przedsionki z masywnymi drzwiami. Dotarli wreszcie do sali tronowej, zarazem głównej komnaty audiencyjnej.

Król Tyfas zajął na to spotkanie miejsce na legendarnym Tronie Gryfa, symbolu brytuńskiej monarchii. Tron miał kształt gotowego do skoku mitycznego zwierzęcia. Zrobiono go z litej bryły czarnego kamienia. Stał w końcu długiej sali, zwieńczonej skomplikowanym układem łuków, pod wspaniałym ośmiokątnym oknem, gdzie w delikatnej metalowej siatce umieszczono tysiące szlachetnych kamieni, rzucających wielobarwne odblaski.

Przygarbiony monarcha siedział pod rzeźbą, stwora z wilczym łbem, ptasimi szponami i lwimi pazurami, zdobioną szmaragdami. Nad nim umieszczona była głowa z dziobem ze złota i ślepiami ze wspaniałych rubinów. Przepych przydawał godności, a równocześnie pomniejszał postać władcy. Z tyłu rozpościerały się skrzydła, których lotki wykonano z platyny i macy perłowej.

Sam Tyfas odziany był w prosty kaftan z lamowanej złotogłównie purpury. Złoty łańcuch podtrzymywał mu miecz. Na łysiej głowie władcy spoczywał kunsztownej roboty złoty diadem. Król robił mniej imponujące wrażenie niż jego tron. Mięśnie wojownika dawno zanikły pod tłuszczem, ogorzała niegdyś twarz z wiekiem nabrała odcienia wosku, a sylwetka bardzo się przygarbiła, co było skutkiem podpisywania niezliczonych dokumentów i wysiadywania na nie kończących się, rzadko kiedy naprawdę ważnych radach. Mimo pierwszych oznak starości we władcy były jeszcze resztki energii, co widać było po rzucanych z u-kosa przenikliwych spojrzeniach i nieustannym poprawianiu się na wysokim siedzeniu. W zwiotczalym ciele krył się wciąż bystry, przenikliwy umysł.

Przywódcy buntu zbliżyli się do tronu. W tym momencie rozległ się głos herolda w hełmie z pióropuszem:

- Wasza królewska mość, kanclerz koronny prosi o udzielenie mu twojej uwagi. Towarzyszą mu: dowódca buntowników Isembard, mieniący się baronem Urbanderu, skazana zaocznie czarodziejka Tamsin, czarownik Arl i trzech zaocznie skazanych zbrojnych.

- Podejdźcie.

Na znak króla Tamsin i Isembard w asyście kanclerza i pałacowej gwardii podeszli do tronu. Arl oraz trzej zbuntowani rycerze pozostali wśród grupki dworzan i oficerów, stanowiących świtę monarchy. Gdy kanclerz dotarł do skraju grubego dywanu, przyklęknął i skłonił się tak głęboko, jakby chciał czołem dotknąć swego kolana. Buntownicy nie poszli za jego przykładem.

- Powinniśmy udzielić nagany naszemu heroldowi - usmażyć go w oleju, zgodnie z obecną modą - przemówił Tyfas żartobliwie. - Zapomniał oznajmić, że wśród nas znalazła się bogini, a nie tylko buntownicy. Pozwolimy sobie zatem naprawić jego niedopatrzenie. Od - dajmy cześć Nindze, sprawczyni tak potężnego powstania, że zaprzęta nawet naszą cesarską uwagą.

Nie wiadomo było, czy Tyfas ironizuje, czy w określony sposób przystępuje do realizacji wyrafinowanego dyplomatycznego manewru, z jakich był powszechnie znany. Sądząc po przerażonym spojrzeniu i spoconym, pobladłym obliczu herold poważnie przyjął słowa monarchy. Skory do urazy Isembard sprawiał wrażenie niepewnego, czy nie uznać słów Tyfasa za obelgę, jednakże wyglądająca jak zawsze niewinnie Tamsin zdawała się przyjąć słowa władcy za dobrą monetę.

- Dziękuję, Tyfasiu - rzekła śmiało, poprawiając lalkę, by była zwrócona twarzą do tronu. - Jako pierwszy na tym dworze zrozumiałeś to, co już dawno pojęli twoi poddani.

Po tych słowach król zmrużył oczy i wychylił się do przodu, wspierając na łokciu.

- My, władcy, czując się bezpiecznie w grubych zamkowych murach, często spóźniamy się z reakcją na niepokoje i bunty, ogarniające wiejskie obejścia i miejskie rynsztoki. Trudno z góry przewidzieć, jakiej nabiorą siły i jakie będzie ich znaczenie.

- Mimo to, gdy po kraju niesie się wieść o cudach, gdy tworzy się o nich pieśni, gdy spełniają się pradawne prorocтва, a dawnych władców i bogów zrzuca się z ich tronów, monarsze nie przystoi tłumaczyć się niewiedzą - oświadczył Isembard. Najwyraźniej nie chciał być niemyym świadkiem wydarzeń i pragnął zmusić króla do rezygnacji z o-branej taktyki.

- Muszę nalegać, panie, byś raczył okazywać nieco więcej szacunku - szambelan o czarnych brwiach zdecydował się skarcić Isembarda, lecz król uciszył go gestem dłoni.

- Skoro głosiacie cudów i prorocत्व jest pospolity tłum, osobom naszej rangi przystoi zachować sceptycyzm. Wszakże wystarczająco często zwodziliśmy prostaczków, by wiedzieć, jak się to robi - odpowiedział Tyfas spokojnie, nie okazując ani lęku, ani gniewu na to, co powiedział Isembard. - Bądź pewny, niby-baronie, że nigdy nie zdołasz usunąć nas z tronu. Nie dyskutujemy o zachowaniu naszego panowania, lecz o sposobie jak najdogodniejszego umocnienia władzy... być może z korzyścią dla ciebie, Isembardzie, jeśli tylko potrafisz wykazać zdrowy rozsądek.

- Król uznał, że Ninga jest boginią, jednak wątpi w sprawiane przez nią cuda - odezwała się Tamsin. - Wiedz, Tyfasiu, że nasza święta pani niełaskawie spogląda na niedowiarków. - Czarodziejka rzuciła władcy ostrzegawcze spojrzenie i opuściła wzrok na trzymaną przez siebie lalkę.

- Daj spokój, czarodziejko - odparł dobrodusznie Tyfas. - Nie staraj się przekonać nas, że potępienie z zaświatów, straszliwe czary i rzucane na kogo się da klątwy stanowią tak ważną część twojej religii, jak głoszą naiwne opowieści! Gdybyśmy w to uwierzyli, nie rozmawialibyśmy z tobą tak łaskawie. Poza tym nie musiałabyś się tu nawet zjawiać. W czasie naszego panowania mieliśmy do czynienia z tak wieloma kapłanami i prorokami wszechpotężnego Amaliasa, że zyskaliście niezłe pojęcie, jak mami się wiernych. Z pewnością możemy dojść do porozumienia.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że przenajświętsza Ninga to leniwe, kapryśne bóstwo w rodzaju starego, słabego Amaliasa, rzucasz niewybaczalne oszczerstwo na naszą wiarę! - wtrącił się ponownie Isembard.

- Nie, oczywiście, że nie! - Król starał się uspokoić rozdrażnionego rycerza. Poprawił się na siedzeniu między łapami gryfa, nie spuszczał jednak wzroku z Tamsin. Widać było, że bardzo mu zależy, by jego słowa wywarły na czarodziejce pożądaną efekt. - Istotnie, młoda damo, sięgający od schodów świątyni po mury naszego pałacu tłum - Tyfas wyciągnął rękę w stronę wspaniałych drzwi sali tronowej - wystarcza, by przekonać nas, że Ninga nie jest ospałym, pospolitym bóstwem! To zresztą podoba się nam w niej najbardziej. Z drugiej wszak strony musisz przyznać, że twoja bogini zachowała się z godnym podziwu spokojem podczas niedawnej debaty z arcykapłanem Epiminofasem. Nie poraziła go swoją nadprzyrodzoną mocą, chociaż miała po temu okazję. Nie zamieniła cytadeli ani nawet świątyni w zgliszcza. Nie wywołała trzęsienia ziemi, by z naszego pogardzanego pałacu nie pozostał kamień na kamieniu. Zamiast tego zadowolili się tak drobnym cudem, jak to, że bełt wytrawnego nemediańskiego strzelca dosięgnął

celu. Musimy przyznać, że to dość osobliwa oszczędność środków. Dlatego właśnie w obliczu nieodpartych dowodów pojęliśmy, iż należy pogodzić się ze zmianą biegu spraw w naszym cesarstwie – stwierdził wspaniałomyślnie Tyfas. – Proponujemy przeto, byś przyjęła wsparcie w postaci całej potęgi naszego tronu. Raz na zawsze wyrzekniemy się dawnego boga Amaliasa i ogłosimy Ningę nową opiekunką naszego kraju. Złożymy jej publiczny hołd we własnej królewskiej osobie – oczywiście, zachowując przystającą monarsze godność – i wspomozemy cię w tępieniu opornych wobec nowej bogini z całą mocą cesarskiej władzy. Zebrani w sali tronowej ludzie starali się nie okazywać reakcji na zaskakujące słowa króla. Strażnicy zachowali kamienne twarze, dworzanie wyczekiwali w napięciu, co odpowie czarodziejka. Jednak paru oficerów ledwie zdołało ukryć oszołomienie, a herold i szambelan wytrzeszczyli ze zdumienia oczy. Isembard zdawał się wahać przez chwilę między wściekłością a skrywanym zadowoleniem. Jedynie Tamsin przyjęła propozycję władcy z całkowitą obojętnością. Jej piękna, młoda twarz nie zdradzała żadnych emocji, podobnie jak oblicze trzymanej na ręku lalki.

– Proponujesz, królu, by zamiast ustanowienia nowej władzy, zamiast zadośćuczynienia niezliczonym krzywdom i zamiast świętej pomsty na cesarskich ciemiężycielach, wyznawcy Ningi powinni zadowolić się wyniesieniem ich bogini na te same ołtarze, przed którymi modlono się wcześniej do odrażającego Amaliasa? By przetrwał stary porządek pod twoim znienawidzonym panowaniem? – zapytała.

Westchnieniom, wywołanym zarzutami Tamsin, towarzyszyło tylko nieznaczące poczerwienienie bladej twarzy monarchy.

– Używasz silnych słów, czarodziejko, lecz czego innego mogłem spodziewać się po osobie, która taką właśnie retoryką, przekręcaniem mitów i zmyślnymi magicznymi sztuczkami podburzyła tłum do groźnej rebelii? – Tyfas zmarszczył brwi i potrząsnął głową. – Udam, że nie zauważyłem obrazy majestatu i będę nadal próbował przemówić ci do rozsądku. Pamiętaj, że osoba w tak młodym wieku i o tak nikłym doświadczeniu nie może mieć pojęcia, co znaczy sprawowanie rządów w naszym olbrzymim państwie. Niesie to ze sobą wystarczająco wiele trudów, odpowiedzialności i komplikacji, iż nie poradziłby sobie z nimi pospolity władca, a każdy generał wpadłby w furję. – Tyfas, doświadczony dyplomata, zdołał przywołać z powrotem na usta pogodny uśmiech. – Pewnie marzysz o władzy, dziecko... Istotnie, udowodniłaś, że na nią zasłużyłaś. Zyskałaś większą władzę niż jakakolwiek kobieta w dziejach Brytunii. Wierz mi jednak, nie odpowiadałby ci mój tron. – Król poklepał dłonią kamienne oparcie. – To twarde siedzenie, a zajmująca je osobę przytłaczają obowiązki i troski. – Wskazał górujący nad nim łeb mitycznego potwora. – Jak widok tego stwora może przyprawić o koszmary, tak władzę gnębią tysiące dylematów i kłopotów, z których twoja sprawa i twojej zachłannej bogini nie jest ani pierwsza, ani ostatnia, ani nawet najważniejsza. Nie, dziewczyno, nie dla takiej młodej, ślicznej osóбки jak ty jest podobne brzemię. – Masz rację – przyznała nagle Tamsin. – Twój tron jest ohydny. Zbyt ciemny i wymyślny, by pasować do tej jasnej komnaty. Zgadzasz się ze mną, Ningo? – zapytała lalkę. – Przyznasz również, że jego ponury wygląd wywiera przynębiające wrażenie?

Ton głosu czarodziejki był tak niezwykły, że wszyscy w komnacie utkwili wzrok w tronie, o którym mówiła. Nim Tamsin umilkła, rzeźba mitycznego potwora zaczęła ulegać przemianie. Oszołomieni dworzanie ujrzeli, że rubinowe ślepia gryfa ożyły ze złowieszczym blaskiem, jakby w nich rozgorzał mętny, wewnętrzny płomień. Czarne jak heban łapy powoli i sztywno się wyprostowały, po czym zacisnęły w uścisku na siedzącym tam starcu.

– Nie, to potworność! – oświadczyła Tamsin. – Chcę, by tron zniknął. Razem z tobą, Tyfasie!

Z nagłym, zduszonym okrzykiem król próbował zerwać się z tronu. Było jednak za późno, czarne łapy zwierzały się już na jego piersi. Szmaragdowe szpony wbiły się w skórę i unieruchomiły szarpiącą się ofiarę. Z zaciśniętego gardła Tyfasa wydobył się rozpaczliwy wrzask.

Strażnicy przyskoczyli do tronu i z obydwóch stron zaatakowali potwora, okazało się to jednak daremne. Halabardy i miecze gięły się i pękały przy uderzeniach o twarde kamienne boki. Bestia wspięła się tymczasem na zadnie łapy, ryjąc kocimi pazurami bruzdy w płytach mozaiki na posadzce. Długim lwim ogonem zadawała ciosy jak maczugą. Dwaj gwardziści przy akompaniamencie chrzęstu zbroi w jękach bólu powaleni zostali na ziemię.

– Nie! Tamsin, zmiłuj się! Błagam! – krzyczał król. – Wielka bogini, nie chciałem cię urazić! Wypuść mnie, Ningo, proszę! Chwała niech będzie Nindze...

Aaj! Ooch!

Nie wypuszczając z uścisku szarpiącego się i wrzeszczącego króla, potwór rozpostarł zdobione klejnotami skrzydła i załopotał nimi. Po chwili wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wznosił się powoli nad tronem, wielobarwnie zamigotał w świetle przesączającym się przez okno, zatoczył koło pod sklepieniem komnaty, trzymając swą ofiarę w taki sposób, jak Tamsin trzymała swą lalkę. Gryf załopotał potężnymi skrzydłami i skierował się wprost do okna. Wybił je z łoskotem głośniejszym niż krzyki zebranego w dole tłumu. Niezliczone odłamki szlachetnych kamieni posypały się na ziemię, a gryf zniknął z pola widzenia ludzi zebranych w sali tronowej.

Buntownicy wreszcie stali się świadkami cudu: przez okno pałacu monarchy wyleciał na plac czarny demon. Na tych, którzy stali najbliżej, spadły klejnoty rzadkiej piękności - i krople czerwonej jak rubiny krwi. Unoszący się w powietrzu potwór przypominał symbol Cesarstwa Brytuńskiego, a w łapach trzymał szarpiącego się, odzianego w purpurową szatę samego króla Tyfasa. Tłum wpatrywał się z przerażeniem i radością, jak gryf rozdiera orlimi szponami ciało swej ofiary i wykłują złotym dziobem oczy. Potwór skierował się z wrzeszczącym nieszczęśnikiem na wschód i wreszcie zniknął w zasnutych chmurami niebiosach.

Tymczasem w sali tronowej strażnicy i dworzanie, ogarnięci grozą na widok koszmarnego losu władcy, nie odważyli ruszyć się z miejsca, by nie ściągnąć na siebie kolejnych dowodów magicznej potęgi Tamsin. Nie było wątpliwości, że straszliwy cud dokonał się za sprawą młodej dziewczyny - czy też podtrzymywanej na jej ramieniu okrutnej bogini Ningi.

Z trzech osób stojących najbliżej opustoszałego podestu szambelan pierwszy runął na kolana na dowód bezgranicznego oddania, gdy tylko ucichły krzyki Tyfasa. Isembard spoglądał z triumfem i niepewnością na złoty diadem, który spadł królowi z głowy, gdy szarpał się w szponach potwora. Idąc za przykładem szambelana, baron również klęknął przed Tamsin. Czarodziejka zaś zwróciła się do swej lalki:

- Och, jaka piękna korona, prawda, Ningo?

Wstąpiła z dziewczęcą gracją na tronowy podest. Schyliła się, zręcznie podniosła zdobiony klejnotami diadem i włożyła go na skronie - nie lalki, lecz własne.

X

Pożeracz drzew

Conan zamieszkał wśród Atupanów i szybko zapomniał, że kiedykolwiek zaznał innego żywota. Zawsze był obieżyświatem, poszukiwaczem przygód. Lud Songi, podobnie jak on, nie uznawał spędzania życia w jednym miejscu. Przemieszczała się wraz z porami roku i wędrując za łowną zwierzyną. Cymmerianin rzadko zabawiał w cywilizowanych miastach i osadach tak długo, by odczuć tęsknotę za rodzinnymi stronami. Teraz wszelako zyskał uznanie pośród pogodnych, dobrych rodaków Songi i miał wrażenie, jakby znów znalazł się w domu i ponownie napotkał darzących go przyjaźnią druhów z rodzinnego klanu.

Pewnego dnia zawołano go do ogniska, wokół którego rozsiadła się rada starszyny plemienia. W gorejące żagwie paleniska na środku wielkiej chaty wrzucano aromatyczne zioła o uderzającej do głowy woni, mające wspomagać mądrość członków rady. Wokół ogniska rozsiedli się najstarsi łowcy i uznani za mędrców bazarze plemienia. Była wśród nich również matka Songi, Nuna - za młodu sławna łowczyni.

Mędrzy plemienia na widok tężyzny i blizn Conana kiwali głowami i pomrukiwali z aprobatą. Kiedy przystąpili do zadawania mu pytań, zwiłali się ze śmiechu po jego niezręcznych odpowiedziach. Cymmerianin rumienił się, jednak zniósł to rozbawienie z kamienną miną, ponieważ jego cymmeriańscy rodacy pewnie nie lepiej potraktowaliby przybysza. Znieść zachowanie starszyny pomagała mu Songa, kładąc uspokajająco delikatne dłonie na jego ramionach. Barbarzyńca ze stoicką cierpliwością odpowiadał na pytania Atupanów. Zgodził się, że powinien dowiedzieć się czegoś więcej o obdarzonych czcią demonach powietrza i duchach zwierząt, które - wedle religii tego plemienia - stworzyły ziemię i puszczę.

Songa zapoznawała go również z innymi zwyczajami plemienia. Tłumaczyła zabawy i żartobliwe wierszyki pańienek nie mających jeszcze partnerów, które traktowały ją jak siostrę i spoglądały na muskularnego przybysza z udawaną

trwogą i na poły skrywanym pożądaniem. Odpędzała od Conana przeraźliwie wrzeszczącą dzieciarnię, na przemian to krążącą po obozowisku z dzikimi okrzykami, to słuchającą w milczeniu snujących legendy członków starszyny. Pokazała mu cierpliwy trud matek i starców, którzy robili kamienne narzędzia, wyprawiali skóry, pletli kosze i wypalali garnki. Zabierała go na ćwiczenia i walki oraz na poły brutalne turnieje młodych myśliwych i łowczyń, pośród których było również kilka kobiet niedawno porwanych z siedzib innych plemion.

Mieszkańcy wioski dobrodusznie tolerowali odmienny wygląd Cymmerianina i fakt, że nie odstępował Songi ani na krok. Przyglądali się ze szczerym zainteresowaniem, jak młoda para na przemian tuli się, a za chwilę toczy udawane boje. Conan wszelako wolał solidniejsze i zapewniające większą dyskrecję drewniane chaty z rodzinnych stron. Na szczęście Atupanie byli tak tolerancyjni, że z uśmiechami i bez sprzeciwu zegnali Songę, gdy zabierał ją na długie polowania w puszczy. Wracali oboje zwykle o zmierzchu, znużeni i zmarznięci, lecz szczęśliwi, chociaż wynikiem ich łowów było najwyżej parę wiewiórek lub kilka ryb.

W każdej dziedzinie ze świata tego plemienia Cymmerianin zdołał zyskać coś, co akceptował, jeżeli nie podziwiał. Wrodzona siła i bystrość zmysłów pozwalały mu szybko opanować większość niezbędnych do przeżycia wśród Atupanów umiejętności. Wkrótce zyskał podstawy wiedzy o miejscowych skałach, rodzajach gleby, ziołach i gatunkach zwierząt. Podczas całodziennych polowań i wędrówek po okolicy wprawni tropiciele wskazali mu, gdzie można nazbierać soli, krzemienia, ceramicznej glinki, barwników, twardego drewna, kory, włókien i setek rodzajów jadalnych lub leczniczych roślin oraz dokąd należy się udać, by upolować różnego rodzaju łowną zwierzynę. Barbarzyńca nauczył się nowych, pomysłowych sposobów zastawiania sideł, zwabiania ptactwa, rozpalania ognia, budowania szałasów oraz przydatnych przy tropieniu i polowaniu taktyk. Im więcej się dowiadywał, tym bardziej był pod wrażeniem bogactwa i różnorodności wiedzy przez Atupanów egzystencji. Tylko raz, świadom luki w swej edukacji, zapytał o trapiący go co jakiś czas problem. Chciał się dowiedzieć, jakiego rodzaju zwierz czy demon mógł porwać bez najmniejszego śladu czujną, nie zmęczoną pościgiem, dojrzałą leśną gazelę, nie pozostawiając po sobie nawet zapachu.

Prowadzący małą grupkę myśliwych Aklak westchnął głęboko, lecz nie odpowiedział. Przysiadł właśnie na pękniętym głazie, nie wypuszczając włóczni z dłoni. Pozostali – Songa i dwóch szczupłych młodzieńców, Glubal i Jad – również milczeli, spoglądając z niepokojem na przywódcę polowania. Aklak podniósł się, uważnie przyjrzał nierównej linii zarośli i wciągnął powietrze w nozdrza.

– Pytasz o istotę, o której nie wolno mówić – odparł w końcu z odcieniem lekkiej bojaźni w głosie. – Wspominanie o niej, wymawianie jej nazwy może tylko ściągnąć zagładę. Nie ma na to rady, więc daj temu spokój.

Conan zdażył przywyknąć do prostych zasad bytowania wśród członków prymitywnego ludu i nauczył się milczącego posłuszeństwa. Wzruszył więc ramionami i podążył za pozostałymi myśliwymi. Grupa łowców zaczęła ostrożnie wspinać się między głazami i drzewami pokrywającymi nierówny stok. Z napomknień Atupanów Cymmerianin dowiedział się, że polowanie tego dnia miało wyjątkowy, charakter. Na razie myśliwi złowili tylko trochę wiewiórek i ptactwa, które mogli przywiązać przy pasach, tak że nie krępowały im ruchów. Nie próbowali jednak upolować dużej antylopy, którą musieliby natychmiast zanieść z powrotem do wioski, by nie zjadły jej inne dzikie zwierzęta. Obfitość zwierzyny w dolinie sprawiała, że strata antylopy nie była dotkliwa. Fakt, iż pozwolono jej umknąć dodatkowo świadczył, że łowy miały istotnie poważniejszy cel.

Szlak myśliwych wiódł przez płytkie wąwozy i niskie granie, stanowiące podnóże większych wzniesień na wschodzie. Las miejscami był bardzo gęsty, zwłaszcza na dnie dolin i wzdłuż szczytów. Gdzie indziej sterczące skały i kamienne osypiska utrudniały wyrastanie roślinności. Teren przez całą drogę był nierówny. Trzeba było przedzierać się przez zwalone pnie oraz gęste poszycie i często omijać wyniosłe, ostre skały. Na szczęście przez większą część drogi można było posuwać się ścieżką wydeptaną przez zwierzynę i wcześniejsze myśliwskie wyprawy.

Zachowując milczenie i oszczędzając siły w typowy dla tropicieli sposób, grupa myśliwych wędrowała w szybkim, miarowym tempie. Po pewnym czasie łowcy wyminęli skraj gołego wapiennego zbocza, wznoszącego się ku wschodowi, w stronę urwiska przypominającego najeżoną palisadę. Skały były zwietrzałe, a u ich podstawy utworzyło się rumowisko. Conan miał wrażenie, że sześciokątne bryły

bazaltu mają podejrzenie podobny kształt, jak gdyby wyciosała je ludzka dłoń - czy raczej nieludzka, zważywszy na ich wielkość i twardość. Cymmerianin spoglądał na pokryte ciemnym żebrowaniem urwisko, spodziewając się, że dostrzeże na nim blanki i umocnienia górskiej twierdzy, wzniesionej przez bogów lub demony.

Grupa myśliwych zatrzymała się wreszcie przy resztkach pnia olbrzymiego drzewa, utraconym najpewniej dawno temu przez lawinę. Conan wypatrzył wówczas kształt, niewątpliwie nie będący dziełem natury.

U podstawy urwiska wznosiła się cylindryczna wieża o nierównym zwieńczeniu. Wąska, pozbawiona okien budowle postawiono z jaśniejszego i łatwiejszego w obróbce niż bazalt kamienia. Pokrywały ją płaskorzeźby ledwie już widoczne spod listowia i oplatających wieżę pnączy. Zalany słonecznym blaskiem wierzchołek budowli górował znacznie nad koronami rosnących w pobliżu drzew.

- Na Croma! - Conan wymamrotał nie znane w tych stronach przekleństwo na widok niezwyklej wieży.

W chwilę później zyskał całkowitą pewność, że jest to istotnie prastara ruina, nie zaś część groźnie piętrzącego się urwiska. Poczul się nieco bezpieczniej, gdy stwierdził, że widok wieży nie wywarł na towarzyszach wrażenia. Bez wątpienia wiedzieli, że się tu znajduje, i byli żywo zaciekawieni reakcją Cymmerianina.

- Popatrz na to cudo, człowieku! - rzekł Aklak do Conana z protekcyjnym uśmiechem. - Oto Kamienne Drzewo, postawione przez Czuczkiego, Ducha Wielkiej Wiewiórki, to schowek na orzechy, które ukradł Twikowi, Wielkiemu Borsukowi. Twik jednak podkopał się pod nie i odebrał wszystkie orzechy. Sprawił, że urwisko osunęło się, i nakazał, by Czuczki po wsze czasy zamieszkał w koronach drzew. Zostawił jednak jako pamiątkę drzewo, pod którym były zakopane orzechy. Znajdziesz tu zresztą coś więcej. Chodź, zobaczysz.

Myśliwi ruszyli między wilgotnymi pniami i spletanym poszyciem, przez które prowadziła ścieżka świadcząca, że rzadko docierali tu ludzie czy zwierzęta. Wreszcie dotarli do wieży. Stoki pokryte były kępami roślinności, górkim mchem i węzlastymi korzeniami drzew i krzewów; nie można się było zorientować, czy w pobliżu znajdowały się inne ruiny. Dla Conana widok stojącej w tym miejscu wysokiej wieży zakrawał na cud. Dolne piętra budowli kryły się zapewne pod powierzchnią skalnego osypiska. Najprawdopodobniej tam właśnie znajdowało się pierwotne wejście do wieży, ponieważ wyżej nie widać było żadnych otworów.

- Widzisz tę ścianę? - zapytał prowokującym tonem Aklak, gdy myśliwi dotarli do miejsca, skąd widać było niemal całą budowlę. - Jeżeli myśliwy zdoła się po niej wspiąć, dowiedzie, że jest odważnym, prawdziwym Arupanem.

Conan powiódł wzrokiem po murze i mruknął coś niewyraźnie. Wieża była olbrzymia, nie wątpił jednak w słowa towarzysza. Szpary między blokami kamienia, wyrte w nich zagłębienia oraz bujne pnącza czyniły tę wspinaczkę łatwiejszą, niż wejście na drzewo o tej samej wysokości.

- Każdy atupański łowca musi tego dokonać - kontynuował Aklak. - To test odwagi. Wielkie duchy zwierząt oceniają w ten sposób, kto ma przeżyć, a kto zginąć.

Conan przeniósł spojrzenie z brata Songi na młodszych myśliwych. Wreszcie popatrzył na Songę, która twierdząco skinęła głową.

- Ja też to zrobiłam - powiedziała. - I moja matka - dodała po chwili nie pytana.

- Musisz wspiąć się na wieżę, zejść do środka i zabrać cokolwiek na dowód, że tam byłeś - kontynuował Aklak. - Zaczekamy na ciebie i zaniemiemy do wioski twoje kości, jeżeli zginiesz.

Tym razem Conan nawet nic nie mruknął. Odłożył włócznię i toporek, zsunął sandały i podszedł do wieży przez usłane kamieniami poszycie. Szarpnął na próbę za jedno z pnączy, sprawdzając jego wytrzymałość. Liczył, że we wspinaczkę pomoże mu doskonała wprawa, zyskana w rodzinnych stronach. Nie wątpił, że jego towarzysze odbyli tę próbę jeszcze jako dzieci - zdążył zorientować się, że są zwinni i sprawni jak małpy. Ciężar ciała barbarzyńcy zwiększała wszakże groźbę, że zarwą się pod nim pnącza lub obsunie się pod stopą zwierzęta kamień. Mimo to wsparł nogę na fragmencie jednej z płaskorzeźb i zaczął się wspiąć.

Wyciągając ręce i przesuwając stopy w poszukiwaniu punktów oparcia, piał się szybko w górę. Nie odczuwał zbyt trwogi, że wieża się pod nim zawali. Skoro nie zrównały jej z ziemią stulecia i zmienne pory roku, z pewnością nie

mógł tego sprawić jego ciężar. Wyczuwał pod dłońmi, że masywne bryły kamienia były porządnie wykute, lecz ich zwietrzałe spojenia okazały się zbyt wąskie, by mógł wsunąć między nie palce. Twardy, jasny kamień był bez wątpienia starszy, niż okoliczne bazaltowe zbocza. W niektórych miejscach bloki pozostały nienaturalnie gładkie, a więc ktoś je kiedyś wypolerował. Wyglądały całkowicie obco w tutejszym krajobrazie i nie pasowały do zamieszkujących te strony ludzi. O wieży mówiło się tylko w jednej legendzie Atupanów. Opowiedziana Cymmerianinowi historia potwierdzała, że kamienny relikwiarz był wyjątkowo stary. Co więcej, styl wiekowych płaskorzeźb zupełnie odbiegał od dawnej czy obecnej hyboriańskiej sztuki, na jaką Conan natykał się podczas swoich wędrówek.

Tematyka płaskorzeźb była mimo to zaskakująco znajoma. Wieża stanowiła najwyraźniej pomnik dla uczczenia zwycięstwa. U jej podstawy wryto armie i floty, płonące forty i miejskie mury kruszone taranami i oblężniczymi machinami. Podobne obrazy można było oglądać na bramach grodów i murach pałaców dowolnej hyboriańskiej stolicy. Płaskorzeźby jednak dziwnie nie harmonizowały z otoczeniem i były nawet odpychające dla Conana, który od niedawna żył w pełnej zgodzie z surową naturą.

Cymmerianin zastanawiał się, co Atupanie sądzą o rzeźbach - o ile w ogóle potrafili je dostrzec. Być może obrazy zniszczeń nie kojarzyły się niewinnym dzikusom z niczym znanym. Na pewno obce im były proste, kanciaste linie umocnień i atakujących formacji. Statki i oblężnicze maszyny masowo zabijające ludzi wydawały się im z pewnością niezrozumiałe. Ciężkozbrojni, dosiadający wierzchowców rycerze w pióropuszkach prawdopodobnie przypominali Atupanom ślepe owady lub potwory. Nawet Conan miał trudności z ustaleniem, czy płaskorzeźby rzeczywiście przedstawiają ludzi na koniach, czy też pod hełmami i zacierającymi kształty jeźdźców i koni pancierzami kryją się postaci jakichś dawniejszych istot.

Cymmerianin wspinał się coraz wyżej, aż stracił z oczu towarzyszy stojących na dole. Na tym poziomie płaskorzeźby miały abstrakcyjny charakter. Ponieważ pnącza były tu coraz rzadsze, Conan zwracał na nie uwagę nie tyle jako na dzieła sztuki, ile punkty oparcia dla rąk i stóp. Zachęcające okrzyki przyjaciół były coraz cichsze. Barbarzyńca starał się spoglądać w dół tylko kątem oka, by uniknąć zawrotu głowy. Na tej wysokości rzadniejące listowie pograżone było w blasku słońca. Powiewy wiatru sprawiały, że kwiaty wydzielające odurzający zapach chłostały Conana w twarz.

Cymmerianin dotarł do połączenia muru porośniętego żółtymi, lejkowatymi kwiatami. Nagle zdał sobie sprawę, że dookoła niego kłębią się brzęczące, zawisające nieruchomo pszczoły. Upite nektarem, najwyraźniej nie były skore do ataku. Barbarzyńca drżał w obawie przed użądleniami, mimo to wspinał się dalej; nie myślał, jak będzie schodzić na dół.

Dookoła roztaczał się widok na wierzchołki drzew. W okolicy nadal nie widać było żadnych innych ruin. Wreszcie Conan dotarł do potrząskanego wierzchołka wieży. Oparł pewnie obydwie stopy i lewą rękę w szczelinach między kamieniami. Położył dłoń na szczycie muru, zamierzając podciągnąć się w górę. Wtedy kamień pod jego ręką zachrobotał i zaczął przesuwać się z przyprawiającym o mdłości zgrzytaniem.

Zwieńczenie muru okazało się zbyt kruche, by wykorzystać je jako punkt zaczepienia. Wsunawszy stopy ze szpar między głazami, Conan gwałtownie przesunął się w bok przed uderzeniem spadającego kamienia. Głaz, mogący z powodzeniem zmieść go ze ściany, musnął tylko udo. Dłonie Cymmerianina obsunęły się niżej. Wczepił je w kolejną szczelinę; kamienny blok zazgrzytał, jednak utrzymał się w miejscu. Nie odrywając tułowia, barbarzyńca podciągnął się na rękach opierając palce stóp o ścianę, po czym przerzucił nogę przez wąskie zwieńczenie muru.

Poruszony przez Conana kamień spadł z łoskotem na skały u podstawy wieży, gdzie stała Songa i pozostali myśliwi. Conan spojrział w dół i gdy stwierdził, że nic się nikomu nie stało, w milczeniu pomachał im ręką. Bał się spłoszyć mogące zamieszkiwać we wnętrzu wieży ptaki, nietoperze, utuczone pająki - lub żywiące się krwią demony. Wewnętrzna część budowli od góry zasłaniała płatanina pnączy, wśród których uwijał się rój zadowolonych z obfitości nektaru pszczoł. Conanowi słońce świeciło prosto w oczy i nie mógł zorientować się, co kryją ciemności poniżej. Znalazł oparcie dla stopy i pamiętając zapewnienie Aklaka, że zejście do środka było o wiele łatwiejsze, zanurzył się w pograżone w półmroku wnętrza wieży.

Na kilka chwil przywarł do wewnętrznej krzywizny muru czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności, po czym rozejrzał się, chcąc zbadać strukturę wieży. Kiedyś pięły się tu daleko w stronę podstawy spiralne schody o kamiennych stopniach. Budowla znalazła się w ruinie wskutek podkopu Twika, czy też bardziej pospolitego kataklizmu, ale osypujący się z góry gruz zniszczył schody. Pozostały jednak szczątki stopni, gdzieniegdzie na szerokość dłoni, miejscami szersze fragmenty. Przy zachowaniu należytej ostrożności można było po nich zejść, choć wiązało się to z ryzykiem, że wkliniwane w mur kawałki kamiennych bloków zarwą się pod niemałym ciężarem Conana.

Mrużąc oczy w smugach ostrego słonecznego blasku, tuląc się do gładkiej ściany i zatrzymując się, by otrzeć pajęczyny z oczu, Conan ruszył w dół. W schodach były przerwy - być może w miejscu dawnych podestów. Cymmerianin musiał opuszczać się wtedy na rękach, czasami tak daleko, że zastanawiał się, czy zdoła wrócić z powrotem na szczyt wieży. Wreszcie dotarł do stery gruzu, zwalonego na łukowate przejście, za którym znajdowała się prowadząca jeszcze głębiej rampa. Barbarzyńca nie wiedział, czy dotarł już poniżej poziomu gruntu. Żałował, że nie zabrał przyborów do rozpalenia ognia. Natężał wzrok w miarę, jak przesączaające się z góry światło było coraz słabsze. Na tej głębokości miał kłopoty z rozróżnieniem mętnych zarysów murów i przejść.

Wreszcie poczuł pod spodem równą, zasłaną gruzem i kamieniami posadzkę. Przed nim odbijała się w kroplach wilgoci na odłamkach skał mętna żółta poświata. Nagle zgarbione cienie zaczęły się poruszać, pod ścianami wieży pojawiły się zapalone pochodnie. Rozbrzmiały ciche jęki, a wkrótce chóralne, mroźne krew w żyłach wycie. Conan odwrócił się przerażony, ścisnął w dłoni obsydianowy nóż... i ujrzał za sobą Songę z resztą towarzyszy. Jęki Atupanów zamieniły się w głośnie, odbijające się echem śmiechy.

Cymmerianin stał nieruchomo i cierpliwie, podczas gdy członkowie plemienia zataczali się i tarzali po posadzce z uciechy. Musiał wyciszyć serce, by przestało bić jak oszalałe, opanowanie przyszło mu jednak o wiele łatwiej niż pozbycie się chęci, by porachować kości atupańskim dowcipnisiom. Gdyby ci głupcy mieli jakiegokolwiek pojęcie o wojnie albo czarnoksięstwie, gdyby mogli domyślić się, na jakie niebezpieczeństwa natykał się Conan w podobnych miejscach...

Westchnął ponuro i rozluźniwszy uścisk na kamiennym nożu, wsunął go zdecydowanie do pochwy. Miał przecież do czynienia z niewinnymi, pogodnymi ludźmi. Nie miał już ochoty dawać im surowej nauczki.

- Jesteś dobrym łowcą, Conanie - zapewnił go Aklak, wciąż zwijając się ze śmiechu. - Nie dopuściłeś, by strach wziął nad tobą górę. Nie musiałem bić się z tobą, by odebrać ci nóż. - Atupan walnął serdecznie przyjacielea po ramieniu. - W nagrodę należy ci się amulet, przystający atupańskiemu myśliwemu. Rozejrzyj się, wybierz ten, który ci się najbardziej spodoba. Aklak gestem ręki zaprosił do komnaty u podstawy wieży. Songa podeszła do Cymmerianina i przytuliła się do niego, tłumiąc jeszcze rozbawienie. W świetle pochodni Conan zobaczył, że blask odbijał się nie tylko od kropel wody, lecz także od kryształów i oprawionych klejnotów. Dojrzał również pasmo dziennego światła, wpadającego przez ukryte wejście, które Atupanie wykorzystali do swojego podstępu.

Skinawszy na Songę dłonią, Conan uklęknął przy kopczyku błyszczących ozdób, rozsypanych wokół strzaskanych kamiennych mis i dzbanów. Talizmany, amulety, naszyjniki i wisiorki wykonano ze szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Ozdoby miały dość prosty wgląd. Były to mętne lub przydymione kamienie o kształcie owalu lub łzy, nie zaś szlifowane rubiny, szmaragdy i szafiry, z którymi Conan zazwyczaj miał do czynienia. Proste, imitujące kielichy kwiatów oprawy klejnotów wykonane były z miękkiego szarego i czerwonego metalu; z tych samych stopów były pierścienie i łańcuchy o ogniach wykutych w prosty sposób. Ozdoby cechował ten sam styl, co noszony przez Songę na pępku wisiorek z opalem, podkreślający płaskość jej brzucha. Przez wiele lat Conan stykał się z bogactwem innych ludzi, ale nigdy nie widział jeszcze takiej roboty. Zauważył, że pierścienie i bransolety na ramiona były zbyt duże, by pasować na ludzką rękę. Ponownie zastanawiał się, kim byli budowniczowie wieży, jak wyglądali i czy w ogóle byli ludźmi.

- To wielki skarb. Dlaczego w ogóle jeszcze tu jest? - zapytał zdziwiony Conan, starając się jak najdokładniej wyrazić swoje myśli w atupańskim narzeczu.

Aklak popatrzył na niego i wykonał poziomy gest otwartą dłonią, oznaczający u nich wzruszenie ramion.

- Myślę, że życzą sobie tego duchy. Dlaczego są drzewa czy woda?

- Nie, chodziło mi o to, że to wielkie... - Cymmerianin urwał, o ile mu bowiem było wiadomo, w języku plemienia nie było terminu oznaczającego "bogactwo". - Skoro tak łatwo tu wejść - wskazał dłonią pasmo wpadającego do wieży blasku - dlaczego nikt nie zabrał tego wszystkiego?

- Wszyscy przychodzimy tu i bierzemy, co się komu podoba - stwierdziła Songa i zakołysała kształtnymi biodrami, wprawiając w ruch opale, wiszące na opasującym je rzemieniu. - Każdy myśliwy naszego plemienia przeszedł taką próbę jak ty i wybrał amulet na pamiątkę pasowania na łowcę. - Tak - poparł ją brat. - Inne plemiona również znają to miejsce i darzą je wielką czcią.

- Wobec tego zapewne... - Conan szukał właściwych słów. - Zapewne na ten skarb rzucono klątwę i jeden człowiek może zabrać tylko jeden klejnot. - Podniósł wzrok na towarzyszy. - Dlaczego jakieś plemię nie miałooby opróżnić wieży i zatrzymać wszystkich klejnotów dla siebie?

- Klątwę? Jaką klątwę? - spytał najwyraźniej stropiony Glubal.

- Dlaczego myślisz, że ktoś mógłby zabrać wszystko? Jaki miałby z tego pożytek? - spytał kategorycznie Aklak, wtykając przy tym zgięty palec w ucho i mrużąc oczy w atupańskim geście, oznaczającym powątpiewanie w czyjeś zdrowe zmysły. - Czy jeden łowca może zabić całą zwierzynę w lesie? Przecież większość mięsa zgniłaby, zanim zdołałby je zjeść! Dlaczego którekolwiek z plemion miałooby nie dopuszczać innych do Kamiennego Drzewa? I tak nie zdołałoby zużyć wszystkiego obsydianu! - Zaśmiał się, ubawiony absurdalnością podobnej myśli. - Poza tym przecież nie zostałoby nic dla innych.

- I kto chciałby mieć więcej niż jedną ozdobę? - poparł go młody Jad. - Nawet dwie objęłyby się o siebie i płoszyłyby zwierzynę. I tak nie ma z nich żadnego pożytku. Nie ogrzeją człowieka ani nie napełnią mu brzucha!

Conan aż przysiadł zdumiony ich dziecinną naiwnością.

- Wierście mi, są na świecie ludzie, którzy zabraliby wszystkie te ozdoby dla siebie. Wzięliby nawet stokroć więcej, gdyby tylko wiedzieli skąd, i zabiliby nas, gdyby tylko w ten sposób mogli się do nich dostać.

Aklak był pod wrażeniem powagi w tonie towarzysza i ponownie wetknął palec w ucho.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie żyją tacy ludzie. Na pewno są szaleni.

Na pamiątkę ceremonii przyjęcia do plemienia Cymmerianin wybrał pas z okrągłych ogniw, z których największe były ozdobione kamieniami nieregularnego kształtu przypominającymi sardonyks. Songa wypolerowała ozdobę i uzupełniła brakujące ogniwa kawałkami rzemienia. Z konieczną dla poważnego obrzędu powagą zawiązała pas na biodrach Conana, po czym impulsywnie przytuliła go do siebie tak silnie, że ogniwa odcisnęły się na skórze obydwójga.

Pozostali myśliwi powitali włączenie Cymmerianina do plemienia radosnymi okrzykami, klepaniem po ramieniu i serdecznymi uściskami. Nie ruszając niczego więcej w zrujnowanej wieży, wyszli przez częściowo zasypane drzwi i po paru krokach znaleźli się na zewnątrz.

W drodze powrotnej Aklak i dwaj młodzi łowcy postanowili tropić jelenia. Za ich milczącą zgodą Conan i Songa odłączyli się i poszli skalistym podnóżem - wzgórz na wschód od wioski. Płynący tu strumień tworzył kaskady w górnym biegu, lecz niżej płynął szerokim, skalistym wąwozem między licznymi łachami piasku. Spotykało się tu też głębokie, szafirowej barwy rozlewiska. Było już po południu, do tego czasu granit przyjemnie nagrzał się od słońca. Wąwóz był rzadko porośnięty drzewami i równy, dzięki czemu łatwo było mieć się na baczności przed niebezpieczeństwem.

W tym odludnym rajku Conan i Songa zabawili do zmierzchu. Pływali i wygrzewali się na słońcu, gonili się i siłowali na piasku. Upolowali kamieniami parę tłustych gołębi, upiekli je na ognisku i zjedli łapczywie, siedząc na brzegu i wycierając zatłuszczone palce o opalone uda. Po tym daniu zjedli deser z chrupiących bulw bagiennej rośliny i z jeżyn rosnących wśród skał.

Przyglądając się, jak Songa wysuwa język po jeżyny, Conan poczuł przypływ namiętności. Wyciągnął dłoń, by przegarnąć spływające po nagich ramionach włosy dziewczyny, lecz Songa z czujnością łowczyni - lub też od dawna tropionej zdobyczy - zerwała się na równe nogi i śmiejąc się, odskoczyła od niego tanecznym krokiem. Cymmerianin pobiegł za nią na skałę nad strumieniem. Songa nagle przywarła do niego i pociągnęła za sobą w toń głębokiego, przejrzystego rozlewiska. Lodowato zimna woda ogłuszyła ich na chwilę.

Dziewczyna zanurkowała głębiej, wabiąc Cymmerianina za sobą. Czuł na skórze jej delikatne, pieszczotliwe dotknięcia, przyglądał się jej gibkiemu, blademu na tle zielonej toni ciała, za którym rozsnuwały się pasma jedwabistych włosów i pęcherzyków powietrza. Po paru chwilach wyskoczyli na brzeg, drżąc z zimna i tuląc się do siebie. Zaczęli przetaczać się po rozpalonym, suchym piasku, szukając ulgi dla nągich, przemarzniętych ciał.

- Gdyby myśliwi to widzieli, uśmialiby się z tak marnych tropicieli - stwierdził w jakiś czas później Conan, ocierając piach z nóg. - Zyskałem dzisiaj amulet łowcy, ale wracamy z pustymi rękami.

- Nie martw się - Songa zanurzyła się w rozlewisku, by również oczyścić się z piasku. - Jestem świadkiem, że bezlitośnie tropiłeś swoją zdobycz i dopadłeś jej jak najwytrawniejszy łowca - dodała, oglądając się ku niemu z pełnym zadowolenia uśmiechem. - Tak, czy jednak wrócę do wioski z tłustą, soczystą sztuką, którą mógłbym podzielić się z resztą plemienia? Chyba nie.

- Nieważne. - Songa wyszła na brzeg i włożyła swój skąpy strój. - Schwytałeś chyba, przebiegłą zdobycz, którą wielu ścigało nadaremnie. Wszyscy będą ci zazdrościć. - Podeszła bosą, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła do siebie. - Ja również usidliłam dziś wspaniałą sztukę.

Conan tulił ją długo do siebie, czując na ciele promienie zachodzącego słońca. Wreszcie wypuścił dziewczynę z objęć. Musieli ruszać z powrotem, jeżeli chcieli uniknąć przedzierania się przez las po ciemku.

- Zdażyłaś zyskać już sławę jako łowczyni - powiedział Conan. - Ja jednak muszę upolować wkrótce jakąś pokaźną zdobycz, inaczej twój zwątpia, czy nadaje się na myśliwego.

- Będzie na to okazja dla nas obojga - zapewniła go Songa, zakładając sandały z sarniej skóry. - Też chcę zyskać większą sławę. Chcę być równie wielką łowczynią jak moja matka.

- Nie wątpię, że ci się uda, Rybaczko - odparł, używając przezwiska, jakie nadano Sondze ze względu na okoliczności, w których spotkała Cymmerianina. - Twoja matka zyskała opinię dobrej łowczyni dopiero po śmierci ojca, gdy byłaś już dość duża, prawda?

- Tak, dobrze to pamiętam. - Dziewczyna potrząsnęła głową, dzięki czemu jej prawie już suche włosy rozsypały się na ramionach.

- A co będzie, gdy dołączysz do kobiet plemienia, które mieszkają we wspólnej chacie i co wieczór wysiadują przed nią wokół ogniska? - spytał Cymmerianin, marszcząc brwi ze szczerą niepewnością. - Czy będziesz polować z wielkim brzuchem lub kiedy będziesz karmić dzieci piersią?

- Och, Conanie! - Songa roześmiała się cicho. Zapadający zmierzch nie pozwalał widzieć jej twarzy. - Jak osobliwe muszą być strony, z których pochodzisz, skoro tak mało wiesz o obyczajach kobiet i świecie? - Położyła Cymmerianinowi dłoń na ramieniu. - Nikt nie nauczył cię najprostszych rzeczy? Duch sowy przynosi dzieci z księżycą. Jeżeli kobieta nie kładzie się z mężczyzną przy pełnym księżycu, nie będzie z tego dzieci - tłumaczyła cierpliwie, nie potrafiła jednak ukryć rozbawienia. - Gdyby każda dziewczyna tego nie wiedziała, chodziłaby z wielkim brzuchem przez całe życie, a w lesie pod każdym drzewem byłoby pełno dzieci!

- Rozumiem - mruknął Conan, chociaż zabrzmiało to nader niepewnie. - To zupełnie skuteczna metoda? - Oczywiście - odparła z przekonaniem. - Nasze plemię zawsze przestrzega woli sowego ducha. Dlatego właśnie mamy długą chatą dla zamężnych kobiet i dlatego tak wiele z nich przenosi się tam na koniec miesiąca. - Podniosła spojrzenie na wielką tarczę księżycą na ciemniejącym niebie. - Jeszcze parę dni i sama tam zanocuję, Conanie - stwierdziła kategorycznie. - Nie chcę jeszcze mieć dzieci. Chcę polować, zdobyć sławę, zostać kiedyś szanowaną osobą w plemieniu. - Songa otoczyła Cymmerianina ramieniem. - Przy twoim boku, jeśli tego chcesz.

- Chcę, jeżeli i ty tego pragniesz - Conan objął ją równie gorąco. - Chodźmy! - powiedział, podnosząc się z ziemi. - Musimy ruszać, żeby noc nie zastała nas w lesie.

Do następnej pełni życie wśród Atupanów płynęło zwykłym trybem. W środku lata zwierzyny było pod dostatkiem, więc plemię nie musiało przenosić się w inne miejsce. Trzy młode przyjaciółki Songi podczas obrzędowej kąpieli w skalnej rozpadlinie zostały porwane pośród krzyków i wierzgania nogami przez myśliwych z sąsiedniego plemienia. Tak przynajmniej opowiadano przy ognisku łowców. Później

jednak rozeszły się pogłoski, że jedna z dziewczyn utrzymywała potajemnie kontakty z przystojnym członkiem obcego klanu i namówiła dwie rówieśnice do opuszczenia wioski Atupanów.

Szybko zaplanowano i przeprowadzono wyprawę w odwecie. Pięciu młodych chwatów, ledwie zdolnych ukryć zrozumiałą entuzjasm, pomalowało policzki i piersi czerwoną gliną w tradycyjne wzory i ruszyło tropić branki. Wrócili po kilku dniach. Czterech z nich, w tym Jad i Glubał, przyprowadziło miłe dla oka dziewczęta. Nie wydawały się zbyt przerażone. Mało tego, miały ze sobą porządnie zapakowane zawiniątka z dobytkiem i wkrótce dołączyły do uwijających się wokół ogniska kobiet.

Ku zdziwieniu Conana, to zdarzenie zacieśniło jeszcze bardziej jego więź z plemieniem. Od przybycia młodych dziewcząt do wioski nastrój miłości wisiał w powietrzu. Cymmerianin i Songa rzadziej wykradali się do lasu, by dzielić intymne chwile, natomiast częściej wygrzewali się wieczorami w szkarłatnym blasku dogasającego ogniska na środku wioski. Otuleni ciepłymi futrami, pospołu z pozostałymi parami śmiali się, szeptali między sobą i darzyli pieśzcotami.

Wreszcie pewnego dnia przez obóz przeszedł dreszcz. Na wzgórzach dostrzeżono stworzenie, określane mianem "jugubwa". Zrazu Conan nie potrafił orzec, czy ludzie powtarzali to słowo z radością czy z lękiem. Wkrótce przystąpiono do urządzania wielkiej wyprawy myśliwskiej. Łowy na jugubwę traktowane były przez Atupanów jako wyjątkowa okazja do okrycia się chwałą i sposobność zdobycia wielkich zapasów mięsa na zimę. Cymmerianin szybko zgłosił chęć udziału w łowach wraz z Songą, chociaż dziewczyna nie umiała wyjaśnić mu dokładnie, jakiego rodzaju stworem jest jugubwa.

Na łowy ruszała większość myśliwych oraz grupa młodzieńców, których zadaniem była pomoc w przeczesywaniu zarośli. Na przywódcę polowania jak zwykle wyznaczony został Aklak. Zabierano ze sobą ciężkie włócznie; każdy szanowany myśliwy miał co najmniej dwie, w tym jedną z dowiązanym skórzanym proporcem, przeznaczoną do dawania sygnałów i naganiania zwierzyny.

Dwudziestu myśliwych i garstka kobiet wyruszyli o świcie. Dwójka nie obciążonych zapasami tropicieli ruszyła przodem na południe, w kierunku pierwszego, najniższego pasma wzgórz. Droga myśliwych wiodła lekko pofalowanym płaskowyżem, porośniętym trawami i lasem. Myśliwi poruszali się w szybkim tempie i zatrzymali na odpoczynek dopiero na parę godzin przed południem wśród ślepych rozpadlin i wypełnionych żwirem wąwozów na skraju równiny. Jugubwę dostrzeżono niedaleko stąd.

Aklak odprowadził kilku bardziej doświadczonych łowców na bok, by naradzić się nad dalszym przebiegiem polowania. Zarządził, iż wszyscy myśliwi mają podzielić się na dwie grupy. Sam objął przewodnictwo nad tą, w której nie było żadnego wytrawniejszego łowcy. Dobrał sobie natomiast Conana, Songę, paru pragnących zyskać uznanie młodzieńców włącznie z Jadem i Glubalem oraz dwie kobiety biorące po raz pierwszy udział w łowach. Były to szczupłe, poruszające się sprężyste dziewczyny, które już trochę zdążyły nabrać myśliwskiej zawadiackości.

Aklak ruszył ze swoją grupą w głąb płaskowyżu. Nakazał towarzyszom zachowywanie milczenia i czujności. Gdy spotkali jednego z tropicieli, ruszyli za nim na drugą stronę strumienia. Po pewnym czasie dotarli do skraju zagajnika, gdzie na trawie leżały szerokie kopczyki niedawno pozostawionych odchodów.

- Musi to być istny potwór! - wykrzyknął Conan, wysuwając się do przodu.  
- Na Croma!

- Wyglądają jak ślady jugubwy - potwierdził poważnie zwiadowca. Ukłękł obok łajna i przyłożył do niego dłoń, sprawdzając temperaturę. Następnie wziął szczyptę i rozgniół ją pod nosem. - Pachną jak jugubwa.

- Zgadza się - potwierdziło paru myśliwych zatykając nosy. Przewodnik wziął szczyptę do ust i posmakował ją uważnie, przesuwając językiem po podniebieniu.

- Smakują jak jugubwa. To jugubwa - orzekł ostatecznie.

- Jesteś zupełnie pewny? - Conan zadał to pytanie żartem, lecz klęczący tropiciel nabrał pełną garść fekaliów i cisnął nimi w Cymmerianina.

- Chcesz spróbować?

Conan ruszył w stronę przewodnika, zaciskając w gniewie pięści, lecz wyprzedzili go pozostali myśliwi. Gdy dotarli do kopczyków, zaczęli obrzucać się pełnymi garściami odchodów jugubwy. Pokrzykiwali radośnie, na chwilę zapominając o dyscyplinie obowiązującej na polowaniu.

- Co jest? - prychnął Cymmerianin.

Po chwili zrozumiał, co się dzieje. Myśliwi smarowali się łąjnem, by zamaskować swój zapach i móc dzięki temu podkraść się bliżej tropionego zwierzęcia. Odór ekskrementów stanowił najlepszy sposób, a smarowanie się łąjnem było odwiecznym myśliwskim rytuałem, traktowanym przez Atupanów jako zabawa.

Cymmerianin chętnie przyłączył się do swoich towarzyszy. Pozwolił Sondze wysmarować te części swojego ciała, których nie mógł dosięgnąć, i ochoczo oddał jej tę samą przysługę. Pokryci zasychającą brązową masą o intensywnej woni myśliwi w milczeniu podnieśli broń i ruszyli dalej za przewodnikiem.

Wkrótce umiejętności tropiciela przestały być potrzebne. Z rzadkiej kępy drzew rozległ się gromki łoskot. Zakołysały się gałęzie, zamigotały blade spody liści. Chrzęst i trzaskanie świadczyły, że niewidoczny stwór nie tylko przeciska się przez zarośla, lecz również nimi pożywia.

- Jugubwa! - rozległy się pomruki myśliwych.

Mimo lęku Atupanie ruszyli w stronę piekielnego łoskotu. Aklak poprowadził ich skrajem polany, do kępy zarośli z przeciwnej strony. Ciągnął się tam pas wywróconych, połamanych i obdartych z listowia drzew i krzewów.

Potwór był olbrzymi, wyższy niż stygijski słoń, chociaż chudszy i mniej zwalisty. Cztery masywne nogi obciążone były szorstką skórą i przypominały wielkie, pokręcone pnie drzew. Dźwigały klinowaty, muskularny tułów, na poły zasłonięty kołyszącymi się gałęziami. Gruba skóra jugubwy wyglądała na trudną do przebicia. Pokrywały ją nieregularnie kępy rudego włosia; sierść była miejscami całkowicie wytarta. Przednie łapy miał dłuższe od zadnich, z zakrzywionymi pazurami jak u leniwca, zapewne doskonale nadającymi się zarówno do grzebania w ziemi, jak i do obrony. Stało się jasne, do czego jeszcze mogły służyć, gdy olbrzymi zwierzę stanął na tylnych nogach. Wbijając pazury w korę, jugubwa podciągał się w górę, by dosięgnąć pyskiem wyższych gałęzi.

- Jugubwa to samotnik. Ten jest w pełni sił, nie ma jeszcze potomstwa - szepnął Aklak do pozostałych. - Ciężko będzie go zabić... Czeka nas ciężkie polowanie.

Szept Aklaka zagłuszyło skrzypienie rozdzieranego drewna. Pień nie wytrzymał pod ciężarem cielska i pękł na pół. Jugubwa zwałił się na ziemię. Spadł przodem do myśliwych, dzięki czemu mogli dokładniej mu się przyjrzeć. Miał umięśniony tors, długi i szeroki łeb na krótkiej bardzo szyi. Ze środka czaszki wyrastał kostny grzebień, a między sterczącymi uszami z kępkami włosów a wilgotnymi, parszającymi nozdrzami znajdowały się trzy pary rogów o nieregularnych kształtach. Jedne były zakrzywione, inne tępe lub rozszerzające się na końcu. Służyły bez wątpienia do odłamywania gałęzi. Spłaszczony podstawa rogów łączyły się w nierówne, wydłużone płytki kostne, spod których wyglądały ślepie. Szerokie wargi tworzyły ryj chwytający łapczywie kępy liści. Tępe, pieńkowate zęby i gruby język miażdżyły je na papkę wraz z gałązkami, witkami i kawałkami kory.

- Uważaj, jugubwę łatwo rozwścieczyć - szepnął Aklak do Conana, gdy obydwaj zachodzili zwierza z tyłu.

Cymmerianin nie odpowiedział, skupiał się na jak najcichszym torowaniu sobie drogi przez połamane i powyrywane krzewy. Żałował, że nie zdążyli zaatakować jugubwy, gdy jeszcze wspinał się na drzewo. Na ziemi mógł odwrócić się i zobaczyć myśliwych, gdy wyjdą spod osłony zarośli. Olbrzymi stwór łapczywie pożerał liście, lecz ruchy krótkiego, zakończony kępką włosów ogona świadczyły o rozdrażnieniu.

- Najlepiej byłoby go zranić i pognać w stronę pozostałych myśliwych - kontynuował Aklak. - Potrzeba nam do tego silnych włóczników na przedzie. - Położył Cymmerianinowi dłoń na ramieniu, dając do zrozumienia, że ma na myśli jego i siebie. - Niech duch Wielkiego Borsuka czuwa nad nami.

Gdy pozostali myśliwi skradali się przez zarośla po obydwóch stronach wyrtej przez stwora ścieżki, Conan ruszył za Aklakiem, wymijając połamane pnie i gałęzie. Hałas, z jakim zwierzę jadło, był doprawdy donośny, a smród nie dałby się wytrzymać, gdyby łowcy nie natarli się wcześniej odchodami. Cymmerianin oraz Atupan na czworakach podkradli się do zadu gigantycznego zwierzęcia na odległość rzutu włócznie.

Aklak kucnął ostrożnie. Conan liczył, że jego towarzysz ustawi się do rzutu lub zwróci uwagę bestii jakimś hałasem. Okazało się to jednak zbędne. Zwierzę dostrzegło ich osadzonym z boku czaszki ślepiem. Z przeciągłym rykiem odwróciło się w ich stronę, tratując zarośla. Ugiął potężne nogi i potrząsnął

wielkim łbem, gotując się do szarży.

Atupan błyskawicznie cisnął włócznię, broń Conana poszybowała tuż za nią. Conan mierzył w gardziel, gdzie skóra wydawała mu się najbardziej miękka. Grot wbił się jednak w pokrytą potężnymi mięśniami pierś stwora. Aklak mierzył w pysk lub oko zwierza, ale włócznia ześlizgnęła się po przednim rogu, a kamienny grot pękł przy uderzeniu. Rzucanie w pancerz na łbie wydawało się równie nieszkodliwe, jak dla człowieka ukąszenie owada.

Jednym machnięciem łapy stwór stracił drzewce włóczni, jednak pozostawiony w piersi jej koniec musiał drażnić jugubwę, bo nagle ryknął i wściekle ruszył naprzód.

- Na bok, Conanie! - rozległo się z głębi lasu pełne lęku wołanie Songi.

Obydwaj łowcy mieli już tylko po jednej włóczni, ale i tak nie mogliby cisnąć nimi w biegnącego potwora, wyrzucającego spod łap w powietrze pogruchtane gałęzie i kawałki pni. Conanowi i Aklakowi przyszło wykorzystać włócznie jedynie do zachowania równowagi, gdy pędem uciekali przed rozwścieczonym zwierzem. Z boku dobiegały ich wołania. Ich towarzysze miotali włócznie, jednak bezskutecznie. Ogarnięty furją stwór nawet na chwilę ani nie zwolnił, ani nie zбочzył z obranego kierunku. Pochłonięty pościgiem za parą myśliwych, gnał nieustępliwie jak trąba powietrzna. Słyszeli jego rytmiczne prychnięcia jak bicie gromów, a łomotanie wielkich łap wstrząsało ziemią.

- Nieźle to wymyśliłeś! - zdołał zawołać zdyszany Conan, gdy wraz z bratem Songi wypadli na otwartą łąkę. - Według ciebie tak wygląda zapędzanie zwierza w pułapkę?

- Nie bój się - stęknął Aklak. - Ściągniemy go w stronę, skąd przybyliśmy. Jugubwa nie może szybko biec, utrudniają mu to ciężkie rogi i krótkie zadnie nogi. Jeżeli zwolni, dźgnij go parę razy włócznią. Słowa Atupana zabrzmiały absurdalnie, wściekły zwierz bowiem gnał za nimi po otwartym terenie bez najmniejszego wysiłku. Szarżował równie gwałtownie i niepohamowanie jak pokryty pancerzem kuszycki nosorożec. Conan miał wrażenie, że co prawda jugubwa jest już nieco powolniejszy, lecz jego zdolność wspinania się po drzewach sprawiała, że tym trudniej było się mu wymknąć. Dwaj włócznicy nie byli przygotowani do długiego biegu, nie mogli też stanąć i stawić czoła potworowi. Rzucane na boki spojrzenia pozwoliły Cymmerianinowi zorientować się, że pięciu myśliwych znajdowało się coraz dalej z tyłu. Jedynie Songa nie zwalniała i biegła za zwierzem. Trudno zresztą było dziwić się łowcom, że nie mieli ochoty zostać zmiażdżeni rogami i łapami jugubwy.

Cuchnący łajnem pot i drapanie w wyschniętym gardle sprawiało, że Conanowi tym trudniej było zorientować się, w którym kierunku powinien biec. Nie znał terenu, wszak był tu po raz pierwszy, więc biegł tuż za Aklakiem. Przed nimi znaj do wała się kępa krzewów-przeszkoda dla uciekinierów, ale nią dla szarżującego monstrum. Jednak krzewy przynajmniej chwilowo zapewniały osłonę, więc Conan i Aklak wbiegli w rzadkie zarośla. Tu byli zmuszeni się rozdzielić. Zwierz podążył za Cymmerianinem. Tak jak Conan się obawiał, gęste poszycie uniemożliwiało mu szybki bieg, marnował czas na omijanie i przeskakiwanie wysokich krzaków, jugubwa zaś tratował je bez trudu z donośnym łoskotem. Przed Cymmerianinem nagle pojawiły się gęste, porośnięte kwiatami krzewy. Musiał albo je ominąć, albo znaleźć miejsce, w którym zdołałby precyzyjnie przycisnąć się na drugą stronę. Wystawił włócznię przed siebie, wtulił głowę w ramiona i skoczył w zarośla.

Nagle stwierdził, że grunt przed nim się urywa. Błyskawicznie uczeplił się gałęzi, która ugięta pod ciężarem zawisała z nim nad skrajem wąwozu. Za chwilę nad jego głową rozległ się łoskot szarżującego zwierza. Jugubwa pędził tak szybko, że przeleciał w powietrzu nad Conanem, rąbnął w przeciwległe zbocze wąwozu, stoczył się i wylądował na dnie rozpadliny z gniewnym rykiem.

Ukryty w pobliżu Aklak wydał triumfalny okrzyk i uniósł włócznię, wzywając pozostałych łowców. Conan tymczasem wspiał się na szczyt rozpadliny. Stopy mu się osunęły na kruchej ziemi w chwili, gdy stwór rzucił się na zbocze. Barbarzyńca zdołał podciągnąć się na gałęzi, a rozjuszona bestia jak taran waliła rogami w zbocze, spuszczając małe lawiny kamieni.

Atupanie byli najwidoczniej przygotowani na taki obrót sprawy. Rozstawili się u wylotu odchodzących od płaskowyżu wąwozów i biegiem skierowali na skraj rozpadliny. Gdy tam dotarli, zaczęli ciskać w jugubwę kłodami, kamieniami i włóczniami.

- Conanie! Tak bardzo bałam się o ciebie, mój kochany! - zawołała Songa,

obejmując Cymmerianina, który zdażył już odzyskać dech. - Trafiałam jugubwę w bok, ale nawet nie poczuł! - Potrząsnęła włócznią i wyjrzała przez prześwit w zaroślach, zza którego dobiegało prychnanie i skrobanie łap. - Przysięgam na wszystkie duchy lasu, że jeszcze uśmiercę tego diabła!

- Musimy szybko go zabić, zanim zdoła wydostać się z dziury - oznajmił Aklak. - Nie odchodźcie od brzegu i kłujcie jugubwę włóczniami, jeżeli będzie próbował wspiąć się na górę!

Rady łatwo było udzielić. Trudniej poszło z wykonaniem - pojedynczy łowcy i pary myśliwych musieli odpędzać wściekle szarżującą bestię i uważać, by nie zsunąć się po stoku. Sam widok łba zwierza z bliska budził trwogę. Wielkie, ociekające śliną zębiska, wysunięty do przodu pysk, gigantyczny czerwony jęzor i purpurowe ślepia, obracające się pod grubymi kostnymi łukami - to wystarczało, by poczuć respekt dla bestii. Do tego dochodziły grzebienie sterczących rogów, z łatwością mogące złamać włócznię lub rozedrzeć na strzępy nieostrożnego człowieka. Na szczęście ziemia ze stoków wąwozu osypywała się i zapadała pod ciężarem cielska jugubwy.

Pomyślne było również to, że zwierz z impetem raz za razem próbował rzucić się na Atupanów. Inaczej z łatwością dotarłby do wylotu wąwozu i znalazł się na równym terenie, a wówczas sytuacja łowców stałaby się o wiele gorsza.

- Chodź tu, jugubwa! Spróbuj mnie ugryźć! Dostaniesz włócznią prosto w oko! - szydzili młodsi, bardziej ochoczy myśliwi, podczas gdy doświadczeni czekali, aż zwierz odwróci się bokiem, co umożliwi pchnięcie w serce. Niektórzy ciskali włóczniami, lecz nawet jeśli ich groty zdołały przebić skórę, nie wyrządzały jugubwie większej szkody. Jugubwa nie ustawał we wściekłych wysiłkach wydostania się z rozpadliny.

Global spróbował dźgnąć włochate monstrum wkark, lecz na nieszczęście stanął za blisko obsuwającego się skraju wąwozu. Bojowy okrzyk młodzieńca zmienił się we wrzask przerażenia, gdy razem z bestią osunął się na dno jamy. Po chwili wyleciał w górę, podrzucony rogami jugubwy. Bezwładne ciało zakreśliło się w powietrzu i spadło z łoskotem w kępę kwitnących krzewów.

- Demon! Morderca! Posmakuj mojej włóczni, podły jugubwo! Songa przebiegła wzdłuż rozpadliny, wskoczyła na wystającą skałę i znalazła się wprost nad bestią. Wykrzykiwała i wymachiwała ramionami, starając się zwrócić na siebie uwagę. Wołania i gwałtowne ruchy przyniosły skutek: zwierz prychnął i obrócił się w jej stronę. W tej samej chwili Conan podbiegł do dziewczyny.

- Hej, pożeraczu drzew! Spróbuj mi połamać kości! Spróbuj mnie obedrzeć z kory, bryło mięsa!

Songa przyklękła na kamieniu, wychyliła się naprzód i grotem zaczęła dźgać szarpiącego się jugubwę wokół rogów. Stwór zawył wściekle i starał się zgruchotać drzewce, waląc łbem o sterczące ze zbocza skały. Jednak dziewczynie udało się wbić włócznię w ucho, z którego pociekła strużka krwi.

Myśliwi na ten widok radośnie krzyknęli i podeszli bliżej skraju rozpadliny. Conan dostrzegł jednak coś, czego nie mogła zobaczyć Songa. Przebiegły i podstępny zwierz drapał pazurami i walił łbem w zbocze, na którym stała jego dręczycielka.

- Songa, uważaj!

Ostrzeżenie Cymmerianina było spóźnione. Skalna półka zaczęła osuwać się prosto w łapy rozwścieczonego monstrum. Songa skoczyła w stronę brzegu rozpadliny i odbijając się włócznią jak tyczką, wylądowała pośród osuwających się kamieni. Przez moment desperacko walczyła o zachowanie równowagi, lecz zniknęła w tumanach kurzu, wzbijanych łapami jugubwy.

Conan wrzasnął czując niewysłowioną wściekłość. Potężnie zamachnął się ramieniem i włócznia z rozwianym proporcem śmignęła w dół, przebijając grzbiet bestii pod łopatką. Utkwiła luźno w grubej warstwie mięśni, a z rany pociekło tylko trochę krwi. Potwór zareagował jedynie gniewnym pomrukiem.

Conan rozglądał się rozpaczliwie za jakąkolwiek bronią. Po chwili zsunął się nieco w dół i wyrwał ze zbocza ostry kamień. Wziął go w obydwie dłonie i pognał w stronę pochyłej skarpy, gdzie w tej chwili znajdował się jugubwa. Nie zważając na ciskane z góry włócznie, Cymmerianin rozpedził się i skoczył ze skarpy na grzbiet jugubwy.

Wylądował tam, gdzie normalne zwierzęta mają szyję. Wcisnął w skórę jugubwy kolana i łokcie, zapierając się o ułamane włócznie. Przesunął się do przodu i spiczastym głazem jął walić w pancerz tuż nad ślepiami, w najbardziej wysuniętą w tył parę rogów.

Zwierzę podskakiwało i zarzucało łbem, z ogłuszającym rykiem próbowało strącić intruza z grzbietu. Nie mogło jednak przekreślić łba tak, by końcami rogów sięgnąć własnego karku. Zaczęło więc bokiem ocierać się o ścianę wąwozu, usiłując zetrzeć Conana na miazgę. Stok był jednak na to zbyt pochyły.

Tymczasem Cymmerianin nadal wbijał kolana w kark bestii i walił po łbie ostrym jak dłuto kamieniem. Oblewał się potem i niemal dusił od ciężkiego odoru zwierzęcia. Ku swej radości ujrzał, że Songa żyje. Dziewczyna też dźgała jugubwę włócznią, zręcznie uskakując przed jego łapami i rogami. Pozostali Atupanie również zaczęli schodzić w dół rozpadliny i nękać stwora. Niektórzy dotarli nawet na dno jamy. Nie chcieli rzucać włóczni z wysoka, by nie zranić towarzyszy. Zachowanie zwierza zmieniło się. Nie skupiał uwagi już tylko na siedzącym mu na karku Conanie. Usiłował odpędzać zachodzących go z boku ludzi, a w jego grzmiących rykach pojawiła się nuta niepewności i cierpienia.

Nagle przy kolejnym ciosie Conan poczuł, że kamień napotkał o wiele mniejszy opór. Mrużąc oczy przed wzbitym w powietrzu kurzem, Cymmerianin ujrzał, że spod pancerza na łbie jugubwy wycieka jaskrawa, szkarłatna struga krwi. Wpadł mu do głowy nowy pomysł. Wypuścił kamień z rąk i sięgnął po włócznię, sterczącą w grubej skórze zwierzęcia. Wystarczyło jedno szarpnięcie i Conan ostrze grotu wsadził w krwawiącą ranę, zacisnął obie dłonie na drzewcu i naparł z całych sił. W tej samej chwili jugubwa konwulsyjnie podrzucił łeb w górę. Tego chciał Conan. Kamienny grot pograżył się głębiej, nie napotykając oporu.

W tym momencie ryk potwora zmienił się w zdławione rżenie. Cymmerianin spojrzął w dół i zobaczył, jak Songa bohaterko trzyma miotaną przez potwora włócznię, którą wbiła mu głęboko w gardziel.

Jugubwa osłabł, zaprzestał walki. Nogi ugięły mu się pod ciężarem wielkiego cielska, zatoczył się w bok i przewrócił z łoskotem na zbocze. Wreszcie osunął się na dno rozpadliny i znieruchomiał. Nie był już w stanie próbować zrzucić nieprzyjaciela z grzbietu.

Cymmerianin poczuł pod sobą dreszcze i potężne skurcze cielska. Zdał sobie sprawę, że to zamiera serce i oddech jugubwy. Minęło jeszcze kilka chwil, a ustały zupełnie.

Na dnie wąwozu zapanowało milczenie, po czym nagle rozległ się chóralny, płaczący krzyk, powtarzany przez wszystkich Atupanów.

- Jugubwa nie żyje! Biada! Biada!
- Zginął nasz wielki druh z lasu, Pożeracz Drzew!
- Jakie to smutne! Nastął dla nas dzień płaczu i lamentowania!
- Żałujemy, drogi przyjacielu, że spotkał cię tak straszny los!

Cymmerianin usłyszał, że ostatni okrzyk wydała Songa. Jęki i lamenty rozlegały się ze wszystkich stron, ze szczytu, zboczy i dna rozpadliny. Czując lekkie zniecierpliwienie, Conan zeskoczył z cielska potwora.

- Dlaczego się tak mazgaicie, na Croma?! - zapytał Songę, która stała przy łbie jugubwy, kryjąc twarz w dłoniach. - Wreszcie zdołaliśmy ubić tę śmierdzącą bestię. Nie dość, że uszłaś z życiem, to jeszcze zostałam bohaterką! Po diabła becysz i biadasz nad tym potworem?

- Conanie, nie rozumiesz? To wielka strata, tragedia! Odszedł tego dnia nasz serdeczny druh, umilkło bicie wielkiego serca...

- Targoka powiedział prawdę - przerwał jej Aklak. - Moja siostra jest bardzo dzielna. Poza tym nikt z nas - chyba nikt - nie zginął przy polowaniu. Nasze plemię czeka wielka uczta. Mamy też jedzenie na nadchodzącą zimę. Czas się weselić!

- Weselmy się! Jugubwa został zabity! Mamy jedzenie! Songa to wielka łowczyni!

Na szczycie wąwozu i w jego głębi Atupanie natychmiast podjęli wezwanie Aklaka. Poklepywano się po plecach, tańczono radośnie i triumfalnie uderzano w cielsko zabitego zwierzęcia. Nawet Glubal z zadowoleniem wymachując rękami wyłonił się znad skraju rozpadliny. Leżał jednak na ziemi, bo przy upadku połamał nogi. W rytualny sposób pod ranę w gardzieli jugubwy podstawiono kubek. Pierwsza Songa, a potem myśliwi pili parującą krew ubitej ofiary.

Niedługo później ku ogólnej radości na szczycie wąwozu pojawili się pozostali członkowie plemienia. Szli w wolniejszym tempie śladem łowców, niosąc narzędzia do oprawiania zwierzyny. Zeszli na dno wąwozu i w podniosłym nastroju przystąpili do ćwiartowania ubitego stwora. Zdartą skórę pocięto na kawałki, wyrwano zęby i rogi, połcie mięsa rozkładano, by wyschły na słońcu. Starannie dokładano drzewa do ogniska, gdzie na rożnach i rusztach pieczono i wędzono

najwyborniejsze kawałki. Z pobliskiego strumienia naniesiono wodę do gotowania. Z pomocą innych Atupanów myśliwi zdołali nawet przewrócić cielsko jugubwy na drugą stronę, by nie zmarnował się żaden kawałek mięsa.

Plemię nie powróciło na dawne miejsce obozowiska. Rada starszyny uznała, że nadszedł czas na zmianę. Kilku Atupanów wróciło tam tylko po to, by uporządkować i zabrać dobytek. W miejscu upolowania jugubwy spędzono kilka dni, po czym objuczone świeżymi zapasami jądła plemię ruszyło z biegiem strumienia. Nowy obóz położony był niżej i dalej na południe. Spodziewano się tu dobrych łowów i łagodniejszej pogody po nastaniu jesieni. Conan i Songa wspólnie dźwigali swój dobytek na noszach zrobionych z włóczni owiniętych skórą. Kładli je sobie na ramionach lub nieśli w dłoniach.

Po trzech dniach marszu Conan popadł w ponury nastrój i zwątpił w cel przeprowadzki. Plemię dotarło do równiejszego terenu, ale bagnistego i z chmurami komarów. Nawykły do chłodnego klimatu Cymmerianin uważał, że Atupanie mogli równie dobrze przetrwać w poprzednim obozie. Członkowie plemienia pałali jednak ochotą, by jak najszybciej dotrzeć do nowej siedziby. Niektórzy młodzi - między innymi poruszający się o kulach Glubal - wykazywali niezwykle wręcz entuzjizm, gdy tylko docierali do punktów orientacyjnych, świadczących, że są coraz bliżej celu.

Wyprawa dotarła wreszcie na obszerną łąkę, porośniętą dzikimi zbożami. Na skraju znajdował się obrosnięty drzewami staw, a bliżej widać było ślady pozostawione w ubiegłym roku przez szałas i ogniska. Na drzewach zostawiono również zawieszona czółna ze skór i gałęzi.

Myśliwi złożyli na ziemi pakunki i nie zwracając uwagi na pozostałości ubiegłorocznego obozu, zebrali się w miejscu nieco oddalonym od brzegu. Songa wzięła Conana za rękę i zaprowadziła do nich.

- Chodź, tylko uważaj pod nogi! - powiedziała.

Dotarli do odkrytego miejsca, gdzie z niecierpliwymi minami zebrali się młodzi łowcy. Aklak klęknął przed nimi i przebił twardą glinę ostrym kołkiem. Conan zdziwił się, gdy po kilku uderzeniach kołek bez trudu zagłębił się w ziemię. Gdy Aklak odchylił płaski kawał gliny, do nozdrzy Cymmerianina dotarł znajomy zapach. Mężczyźni i kobiety westchnęli z zadowoleniem. Dopiero teraz barbarzyńca dostrzegł, że Atupanie, nawet Songa, nieśli ze sobą wydrażone tykwy i chochle.

- Gotowe... Jest wyśmienite! - zawołał Aklak, wciągnawszy woń w nozdrza.  
- Nie pchajcie się, w tym roku wystarczy dla wszystkich!

Sięgnął do otworu, nabrał na dłoń pianistej cieczy i uniósł do ust.

- Chodź, Conanie, na pewno będzie ci smakowało. - Songa szturchnęła go chochłą z tykwy. - Nigdy tego nie piłeś... - tu wyrzekła słowo, którego zrozumienie nie wydawało się do tej pory Conanowi ważne. Wiedział teraz, że w przyszłości będzie używał go często. - Nie, nie mogłeś tego znać, bo to nasz wynalazek! - dokończyła dziewczyna. - Przecież nie mogłeś kiedykolwiek pić piwa.

## XI

### Królowa i bogini

Koronacja królowej Tamsin odbyła się bez wielkiego rozgłosu. Cieszące się, powszechnym poparciem powstanie zatriumfowało, lecz uznano, że nie przystoi narażać osoby władczyni - i świętej figurki bogini Ningi - na ciekawskie spojrzenia i prostackie hołdy pospolitego tłumu. Oceniono, że odosobnienie i aura tajemniczości pomoże przywrócić spokój we wzburzonym cesarstwie. Tamsin zgodziła się z radami nowej dworskiej świty.

Z tych właśnie względów formalne objęcie władzy przez młodą władczynię przebiegło w obecności zaledwie kilkudziesięciu uprzywilejowanych dworzan, w odnowionej sali tronowej, przerobionej równocześnie na kaplicę ku czci Ningi. W miejscu gdzie niegdyś stał tron, obecnie znajdował się ołtarz. Okno z rżniętymi drogocennymi kamieniami zostało zastąpione przez okrag przyciemnionego szkła. Większość obecnych na ceremonii stanowiły znane postaci: arystokraci, oficerowie, eunuchy i inni dostojnicy, którym dzięki gorliwemu zaparciu się nieżyjącego króla Tyfasa pozwolono zachować życie i stan posiadania pod nowymi rządami.

Tłumowi zapewniono uciechę w formie pokazu kaźni i egzekucji, odbywających się na świątynnym placu. Stracono kanclerza koronnego i

kilkudziesięciu schwytych szlachciców, kapłanów i dostojników, których uznano za wierne sługi dawnego porządku. Stracono też osoby niepotrzebne nowej władzy. Odkonano to pod nadzorem nowego marszałka koronnego, barona Isembarda, i jego doborowych oddziałów.

W pałacu zgromadzeni dworzanie obejrzeni widowisko, złożone ze świeżo opracowanych tańców na cześć Ningi. Chociaż wykonywano je z majestatyczną godnością, a tancerze odziani byli w kunsztowne szaty, to tańce nader przypominały galopki i hołubce z brytuńskich wsi. Prowincjonalna naiwność tej rozrywki przypadła jednak do gustu młodziutkiej królowej.

- Widzisz, szambelanie, jaką karę ponosi się za nadużywanie władzy i tolerowane przez monarchę zaniedbania. Istnieją zbrodnie i występki, które cesarstwu nie ujdą na sucho nawet przy przebiegłym, czujnym władcy.

Odziana w wystawne, ceremonialne szaty Tamsin, trzymała w rękach lalkę w jeszcze kunsztowniejszym ubraniu. Podczas oglądania tańców raczyła wdać się w rozmowę ze swoim doradcą. Pierwsza osoba na dworze, szambelan Basifer, nie wydawał się jej odpowiednim nauczycielem, który wprowadzi w tajniki władzy młoda królową. Eunuch był solidnej budowy ciała. Twarz o grubych rysach z nadmiarem tłuszczu cechował brak zarostu, typowy dla osób po specjalnej operacji. Na dłoniach, plecach i głowie miał blizny i szramy na skutek surowych kar, jakie poniósł za młodu w pałacowej służbie. Jego cera ciemniejsza była, niż zalecała moda u kastrowanych dworskich zauszników, miał bowiem słabość do nacierania się orzechowym balsamem. Bezstronność, inteligencja i autorytet wśród dworskich urzędników i pałacowych zarządców czyniły go idealną osobą do skutecznej pomocy w czasie zmian w rządzeniu królestwem.

- Istotnie, wasza wysokość - odrzekł starannie modulowanym tonem. - Tyfasa cechowała nieczułość i upór. Często świadomie odrzucał moje najlepsze rady. - Eunuch jak zwykle wykorzystał okazję do podkreślenia odgrywanej przez siebie roli, jednocześnie starając się dać do zrozumienia, że nie miał nic wspólnego z przewinieniami nieżyjącego władcy. Wiedział, że trochę pochlebstw nigdy nie zaszkodzi. - Jakże to szczęście, że osoba o przenikliwości waszej wysokości - oczywiście, wspomagana przez wszechpotężną boginię Ningę - pojawiła się w odpowiedniej chwili, by wszystko naprawić.

- Wielkie krzywdy zawsze spotykają się z zadośćuczynieniem, Basiferze. - Królowa obdarzyła eunucha przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu, w których, jak coraz częściej zauważano, mogła czaić się groźba. - Zastanawiam się, czy wiesz, dlaczego wielka bogini uznała za godne dla siebie zadanie obalenie brytuńskiego tyrana oraz ingerencję w losy nic nie znaczących ziemskich władców? Wynika to, szambelanie, ze zdarzenia w odległej przeszłości, śmierci osoby cieszącej się łaską bogini. Kogoś jej bliskiego... naprawdę bardzo bliskiego. - Opuściwszy wzrok na ozdobioną klej notami zabawkę, Tamsin na chwilę straciła wątek. - Dość powiedzieć, iż zemsta to po - tężna, nieodwołalna siła. Gdy wprawi się ją w ruch, wystarcza do obalenia cesarzy, a nawet bogów.

- Istotnie, pani.

Szambelan zastanawiał się w duchu, jakie motywy mogły kierować postępowaniem siedzącej obok niego tajemniczej istoty, zwodniczo obdarzonej wdziękiem niewinnej dziewczyny. Jakaż siła mogła okiełznać i narzucić posłuszeństwo potężnej, cudownej energii, którą rozporządzała? Myśleniu eunucha nie można było zarzucić naiwności. Wyczuwał w Tamsin pokrewną, równie skomplikowaną naturę. Na szczęście nowa królowa na razie tolerowała jego rady. Liczył poza tym, że poznanie jej bliżej pozwoli mu znaleźć sposób manipulowania nią, a przynajmniej odwracania jej uwagi.

- Wasza wysokość, rzuciła mi się w oczy nieobecność kogoś, na kim bardzo mi zależało. - Basifer zrobił ruch głową, udając zażenowanie. - Osoba ta otrzymała zaproszenie na ceremonię. Obawiam się jednak, że droga znad południowej granicy okazała się zbyt daleka. Przybycie mogły też opóźnić względy dyplomatyczne, związane z nagłą zmianą sytuacji politycznej w Sargossie.

- Mówisz o wydziedziczonym księciu, jak się on zwie...

- Istotnie, o księciu Clewynie, wasza wysokość - potwierdził Basifer. - To najwspanialszy mąż stanu w tych czasach, wspinała postać. Cechuje go szybkość i przenikliwość sądów, jednocześnie jest zupełnie pozbawiony typowej dla młodych ludzi pochopności. Poza tym jest przystojny i zachowuje się nienagannie. Ma opinię romantyka.

- Od zawarcia pokoju przez byłego króla z Koryntią był tam posłem. - Ton królowej świadczył o nikłym zainteresowaniu osobą księcia. Bardziej pochłaniało

ją przyglądanie się powolnym, w gruncie rzeczy dość niemrawym tańcom. - Był raczej zakładnikiem, nie emisariuszem, nieprawdaż? W każdym razie Tyfas wolał trzymać go na dworze w Koryntii niż na własnym.

- Prawda, wasza wysokość - przytaknął usłużnie szambelan. - Wykazujesz zdumiewającą przenikliwość, pani! Za dawnych rządów Clewyn nie był w łasce. Przyswoił sobie jednak cudzoziemskie obyczaje, równocześnie nawiązując nieocenione kontakty dyplomatyczne. - Basifer znacząco odchrząknął. - Wasza wysokość oczywiście rozumie, że książe nie był spokrewniony z Tyfasem. Król zdobył władzę dwadzieścia lat temu tylko dzięki wsparciu wojska.

- A stracił ją wskutek interwencji bogini. - Młoda królowa podniosła wzrok na ciemny owal okna, zza którego dobiegały wiwaty towarzyszące kaźni na świątynnym placu. - W tej chwili Tyfas już pewnie nie ma żyjących krewnych. - Tak jest - potwierdził Basifer. - Za jego rządów Clewyn nie miał żadnych szans na władanie należnymi mu posiadłościami. Mimo to przez związki ze starą szlachtą, z której wywodzili się dziedziczni królowie i królowe Brytunii, książe cieszy się wśród arystokracji i ludu estymą, a tego nie można lekceważyć. - Eunuch przerwał na chwilę, by do królowej dotarły jego sugestie. - Sprzymierzenie się z tak ważnym człowiekiem jak Clewyn może uwierzytelnić, wpleść w nurt tradycji nowe rządy.

- Wystarczy, szambelanie - przerwała mu wreszcie młodziutka królowa. - Jeżeli chcesz powiedzieć, że święte władanie Ningi i moje panowanie jako królowej i arcykapłanki musi zyskać legitymizację w postaci związków z jakimś więdnącym szlacheckim rodem, że po objęciu tronu cesarstwa winnam oddać rękę jakiemuś królewskiemu bękartowi, jakiemuś ambitnemu przystojniakowi... - Rozdrażnienie sprawiło, że władczyni zabrakło słów.

- Ależ nie, wasza wysokość, niczego podobnego nie miałem na myśli. Błagam o wybaczenie. - Zaprawiony w śmiertelnie niebezpiecznych pałacowych intrygach, Basifer nie ościagał się z ukorzeniem. - Chciałem tylko zwrócić uwagę waszej wysokości na osobę, której poznanie mogłoby okazać się korzystne, która mogłaby stać się użytecznym narzędziem...

- Wiedz, szambelanie, że oczy moje i Ningi nigdy nie były zwrócone na doczesne przyjemności i ulotne pokusy - podjęła Tamsin, nie zwracając uwagi na protesty Basifera. - Poświęciliśmy się światu duchowemu i temu, co zapewni większą moc i znaczenie w zaświatach. - Basiferowi łatwo było uwierzyć w te słowa, widząc odbicia mrocznego światła w zielonych oczach królowej. Władczyni wyprostowała się w fotelu, a sznury pereł i inne ozdoby lalki zadźwięczały melodyjnie. - Nasze myśli poświęcamy temu, co wieczne i niezniszczalne, naczyniom i talizmanom potęgi, którą można powiększać, chociaż doczesna powłoka kurczy się i umiera. Jeśli chcesz pojąć lepiej, o co nam chodzi, chodź, szambelanie! Coś ci pokażę.

Tamsin wstała. Do tego czasu świątynne tańce dobiegły końca, adepci wychodzili przez drzwi w głębi komnaty. Strażnicy i dworzanie niepewnie wyczekiwali na następny punkt koronacyjnej ceremonii. Królowa rzuciła im przelotne, surowe spojrzenie i poprowadziła szambelana w stronę głównych drzwi, nie zwracając uwagi na konsternację zebranych możnowładców. Basifer pomyślał, że chociaż Tamsin była zapewne utalentowaną kapłanką, brakowało jej wyrobienia i znajomości obowiązków związanych z etykietą. Szambelan dziękował całemu niebu, że administracja pałacu i cesarstwa przetrwała prawie bez strat po obaleniu Tyfasa, co umożliwiała bieżące funkcjonowanie państwa i dworu. Eunuch nie miał wyboru, wyszedł na szeroki korytarz za lekceważącą dalszy przebieg uroczystości władczynią, niosącą na rękach boginię całego cesarstwa. Wszystkim dworzanom pozostało tylko w milczeniu przyglądać się wymarszowi władczyni - przynajmniej dopóki nie ucichły jej kroki.

Odprawdzana spojrzeniami wartowników i służących, Tamsin wyszła z szambelanem przez wielki przedsionek na kręcone schody, a dalej przez królewskie komnaty do własnych pokojów. Jedną z lepiej zabezpieczonych komnat - dawniej osobistą zbrojownię króla Tyfasa - przerobiono na sypialnię Tamsin. Basifer wiedział, że dokonała tego rzesza adeptów kapłaństwa i rzemieślników, bezceremonialnie zmuszonych do wykonania tej pracy przez hierarchów świątyni Ningi. Gdy Tamsin otworzyła drzwi przed szambelanem, do jego nozdrzy dotarła woń nie oleju do sprzączek i polerowanej stali, lecz aromat pachnideł. Stopy tonęły w puszystych dywanach, na tle aksamitnych draperii płonęły dyskretnie osłonięte lampki, ich blask odbijał się od kunsztownych złocen.

- Od kiedy zaczęłam czynić cuda, nauczyłam się wyszukiwać przedmioty, z

których można czerpać duchową moc - powiedziała młoda królowa, podchodząc do wysokiego sekretarzyka z ciemnego drewna, stojącego w głębi komnaty. - Nawet wszechpotężnej bogini przydaje się zawrzeć swą wolę w namacalnych talizmanach i amuletach. Ułatwia to jej zrozumieć zamysły swoich wyznawców. - Otworzyła drzwiczki sekretarzyka, gdzie było pełno lśniących i migoczących klejnotów. - Pewne rzeczy zostały obdarzone wielką mocą, dobrą lub złą, dzięki czarom odprawionym nad nimi w bliższej lub dalszej przeszłości. Sprawilo to, że moc będą zachowywać wiecznie, lecz używać ich właściwie mogą tylko ci, którzy potrafią. - Królowa wskazała szerokim gestem brosze, naszyjniki i bransolety wiszące na ściankach sekretarzyka. Wybrała jedną ozdobę i ostrożnie złożyła na otwartej dłoni. - Przedmioty mogą zyskać moc również dzięki temu, iż zostały użyte podczas jakiegoś doniosłego wydarzenia. Stają się, by tak rzec, nawiedzone. Zresztą to nieistotne. W mojej kapłańskiej praktyce wykorzystuję obydwie rodzaje talizmanów.

Podsunała pod nos Basiferowi bransoletę, i to dość zwyczajną: szereg tanich spiralnych muszelek znad morza Vilayet, nanizanych na zwykłą nić. - Mimo niepozornego wyglądu, to wyjątkowo potężny amulet, ułatwiający mi uzdrawianie - powiedziała Tamsin. - To pierwszy przedmiot, w którym skupiłam moc naszej bogini. Dzięki niemu wyleczyłam moją macochę z uporczywej nerwowej choroby - tę samą kobietę, która została arcykapłanką naszych świątynnych dziewczyc. Bransoleta przyczyniła się również do jej cudownego odmłodzenia-oczywiście, wyłącznie dzięki woli wspaniałomyślniej Ningi oraz mej miłości i trosce. - Królowa pokornie skłoniła głowę przed świętą lalką z wymalowanym tajemniczym uśmiechem. - Powinieneś docenić, szambelanie, że w pewnym sensie ta bransoleta stanowi moją najcenniejszą własność. Chciałbyś doświadczyć jej mocy?

- Wasza wysokość, ja...

Basifer nie mógł odmówić rozkazowi zawartemu w zachowaniu i słowach władczyni. W milczeniu wyciągnął otwartą dłoń, jak poleciła królowa. Ponieważ był już świadkiem jej czarów, nie zdołał powstrzymać się od dreszczu niepokoju, lecz nagle poczuł przypływ niezwyklej nadziei, gdy Tamsin położyła mu luźny sznurek muszelek - nie na jego otwartej dłoni, lecz na odsłoniętym nadgarstku.

Basifera mrowiła skóra. Spojrzał na tandetną ozdobę i stwierdził, że zaczęła lśnić błękitną poświatą, bardzo wyraźną w półmrocznym wnętrzu. Zarys muszelek nagle stał się niewyraźny i rozmyty, jakby leżały w wartko płynących, słonych wodach śródlądowego morza. W nadgarstku czuł przenikliwe, szczypiące ciepło. Zobaczył również z fascynacją i przerażeniem, jak w drobnych muszelkach pojawiają się ich pierwotni mieszkańcy: w niesamowicie świetlistych odcieniach szafranu i karmazynu morskie ślimaki z rożkami. Stworzonka pełzły po jego skórze, pozostawiając uczucie chłodu i delikatnego szczypania.

Basifer był oszołomiony, już nie zdziwił się, że łącząca muszelki nić przestała stanowić ograniczenie dla ruchów morskich żyjatek. Ruszyły wyżej po obydwóch stronach nadgarstka i na pokryte gęsią skórą przedramię. Tam, gdzie przepełzły, doznawał niesamowicie palącego, a jednocześnie kojącego odczucia.

- Gdyby przesunęły się po całym twoim ciele, wynik byłby zaiste zdumiewający - powiedziała królowa Tamsin i nagłym ruchem zdjęła talizman z ramienia szambelana. - Nie czas jednak na to teraz. Tak głębokim przemianom należy poddawać się stopniowo.

Basifer odwrócił drżącą rękę - i ujrzał, że blizny z jego nadgarstka zniknęły. Skóra stała się znów młoda i jędrna. Odczucie mrowienia ustało i Basifer miał wrażenie, że jego nadgarstek uległ odmłodzeniu. Nawet ścięgna zdawały się bardziej sprężyste i silniejsze w porównaniu z drugą ręką, noszącą ślady bicia pejcem.

- Wasza wysokość - wykrztusił z sercem bijącym jak oszalałe. Bransoleta z muszelek zadzwieczała w dłoni Tamsin. Ozdoba znów wyglądała tanio i pospolicie. Nic nie zdradzało, że zaledwie przed chwilą w niesamowity sposób ożyła.

- Pamiętaj, że nie ma takiej części ciała, której nie można by uzdrowić, ani blizny zbyt starej lub głębokiej, by cudownymi sposobami nie można było przynieść cierpiącemu ulgi, a później sprawić, by całkowicie wrócił do zdrowia - powiedziała Tamsin. Dochodzące jak przez mgłę do Basifera słowa rozbudziły w jego piersi równocześnie przypływ uczucia oddania i wierności oraz nadziei wynikającej z zasugerowanej obietnicy. - Do uzdrowienia konieczna jest tylko bezwarunkowa wiara w boginię Ningę - kontynuowała Tamsin, odkładając bransoletę na miejsce i gładząc lalkę po włosach. - Wzruszył nas twój szczyry lęk i zyskana

przed chwilą głębsza wiara. Gdyby odczuwało ją więcej osób z twojego pokolenia, mniej z nich spotkałby taki los, jak mojego ojczyma - niesłusznie zwanego Arnulfem Zacnym. Uparcie nie chciał wyrzec się wiary w dawnego boga Amaliasa. Czasy się jednak zmieniły - stwierdziła patetycznie. - Amalias należy do przeszłości. Obecnie ja i Ninga znalazłyśmy się w położeniu wyjątkowo sprzyjającym utrwaleniu i umocnieniu naszych związków z niewidzialnym światem. - Tamsin ponownie wskazała szafkę z amuletami. - Jako cesarzowa całej Brytanii zyskałam kontrolę nad dawną świątynią Amaliasa i przechowywanymi w niej relikwiami. Należy również dokonać przeglądu królewskiego skarbcza - ostatecznie mieści się pod tym właśnie dachem - by stwierdzić, które spośród zgromadzonych w nim drogocенności obdarzone są nadnaturalnymi właściwościami. Oczywiście, do tego dochodzą niezmiernie bogactwa naturalne - kopalnie w górach na wschodniej granicy. Słyszałam, że dostarczają one stale wielkich ilości złota i klejnotów. Ten relikwiarz - raz jeszcze Tamsin-wskazała wysoką szafkę ze zdobną zawartością - zawiera nieliczne amulety i talizmany, do których zdołałam dotrzeć do tej pory. Możemy liczyć, że od chwili obecnej magiczny arsenał Ningi - tak można go przecież określić - będzie się powiększać, a z nim nasza magiczna moc i doczesna świetność Cesarstwa Brytuńskiego. Musimy zebrać więcej takich prastarych talizmanów jak ten. - Położyła dłoń na ciężkim naszyjniku z matowego srebrzystego metalu, o wyjątkowo prostym wyglądzie, ozdobionym owalnym medalionem z prymitywnie oszlifowanym, nieregularnego kształtu klejnotem. - Jak mi powiedziano, pochodzi z nad wschodniej granicy, z ziem nie objętych żadnymi mapami.

- Przepraszam, wasza wysokość - przerwał czyjś głos. - Ciebie również proszę o wybaczenie, szambelanie. - Do komnaty wszedł niespodziewanie jeden z dwóch nie uzbrojonych służących, których zadaniem było strzeżenie jej zwykle otwartych drzwi. Słudze brakowało pewności siebie. Prawdopodobnie nie wiedział, jaki protokół postępowania obowiązywał w obecności nowej władczyni. - Polecono mi powiadomić wasze wysokości o spóźnionym przybyciu księcia Clewyna. - Mężczyzna w liberii obejrzał się niespokojnie na wejście. - Przyprawiono go tutaj, wasza wysokość. Czeka w przedpokoju, aż raczysz go przyjąć.

- Rozumiem. Domyślam się, że zrobiono tak zgodnie z sugestią szambelana?

Po kornym skinieniu głowy służącego Tamsin odwróciła się do Basifera, nadal wytraconego z równowagi wstrząsającym przeżyciem.

- Tak, wasza wysokość. Pozwoliłem sobie...

- Bardzo dobrze. Wprowadźcie go. - Tamsin zbyła służącego niecierpliwym gestem dłoni i przemówiła do lalki: - Zobaczmy, Ningo, jak przystojny jest w rzeczywistości ten dworski kawaler. Być może i jego zaciekawi nasza kolekcja ozdób.

Do Basifera dotarło, że w głosie władczyni pobrzmiwa irytacja.

Po krótkim zamieszaniu za drzwiami do środka w towarzystwie służącego wszedł szczupły mężczyzna w krótkiej podróżnej pelerynie i berecie z piórem. Młodziutka królowa nie od razu odwróciła się, by go przywitać. Jeszcze przez chwilę przybierała wystudiowaną pozę, jak gdyby wiodła dyskusję z nie mogącym zebrać myśli Basiferem. Kiedy wreszcie obejrzała się, na jej dziewczęcej twarzy pojawił się zdumiewający wyraz władczego chłodu. Na widok nowo przybyłego natychmiast w jej spojrzeniu pojawiła się ciekawość. Patrzyła na gościa, który szybko zrobił dwa kroki, powoli przyklęknął, ujął wyciągniętą dłoń królowej i kornie ją ucałował.

- Książę Clewyn, wasza wysokość! - oznajmił paź. Szlachcic był drobnej budowy, dworski strój nie mógł ukryć jego nader zaawansowanego wieku. Jego arystokratyczną twarz pokrywało mnóstwo zmarszczek; twarz okalały srebrzyste włosy i spiczasta broda. Clewyn miał zdrowe zęby, a jego oblicze nadal wyglądało zdecydowanie, dostojnie. Ukłon był szarmancki, a uśmiech - wzbudzający zaufanie. - O pani, Brytunia nigdy nie znała piękniejszej władczyni - powiedział, prostując się. - Nawet w osobie zmarłej przed pięćdziesięciu laty mojej ciotecznej babki, królowej Lidity! - Całując wciąż dłoń królowej, Clewyn oświadczył: - Królowo i arcykapłanko, przysięgam ci wieczną miłość i oddanie! - Minimalnie zmrużył bystre oczy i przeniósł spojrzenie na lalkę. - I najwyższej jedynej prawdziwej bogini Nindze! - Przytknął rytualnym gestem dłoń do czoła, rzuciwszy na chwilę królowej spojrzenie, w którym czaił się uśmiech, po czym ponownie przypadł na kolano w wyrazie czci dla obdarzanej uwielbieniem zabawki. - Wasza boska wysokość, opowieści o tobie nie oddawały całej prawdy.

- Książę... Clewyn, tak się zowiesz? - zapytała młoda władczyni z

zaciekawieniem i niezwykłą uprzejmością. - Ninga i ja słyszałyśmy o tobie, chociaż nie zajmowałyśmy się zdobywaniem wiedzy o dworze dawnego monarchy. Nie spodziewałam się...

- Mojego podeszłego wieku, czyż tak? I mej pokory? - Clewyn serdecznie objął pomarszczonymi dłońmi rękę królowej. - Nie miej sobie tego za złe, pani. To, iż dożyłem tak sędziwego wieku w cesarstwie, jest przede wszystkim rezultatem skromności i unikania rozgłosu. Czasami musiałem udawać niewidzialnego, zwłaszcza za panowania poprzednika waszej wysokości, Tyfasa o ciężkiej ręce. Skoro jednak rządy objęła bardziej oświecona i pobożna władczyni, o wiele bardziej umiłowana przez poddanych, w mym sercu odezwało się marzenie, że mógłbym odzyskać godne mojej osoby miejsce na sargosańskim dworze. Droga królowo, ujrawszy na własne oczy twą dostojną osobę - i chwałę naszej boskiej opiekunki Ningi - o niczym nie marzę bardziej, niż o możliwości przebywania w bijącym od twej osoby boskim blasku, i oczywiście służeniu cesarstwu owocami moich podróży i doświadczeń. Pragnę nade wszystko spędzić moje ostatnie lata w twym cieniu, w ukochanej stolicy mojej młodości. Chciałbym dostąpić tego zaszczytu, oczywiście pod warunkiem, że nie będzie się to wiązać z najmniejszą niedogodnością czy troską mojej królowej. Wasza cesarska wysokość, racz przyjąć mój korny hołd i zapewnienie, iż gotów jestem dołożyć wszystkich sił do spełniania twej woli...

Mimo kwiecistości przemowy Clewyn mówił szczerze. Nie spuszczał wzroku z władczyni, równocześnie lekko gładził jej dłoń.

- Hm. Tak, oczywiście, dzielny książę, skoro sobie tego życzysz. - Królowa Tamsin nie zwlekała z wyrażeniem zgody, chociaż brakowało przy tym rumieńca i przyspieszonego oddechu, jakie korne pochlebstwa Clewyna wywołałyby u wielu innych władczyń. - Wiem, że niektórzy obawiają się przebywać w naszym towarzystwie. Lękają się szybkiej, przenikliwej oceny naszej bogini i wymierzanych przez nią zdecydowanych, drastycznych sądów... Prawda, Ningo? - zwróciła się do lalki na ręce. - Twoja prośba przynosi ci zaszczyt, książę. Basiferze, tobie również należy się uznanie za wcześniejsze wstawiennictwo za księciem.

- Najserdeczniejsze dzięki, wasza wysokość. - Wciąż nie mogący dojść do siebie szambelan w milczeniu przysłuchiwał się dotychczasowej rozmowie Clewyna i Tamsin, jednak jego odpowiedź świadczyła o przyływie otuchy.

- Drogi książę, właśnie wyjaśniałam szambelanowi nieocenioną wartość talizmanów i amuletów, zwłaszcza dla osób potrafiących wykorzystywać ich magiczną moc. - Ujawszy Clewyna za rękę, Tamsin poprowadziła go tak, iż stanął obok Basifera. - Chciałabym zwrócić twoją uwagę na zupełnie wyjątkowy przedmiot. Być może przyda się tu twoja znajomość świata, książę. - Królowa wyjęła z palców szambelana osobliwy medalion. - Nie wiadomo, gdzie go wykonano. Czy kiedyś widziałeś coś podobnego?

- Hm... Tak, wasza wysokość. - Clewyn skinął niepewnie głową. - Tego rodzaju robotę widywano tu sporadycznie w przeszłości, zwykle przy wożoną przez kupców lub jako dar dla cesarza. Naszyjnik wygląda jednak na bardzo pospolity i prymitywny w porównaniu z klejnotami zdobiacymi waszą wysokość.

- Ninga powiedziała mi, że jest bardzo stary - odparła Tamsin. - Ja również wyczuwam w nim pierwotną moc, chociaż bogini nie ujawniła mi jeszcze, jak ją wykorzystać. - Królowa ujęła medalion w palce zmysłowym ruchem. - Powiedziano mi, że trafił tu ze wschodnich marchii. Być może pochodzi ze starożytnego skarbcza lub odkupiono go od mieszkańców tamtejszych ziem. - Przewiesiła ozdobę przez szczupłą rękę. - Naszą wola jest przeczesać kraj w poszukiwaniu takich osobliwości, by świątynia Ningi zyskała na potęgę.

Clewyn pokiwał głową.

- Są ludzie, a przynajmniej byli za panowania twojego poprzednika, którzy potrafili zorganizować wyprawę do każdego zakątka cesarstwa, nieważne jak odległego.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Tamsin odwróciła się do drugiego poddanego. - Szambelanie, wspomóżesz mnie w tym zamierzeniu? Z oddaniem, bo tak sobie życzę, i bez zbytecznego oglądania się na koszty?

Basifer przypadł na kolano i schylił czoło ku posadzce w wyrazie bezgranicznego posłuszeństwa.

- Przysięgam, że zrobię wszystko dla brytuńskiej królowej i większej chwały jej bogini!

## Okrucieństwa losu

Łoś zatrzymał się po biegu. Boki unosiły mu się gwałtownie z wyczerpania, poranny chłód sprawiał, że z szerokich nozdrzy buchały kłęby pary. Zwierzę obróciło wielki łeb, ozdobiony majestatyczną parą rozłożystych rogów, ubrudzonych mchem, i rozejrzało się po polanie za prześladowcami. Niewielka otwarta przestrzeń była jednak pusta, również po przeciwnej stronie pod drzewami panował całkowity bezruch.

Nagle spoza zielonej zasłony w stronę łosia pomknęło długie drzewce. Kamienny grot ściał po drodze parę liści. Włócznia wymierzona została jednak zbyt nisko, utkwiała w trawie między kopytami łosia. Zwierzę zerwało się natychmiast z miejsca, skoczyło wysoko i zniknęło w zaroślach. Przez chwilę słychać było jeszcze trzaskanie łamanych gałązek.

- Marny rzut, Conanie! - zawołał Jad, wypadając na polankę. - Nie nauczyłeś się jeszcze używać miotacza do włóczni.

- Tak, Targoka! Spod drzew nie możesz cisnąć jej tak wysoko, by daleko poleciała - przyłączył się Aklak. Swój komentarz przerywał co parę słów głębokim nabieraniem powietrza. - Nadwerężysz sobie ramię, jeżeli będziesz rzucał płasko włócznię na taką odległość.

Conan zatoczył łuk na polance i wyrwał dzidę z ziemi. Przyśpieszył kroku, by dogonić swoich towarzyszy. Po drodze przygotował włócznię do użycia tak jak oni - zatknął koniec drzewca w zagłębienie kołka o rozszerzonym końcu. Broń i miotacz trzymał w jednej ręce, wetknąwszy palec wskazujący między drzewce i kołek, a pozostałe zacisnąwszy na miotaczu. W każdej chwili mógł błyskawicznie odchylić ramię w tył i cisnąć włócznią. Miotacz zwielokrotniał siłę rzutu, dzięki czemu broń rozpoczynała lot z o wiele większą prędkością niż rzucona w zwykły sposób.

- Zobaczcie, łoś biegnie na północ, ku urwiskom! - zawołał jeden z młodszych myśliwych, odkrywszy trop zwierzęcia w rozpadlinie między skalistymi zboczami. - Mówiłem ci, Aklak, że powinieneś być pozwolić nam otoczyć go, a nie rzucać się w pogoń!

- Tak byłoby najlepiej - zgodziła się młoda tropicielka. - Mądry myśliwy zawsze zaczyna się na zwierzynę, pozwalając, by inni nagonili mu ją przed włócznię.

- Może i tak - przyznał cierpliwie Aklak. - Gdyby nawet wam się to udało, czy zdołalibyście zatrzymać tego łosia? Jedynie silny łowca może zmierzyć się z wielkim, wystraszoną rogaczem, zwłaszcza takim, który nie jest ani wyczerpany biegiem, ani ranny.

Atupan nadal jeszcze był zaspany, choć teraz on i towarzysze nie biegli z całych sił. Wiedzieli, że łoś może biec bardzo szybko jedynie na krótkich odcinkach i jeśli tylko nie stracą tropu, dopadną go. Szansę powodzenia zwiększało również to, iż polowali w grupie.

- Przeklęty, złośliwy zwierz! - oświadczył Jad, wspinając się po zasłanym kamieniami stoku. - Zmęczy nas podwójnie. Nie dosyć, że musimy go gonić, to jeszcze pozostanie nam nieść go całą tę drogę z powrotem do obozu!

- Cicho! - syknął w chwilę później Aklak. - Łoś skrył się w tamtej kępie krzewów! Musi tam być, inaczej zobaczylibyśmy go nad nią.

Conan przyznał w duchu, że Atupan ma rację. Skalisty stok za zarośniętym zagłębieniem wznosił się nierównymi tarasami, był jednak wystarczająco płaski, by nie mógł się na nim skryć wielki rogacz. Łoś na pewno schował się w kępie zarośli; być może nawet szykował się do próby wzięcia na rogi swoich prześladowców.

- Wspaniale! Powinniśmy go otoczyć!

Gibka młoda łowczyni, nie czekając na przytaknięcie przywódcy łowów, ruszyła wokół skraju zagłębienia. Na znak Aklaka Jad i drugi młody zapaleniec podążyli za nią. Conan i brat Songi pobiegli tymczasem w przeciwną stronę, ku bardziej stromej części zbocza.

- Ostrożnie, Conanie. Niech zajmą odpowiednie miejsca. I nie rzucaj włócznią we wszystko, co się poruszy, bo trafisz jeszcze w kogoś w naszych myśliwych!

Na ugiętych nogach Aklak przemykał przed Cymmerianinem przez krzewy. Rozglądał się bacznie, gdy tylko docierał do rzadziej zarośniętych miejsc.

Wychylał się przy tym zza krzaków lub pni, by tropione zwierzę nie mogło dojrzeć jego sylwetki na tle nieba. Conan nie dorównywał Atupanowi myśliwskim kunsztem, zachowywał się jednak podobnie. Starał się śledzić Jada, by wiedzieć, kiedy utworzy się półkole łowców. Z początku byli rozstawieni w znacznych odstępach, skracających się jednak w miarę, jak zdążali ku środkowi.

Cymmerianin i Aklak dotarli do podstawy majaczącego za drzewami skalistego zbocza, gdy Conan dał znak Atupanowi machnięciem dłoni. Wyciągnięta ręką wskazał widoczną blisko pięćdziesiąt kroków od nich parę rogów. Okazało się, że odpoczywający łoś skubał spokojnie liście, jakby uznał, że zgubił pościg.

Cymmerianin poprawił w dłoni włócznię i odwiódł ramię w tył. Aklak uniósł rękę i znieruchomiał. Przez chwilę trwał w bezruchu, starając się zorientować w położeniu pozostałych tropicieli. Wreszcie skinął głową, przygotował się do rzutu podobnie jak Conan i zaczął biec miarowymi, spokojnymi susami. Cymmerianin podążył jego śladem. Po chwili obydwie włócznie wyleciały z drewnianych dźwigni, mknąc między drzewami po stopniowo zbiegających się torach.

Jedna utkwiała w boku pasącego się zwierzęcia; druga upadła na murawę przed nim. Łoś zbyt późno odskoczył, ciśnięta przez Jada trzecia włócznia ześlizgnęła się po jego grzbiecie. Zadała jednak ranę, o czym świadczyła strużka tryskającej krwi. Łoś jednak na powrót zniknął w zaroślach.

Podczas gdy para młodych myśliwych tańczyła, dając upust swojej radości, dwaj pozostali podeszli do leżącej na trawie włóczni. Sięgnął po nią Aklak.

- Moja - oświadczył poważnie. - Rzuciłeś lepiej ode mnie, Conanie.

- Dzięki twoim doskonałym naukom, bracie. - Conan podniósł włócznię Jada i przyjrzał się jej zakrawionemu grotowi, po chwili odrzucił ją niedbale młodemu łowcy. - Muszę użyć toporka - powiedział, wyjmując go z pętli przy pasie i zatykając na to miejsce niepotrzebny już miotacz.

Trójka myśliwych podjęła pościg za rannym zwierzęciem. Nikłe odgłosy z gęstwiny świadczyły jednoznacznie, że parze młodszych łowców nie udało się zapobiec ucieczce łośa. Trop zwierzęcia stał się jednak wyraźniejszy - były to ślady rozmazanych plam krwi na liściach i leśnym poszyciu. Co jakiś czas myśliwych dobiegały od strony zbocza nierówne odgłosy kopyt tracącego siły zwierzęcia. Conan sądził, że grot włóczni nie ugrzązł głęboko w boku łośa, mimo to zadawał mu ból i utrudniał bieg. Barbarzyńca czuł pragnienie, by skończyć jego cierpienia. Krzycząc co sił - Ki-jaa! Ki-jii! - by przestraszyć zwierzę i przywołać towarzyszy, myśliwi dotarli do odkrytej części stoku. Krople krwi były wyraźne na pasie granitowych głazów. Świadczyło to o rozpaczliwych wysiłkach łośa, by oderwać się od prześladowców. Conan wysforował się naprzód, zdyszany Aklak biegł tuż za nim, jednak znajdował dość sił, by wykrzykiwać dalsze instrukcje:

- Pamiętaj, Conanie, gdy zwierzę zwali się z nóg lub zaatakuje, odsuń się na bok, by nie utrudniać mi rzutu!

Dotarli do zaokrąglonych granitowych półek. Wyraźnie widzieli pnącego się z wysiłkiem łośa. Jego kopyta ślizgały się na kamieniach, chude nogi wyglądały równie krucho jak wciąż sterczące z boku drzewce. Ale zanim gnający co sił myśliwi zdołali go dopaść, znękanego zwierzę zdążyło ponownie zniknąć za szczytem wzniesienia.

Parę chwil później Cymmerianin i Atupanie dotarli na wierzchołek. Byli gotowi do użycia broni... ich ofiara jednak zniknęła. Przed nimi rozpościerał się obszerny skalny występ o stromych zboczach. Nie było tu ani miejsca na kryjówkę, ani drogi ucieczki. W środku zapadliska znajdował się płytki staw. Na wyschniętych, spękanych brzegach nie widać było żadnych śladów. Zdawało się niemożliwe, by ranny łoś zdołał tak szybko wymknąć się tropiącym ludziom, lecz prócz kropel świeżej krwi na brzegu zagłębienia brak było innych śladów.

- Widziałem już coś podobnego. - Conan przystanął nad plamą krwi, uważnie rozglądając się po skalnym kręgu.

- Wszystkie znaki świadczą, że polowanie się skończyło. Człowiekowi nie jest dane dopaść niektórych zwierząt - stwierdził z rezygnacją Aklak, oparłszy koniec włóczni o kamień.

- Skoro taka jest wola wielkich duchów - przytaknęła z niechęcią młoda tropicielka.

- Możliwe - rzekł Conan. - Ja jednak zamierzam odzyskać swoją włócznię.

- Ruszył po kamieniach w stronę, gdzie na skraju zagłębienia widniała pojedyncza kropla krwi. - Możecie tu zostać, jeżeli chcecie.

- Nie, rzeczny człowieku! - Łowczyni potrząsając włócznią poszła nim. - Pomogę ci wykraść duchom naszego łośia, nawet jeśli trafił w łapy Wielkiego Borsuka!

- Idę z wami! - zakrzyknął Jad. - Biegłem zbyt długo, by wracać z pustymi rękami. Co powiesz, Aklak? A może boisz się, że znów nie trafisz? Aklak zmarszczył z namysłem czoło. - Chodźmy! - odparł, nagle podejmując decyzję. - Mam dość tej tajemnicy.

Skradający się przodem Cymmerianin dotarł pierwszy do skraju skalnej misy. Przez chwilę widok w dół zasłaniała mu pozioma półka, na której rosło parę drzewek i krzewów. W końcu ujrzał jednak coś, co zjeżyło mu włosy na karku.

W zagłębieniu pod skałą gigantyczny górski kot łapczywie pożerał bezwładne ciało łośia. Prawdopodobnie pochwycił go już na szczycie wzniesienia i w paru susach zwlókł na dół. Zwierzę miało srebrzystą, siwo nakrapianą sierść i zgarbiony, masywny grzbiet sprawiający, że zdawał się większy od swojej ofiary. Kulisty koci łeb ze szcoteckami sierści na końcach uszu, łukowatymi wypukłościami nad ślepiami, skrwawionymi wąsami i zaślinioną, cofniętą żuchwą budził grozę. Każdy szczegół paszczy bestii zdawał być wyolbrzymiony; uwagę przykuwała para zakrzywionych kłów, długością dorównujących zamorańskim szablom. Olbrzymi kot wyszarpywał połcie lśniącego mięsa z udźców łośia. Z rozprutego brzucha martwego zwierzęcia wylewały się parujące trzewia.

Na widok Cymmerianina kot tylko na chwilę oderwał się od pożerania łośia. Jedynie zjeżona sierść na jego grzbiecie i nieznaczna zmiana pozycji świadczyła, że zdaje sobie sprawę z obecności ludzi. Stwór jednak nie raczył poświęcać im zbyt wiele uwagi, jak gdyby uznał, że nie stanowią poważnego zagrożenia oraz nie są atrakcyjnymi kąskami.

Conan nie wiedział, jak ma postąpić wobec natknięcia się na coś, co przywodziło na myśl bóstwo albo demona. Przez parę chwil przepełniały go podziw i przesadna trwoga. Wreszcie jednak zdecydowanym ruchem wyprostował rękę i cisnął włócznią wprost w bestię. Doskonale wymierzona broń powinna trafić wprost w serce, lecz kot z piekielną szybkością odtrącił włócznię, zanim sięgnęła jego żeber.

Cymmerianin zacisnął dłoń silniej na toporku i obejrzał się na Aklaka, który pozbawionym wyrazu wzrokiem patrzył, jak włócznia Conana roztrzaskuje się o skały. W spojrzeniu Atupana czaiła się przesadna niewiara. Moment wcześniej trójka młodych myśliwych uniosła już włócznie w górę do wiwatowania, lecz na widok tego, co się stało, czym prędzej zacisnęli na nich dłonie.

Chwilę potem na refleksje było już za późno. Wielki kot oderwał się od skrwawionej ofiary i rzucił między myśliwych.

Conan pierwszy ruszył do ataku. Zamierzył się toporkiem w ogromny łeb. Piekielna szybkość bestii sprawiła jednak, że broń osunęła się tylko po sierści, ścinając parę sztywnych wąsów. Wielki kot powalił w pędzie Cymmerianina na ziemię.

Pozbawiony tchu barbarzyńca czuł, jak skórę szoruje mu sztywna sierść bestii i ostre odłamki granitu. Zerwał się na równe nogi, łapiąc pośpiesznie oddech. W oszołomieniu poczuł się bezradny w walce. Mniejsi przedstawiciele tego gatunku zazwyczaj robili skok, by spaść na ofiarę z góry, rozszarpać ją pazurami i kłami. Ta bestia jednak okrażała powoli i złowieszczo, by w jednej chwili przypaść ze śmiertelną skutecznością. Pierwsza powalona została młoda łowczyni, jednym ciosem potężnej łapy kot wytrącił jej włócznię. Uderzenie złamało dziewczynie kark; skąpana we własnej krwi, runęła bezwładnie na ziemię.

Drugi z myśliwych, Jad, skoczył w stronę bestii z boku, mierząc włócznią w kark. Niesamowicie zwinny kot przywarł do ziemi i gniewnie zarzucił włochoatym łbem. Jad zatoczył się w tył, wypuścił włócznię z rąk i daremnie starał się zacisnąć straszliwą dziurę w brzuchu, rozprutą kłem kota.

Gdy wijący się z bólu Jad opadał na kolana, jego towarzysza spotkał podobny los. Zanim zdołał wystawić włócznię do pchnięcia, kot skoczył w bok, sięgając ku niemu wielkim łbem z ledwie rozchyloną paszczą. Długie kły rozplątały ciało młodzieńca skuteczniej, niż dokonałby tego zakrzywiony miecz hyrkańskiego jeźdźca. Jeden z kłów widocznie dosięgnął serca łowcy, gdyż w odróżnieniu od kłęczącego na ziemi, jęczącego Jada, myśliwy zważył się bezgłośnie z nóg.

Odzyskawszy dech i siły, Conan ciał z wściekłością toporkiem w najbliższą część ciała bestii, zadnią łapę. Poczuł, że kamienne ostrze ześlizgnęło się, cios był jednak bolesny. Kot chlasnął ogonem, trafił

Cymmerianina w szyję, o mało nie zwalając go z nóg. Conan odskoczył w bok, nim wielki kot zdążył odwrócić się i zadać cios przednią łapą. Zakrzywione pazury sięgnęły jednak długich włosów barbarzyńcy, który zatoczył się od potężnego szarpnięcia, po twarzy pociekła mu krew - nie był pewien, czy nie jego własna.

Gdy walczył o odzyskanie równowagi, rozpaczliwe sieknięcia Jada nagle ustały. Aklak skrócił męczarnie towarzysza łowów ciężkim kamiennym toporkiem, jak nakazywały atupańskie obyczaje. Natychmiast potem odwrócił się, by stawić czoło szarżującemu kotu. Nie miał czasu na unik ani na odskok. Jediną szansą było zadanie celnego uderzenia. Toporek łowcy zabłysnął w promieniach słońca i opadł gwałtownie w stronę spiczastego ucha - lecz rozminął się z celem. Moment później szyja Atupana zniknęła w szeroko rozwartych szczękach. Tak wielka była siła mięśni bestii, że jedno kłapięcie szczęki wystarczyło do odgryzienia głowy Aklaka.

Na poły oślepy od krwi i wściekłości Conan nawet nie pomyślał o próbie ucieczki. Był pewien, że nie przeżyje spotkania z olbrzymim kotem, że jego śmierć jest przesądzona. Rzucając się po raz drugi w stronę bestii chciał jedynie zadać jej jak najpoważniejsze rany. Uniósł oburącz toporek, zamierzając uderzyć w dolną część kręgosłupa. Zanim jednak zdołał zadać cios, potwór odwrócił się w jego stronę, szczerząc rozwartą na całą szerokość koszmarną paszczę.

Łeb bestii przypominał obraz rodem z piekła, był ucieleśnieniem tępej wściekłości i potwornego głodu. Upiorne, wytrzeszczone ślepia i ociekające krwią kły stanowiły widok równie przytłaczający, jak uścisk jego łap. Cymmerianina otoczył piżmowy smród, poczuł na twarzy gorący od krwi padliny oddech, gdy zwierzę zaryczyło z głębi gardła. Ogarnięty trwogą barbarzyńca miał wrażenie, że kot spowolnił ruchy, jakby chciał uśmiercić go samym spojrzeniem. Conan ruszył ręką prawie bez własnej woli i wbił kamienny obuch na sztorc w rozdziawione szczęki i ociekającymi krwią kłami.

Ryk bestii zamienił się we wściekłe charczenie, gdy nadaremnie usiłowała zamknąć paszczę. Rozwarte do oporu szczęki nie mogły zadziałać z pełną siłą. Kamień wrył się w różowe podniebienie i wyszczerbił ostre zęby. Kot uniósł łapę, chcąc wytrącić rozpychający mu paszczę obuch, lecz uniemożliwiały mu to długie kły. Trząsał wielkim łbem, starając się wypchnąć zawadę nabrzmiałym, szorstkim językiem.

Conan tymczasem szukał dookoła siebie broni. Znalazł lepka od krwi swoją włócznię, która wysunęła się z boku łościa. Miał trudności z zaciśnięciem dłoni na śliskim drzewcu, lecz wreszcie zdołał wystawić ją przed siebie, nim bestia zdołała wypluć toporek, odwrócić się i rzucić w jego stronę z ogłuszającym rykiem.

Pionowo sterczący głaz uniemożliwiał Conanowi odwrót. Wykorzystał to jednak, wbijając koniec drzewca u jego podstawy. Grot broni trafił nacierającą bestię dokładnie w środek piersi. Nie wypuszczając drzewca z rąk, Cymmerianin osunął się na ziemię, by uniknąć sięgających ku niemu zakrzywionych pazurów.

Włócznia ugięła się i przesunęła w bok pod ciężarem cielska. Gdy się w końcu złamała, olbrzymie, wijące się zwierzę przygniotło Cymmerianina do twardych kamieni. Conan poczuł, że umiera. Gdy wygrzebał się spod nieżywej bestii, słońce zniżało się już ku zachodowi. Najpierw zdołał wysunąć się spod jej cielska tylko na tyle, iż miał wolną klatkę piersiową. Dzięki temu zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Dalej poszło już łatwiej. W miarę jak stopniowo wyczołgiwał się spod martwego kota, zdał sobie sprawę, że grot musiał utknąć w sercu. Utracony koniec drzewca sterczał równo ze sztywnej, srebrzystej sierści.

Conan stwierdził, że może chodzić, choć kuleje. Nie został na miejscu, by odegnąć kołujące sępy, pogrzebać zabitych czy choćby ustalić, jak wiele z zakrzepłej na nim krwi wypłynęło właśnie z niego. Gdyby sam zginął, nie byłoby większej straty i stanowiłoby bardziej sprawiedliwy koniec - wszak odpowiadał za tę tragedię. Nakłonił Atupanów do kontynuowania łowów i okazał nieposłuszeństwo przywódcy polowania. Jak mógł przyznać się przed Songą, że to właśnie on, Conan, doprowadził do śmierci jej ukochanego brata?

Z wysiłkiem ruszył w powrotną drogę. Nie chciał się zatrzymywać, pragnął bowiem dotrzeć jak najdalej przed zapadnięciem ciemności. Bał się również, że jeżeli położy się chociaż na chwilę, nie zdoła już podnieść się z ziemi. Mimo to noc zapadła, zanim dotarł do znajomych okolic. Między zachodem słońca a wschodem księżycy zdążył kilkakrotnie zgubić drogę. Jego bólowi, wysiłkowi i ciemnościom

towarzyszyły równie mroczne rozmyślania. To, co zastał w wiosce, okazało się jednak jeszcze gorsze.

Gdy dotarł wreszcie do piaszczystej, porośniętej trawami polany, stwierdził, że w obozowisku nie płonie ani jedno ognisko. Światło dawał tylko blask wiszącego nad stawem półksiężyca, odbijający się w lekko pofalowanej od wieczornego powiewu wodzie. Do Conana dotarła silna woń dymu oraz kwaśny odór zwęglonych skór, włosów i drewna. Gdy znalazł się bliżej, ujrzał, że szałas spłonęły, a ich zgliszcza tła się jeszcze tu i ówdzie. Ziemię zaścielewały trupy członków plemienia. Mieli niewielkie rany, jednoznacznie świadczące o tym, że śmierć ponieśli z rąk ludzi.

W ciele jednego ze starców Conan znalazł na pół złamany śmiercionośny pocisk. Przyjrawszy się mu w blasku księżyca stwierdził, że jest to długa, nieźle wykonana strzała. Lotki przywiązano pleciana nicią, ostry grot wykuto z lśniącej stali.

Pobieżny rachunek mówił, że wszyscy lub prawie wszyscy członkowie plemienia zginęli od strzał lub ostrych, metalowych noży. Ciało kobiet, mężczyzn i dzieci było około czterdziestu. Atupanie najwyraźniej zostali okrażeni lub najpierw przywitani z podstępą uprzejmością, a później zmasakrowani za pomocą broni, jakiej nigdy wcześniej nie widzieli.

Cymmerianin znalazł matkę Songi, zaciskającą wciąż w martwej dłoni drewnianą pałkę, i kulawego Glubala, który leżał na swojej myśliwskiej włóczni. Atupanie dzielnie się bronili lub przynajmniej próbowali to robić. Nic im to jednak nie dało. Znamienny był brak jakiegokolwiek martwego napastnika. Nie było też żadnych śladów pozwalających odgadnąć, kim byli zabójcy.

Bez śladu zniknęła również Songa.

Conan musiał wstrzymać się do rana, by dokładniej obejrzeć zgliszcza wioski, chociaż trawiła go paląca żądza ruszenia w pościg za mordercami. W nocy miał zresztą niewielkie szansę trafienia na ich trop. Na razie ze zdwojoną czujnością zawrócił ukradkiem pod osłonę lasu. Przesiedział tam do świtu, zmarznięty i nawiedzany przez posępne, milczące duchy.

Gdy o brzasku wrócił do wioski, nikt nie odpowiadał na jego wołania. Nie powróciła również Songa. Przyglądając się ciałom pomordowanych mieszkańców, Conan odkrył fakt o wyjątkowym znaczeniu. Wioski nie splądrowano; zrabowano tylko jedyne ozdoby, którymi szczylicili się niemal wszyscy Atupanie - zabrane ze zrujnowanej wieży osobliwe prastare amulety, wręczane przed wyruszeniem na pierwsze polowanie. Tego samego rodzaju, jak wiszący na biodrach Conana zakurzony i pokryty zaschniętą krwią pas.

Wyglądało na to, że lud Songi został wymordowany właśnie dla tych bezwartościowych błyskotek. Pozostawało jednak pytanie, gdzie szukać dziewczyny.

Cymmerianin nie miał pojęcia, skąd przybyli mordercy, wiedział jednak, że duża grupa przybyszów musiała pozostawić za sobą ślady. Dotyczyło to wszystkich, a zwłaszcza przybyszów z cywilizowanych okolic. Nawet przy słabym blasku świtu odszukanie tropu przyszło Conanowi bez trudu.

Zostawione przez morderców ślady były tak wyraźne, że wręcz urągały puszczy i jej duchom. Przybysze miażdżyli buciorami trawy i zioła, bezmyślnie ryli nożami w korze drzew, deptali po własnych odchodach. Posuwali się zwartym orszakiem, zostawiając za sobą wyraźny pas zniszczonej roślinności. Cymmerianin odczytywał ze śladów prostactwo zostawiających je ludzi; co więcej, miał wrażenie, że w nozdrzach znów czuje wstrętny odór cywilizacji. Przed wyruszeniem szybko wykopał się w stawie. Trawiony gniewem, zmył z obolałego ciała krew kota olbrzymiego, towarzyszy polowania i niewinnych Atupanów. Szybko natarł się barwną gliną, kreśląc na twarzy i piersiach rytualne pasy, oznaczające ruszenie na wielkie polowanie. Skapo odziany, jak nakazywał obyczaj jego klanu, ruszył biegiem, dzwigając ciężką włócznię i kamienny toporek Songi. Zostawiał za sobą spaloną wioskę i obsiadane przez muchy i sępy ciała jako ostrzeżenie dla innych.

Trop najeźdźców prowadził na pomocny zachód, w stronę wzgórz nad rzeką i terenów letnich łowów Atupanów. Mordercy maszerowali spiesźnie, bez odpoczynku, najwidoczniej obawiali się odwetu ze strony pozostałych przy życiu mieszkańców wioski lub sąsiednich plemion. Oczywiście było również, że przybyli tu w określonym celu, pod czymś dowództwem. Ich drogę znaczyły ogonki suszonych fig i okruchy jęczmiennych placków. Próbowali też polować, lecz bez większego sukcesu, o czym świadczyła niewielka liczba kości pomniejszych zwierząt, pozostawiona przy obozowisku z ubiegłej nocy.

Na brzegu strumienia Conan znalazł trop, cenniejszy dla niego niż złoty

diadem: odcisnięty w wilgotnej glinie ślad zgrabnej stopy. Songa żyła; Cymmerianin domyślał się, że mordercy zmusili ją, by doprowadziła ich do starej wieży.

Conan ruszył dalej, podwajając tempo. Nie zatrzymywał się, nawet by zdobyć pożywienie. Nie czując sińców i ran, biegł, by nadrobić dzień drogi, dzielący go od nieprzyjaciół. Wyszukiwał dogodny skrót i zboczył z drogi tylko po to, by dla rozeznania wspiąć się na wyniosłości dające dogodny widok. Nadrabiał dystans również dzięki temu, że Songa kilkakrotnie skręcała z właściwej drogi, starając się prowadzić porywaczy w kółko.

Dowódca najeźdźców był jednak czujny i orientował się w jej podstępach. Niewątpliwie bił Songę, by wymusić na niej posłuszeństwo. Mimo to dziewczyna powtarzała próbę kluczenia wiedząc, że Conan ruszy jej śladem. Bez wątplenia spodziewała się, że towarzyszyć mu będą Aklak i pozostali łowcy. Cymmerianin raz po raz przeklinał okrutny los - i własną głupotę - przez które zginęli jego towarzysze.

Doszedł do wniosku, iż najlepiej postąpi, jeżeli podkradnie się do obozu morderców i odbije Songę, zostawiając resztę przy życiu - przynajmniej narazić. Dziewczyna miała przyjaciół wśród innych plemion. Pokrewne plemiona Atupanów mogły zorganizować wojenną wyprawę, pomścić pomordowanych rodaków i podjąć na nowo spokojny żywot. Cymmerianin musiał jednak najpierw dogonić porywaczy Songi. Ich nie znany dowódca narzucał ostre tempo marszu, najwyraźniej nie licząc się w ogóle ze swoimi ludźmi. Część śladów świadczyła, że zostawiający je mężczyźni kuleją, na niektórych odciskach stóp znajdowały się plamy krwi.

Conan dogonił morderców przed zmierzchem, u stóp prastarej wieży, która - jak przewidywał - stanowiła cel ich wędrówki. Ścięte jesiennym chłodem, oplatające mury pnącza były pożółkłe i zeschnięte; szeleściły przy powiewach wiatru. Trawę zaścielały suche liście, co utrudniało bezgłośnie podkradanie się do ruin. Gymmerianin podpełzł jednak niepostrzeżenie spory odcinek drogi, dzielący go od zagrzebanego w ziemi wejścia. Wówczas dostrzegł pierwszych nieprzyjaciół.

Większość najwidoczniej poszukiwała już skarbów we wnętrzu wieży. Przy rozpadającym się wejściu pozostawiono jednak dwóch wartowników. Nie nosili zbroi ani uniformów. Odziani w byle jak zszyte spodnie ze skór i luźne, tkane koszule, wyglądali na pospolitych rabusiów z pogranicza. Powodem do dumy jednego z nich zdawała się futrzana czapa i źle wyprawione miejskie buty. Conan pamiętał, że odciski tych butów były zawsze na końcu grupy. Drugi nosił za duże buty na wysokich koturnach i wyleniała futrzaną kamizelkę. Ten z kolei pozostawiał ślady w postaci kęp butwiejącego włosa na krzakach.

Dwaj strażnicy stali nieruchomo z zatkniętymi w ziemię halabardami. Od czasu do czasu mówili do siebie w pospolitym brytuńskim dialekcie. Trudno byłoby uznać, że są czujni. Sprawiali raczej wrażenie przepełnionych lękiem czy też ponurą fascynacją. Gdy Conan podpełznął bliżej, zrozumiał motywy ich zachowania. W trawie pod wieżą leżał rząd martwych ciał. Dwóch mężczyzn ze zgruchotanymi czaszkami, odzianych w marne stroje, byli to bez wątplenia kamraci tych przy wejściu. Trzecia była Songa. Ciało dziewczyny bielało w zapadającym zmierzchu, przez co tym wyraźniej widać było krew z kilku ran zadanych strzałami.

- Prawdziwa diablica - powiedział wartownik w miejskich butach i czapie. - Przez całą drogę zachowywała się cicho jak mysz, ale była szczwana jak lisica, bez dwóch zdań! - Temat najwyraźniej sprawiał strażnikowi przyjemność. - Dolfas nie pozwolił nam jednak tknąć jej nawet palcem.

- Po mojemu, chciał ją dla siebie - mruknął jego towarzysz.

- Może i tak było, kto to wie? - Pierwszy wartownik wzruszył ramionami, potrząsnął głową i umilkł. Conan czekał nieruchomo, chociaż wściekłość i rozpacz sprawiały, że dzwoniło mu w uszach. Wreszcie strażnik w czapie odezwał się ponownie: - Kiedy tu doszliśmy, chłopaki chcieli mieć z nią trochę uciechy. Nie dziwota, ale piekielnica złapała za topór i rozwalila im czerepy! - Znów pokręcił głową - był to, jak do tej pory, jego najbardziej ożywiony gest - i dalej podjął głupawe rozpamiętywanie: - Pewnie zarabowałyby jeszcze paru chłopca, gdybyśmy nie mieli napiętych łuków.

- Mimo wszystko szkoda - mruknął drugi wartownik. - Po mojemu, ładna była.

- No, byłoby fajnie pofiglować z nią - przyznał pierwszy. - Ostre są te dziewczuchy z lasu. Jakby człowiek ścisnął się z dzikim zwierzęciem. - Popatrzył na rozciągnięte pod ciemniejącym niebem ciało. - Nawet teraz wygląda niczego

sobie... - Westchnął przeciągle. - Ale Dolfas kazał jej nie ruszać.

- Po mojemu, dalej chce ją dla siebie.

- Co to za rozmowy na straży? - rozległ się surowy głos tuż zza pleców strażników.

Obydwaj drgnęli i stanęli na baczność. We wnętrzu wieży rozpalono ogień. W coraz wyraźniejszym blasku płomieni pojawiła się krępa sylwetka.

- Nic nie mówiliśmy, kapitanie! Trzymamy wartę, na rozkaz!

- Hm! - mruknął podejrzliwie zwalisty mężczyzna. - Widać coś w lesie?

Słyszeliście jakieś hałasy? - Powiódł spojrzeniem po linii drzew, nie dostrzegając zaczajonego pod nimi Cymmerianina.

- Nie, kapitanie, nie mamy nic do zameldowania!

- Panie kapitanie, czy ktoś nas zastąpi, żebyśmy mogli zjeść kolację?

- Za chwilę. Kocioł dopiero się grzeje. - Dolfas przeszedł pod pękniętym hakiem wejścia. Minał wartowników i odwrócił się w ich stronę. - Nie musimy się już spieszyć. Zabraliśmy wszystkie klejnoty i możemy ruszać z powrotem.

Pamiętajcie obydwaj, że karą za próbę kradzieży jest śmierć! Jeżeli znajdziecie jeszcze jakieś klejnoty, macie je zdać. Dostaniecie za nie godziwą zapłatę.

- Tak jest, kapitanie! - potwierdzili zgodnie wartownicy.

- Macie o tym pamiętać!

Dowódca ruszył w stronę lasu, przelotnie rzucił okiem na leżące ciała. Odpiął spodnie, żeby załatwić się w krzakach.

Toporek Conana z cichym świstem przeciął powietrze i trafił Dolfasa w skroń. Kapitan stęknął i zaczął osuwać się nieprzytomny na ziemię. Cymmerianin podtrzymał go ręką, jednak szelest liści zdradził upadek dowódcy. - Co się stało?

- Nic panu nie jest, kapitanie?

Conan wynurzył się z zarośli. Początkowo wartownicy wzięli go za wracającego dowódcę. Cymmerianin ugodził jednego z nich włócznią w gardło. Mężczyzna zaczął charczeć i udławił się własną krwią. Drugi strażnik ruszył naprzód z wystawioną przed siebie halabardą. Barbarzyńca rąbnął go toporkiem z taką siłą, że kamienne ostrze przecięło futrzaną czapę i zmiażdżyło czaszkę. Łotr runął na ziemię obok swojej broni, która szczęknęła o kamień.

- Dolfas, to ty?! - rozległo się wołanie z wnętrza wieży. - Wracaj do kości, bo podzielimy twoją wygraną między siebie.

W wejściu zamajaczyła sylwetka człowieka i po chwili zniknęła.

Cymmerianin podniósł halabardę. Solidnie wykonana broń miała okute stałą drzewce i długie, wąskie ostrze. Był to typowy cywilizacyjny wyrób. Cymmerianin mógł z taką bronią zacząć się przed wejściem i po kolei powalać opuszczających wieżę morderców. Wiedział jednak, że wkrótce wpadliby na pomysł, by wspiać się na szczyt i odpędzić go zrzuconymi z góry kamieniami.

Stal można było jednak wykorzystać na wiele sposobów.

Cymmerianin powiódł dłonią po kruszącym się łukowatym nadprożu; z powodu ciemności dotyk musiał zastąpić mu wzrok. Zwornik - długi, klinowaty blok, zajmujący całą szerokość wejścia - znajdował się na wysokości jego piersi. Conan uniósł halabardę i wbił jej szpic w wąską szczelinę nad kamieniem.

- Hej, kapitanie, jesteś tam?

Cymmerianin naparł z całych sił na drzewce halabardy. Zwornik zaczął wysuwać się z głuchym szuraniem. W wejściu pojawiła się kolejna niewyraźna sylwetka. Nim mężczyzna pokonał wejście, blok wysunął się do reszty i runął wprost na niego. Za nim posypały się kolejne głazy i fragmenty zaprawy. Mur nad wejściem zaczął osiadać tam, gdzie rozległo się przeciągłe, basowe trzeszczenie.

Cymmerianin zabrał pośpiesznie broń i popędził z powrotem do lasu. Z wnętrza wieży goniły go stłumione okrzyki, które po chwili zginęły w łoskocie walącej się pod własnym ciężarem prastarej wieży.

Gdy księżyc w pierwszej kwadrze wzniósł się wyżej na niebo, oświetlił widok jeszcze smętniejszy niż przedtem. W miejscu zburzonej, lecz wciąż majestatycznej wieży znajdowała się przysypana kurzem sterta gruzu i połamanych drzew. Panował całkowity bezruch. Jedynie spod zwał kamieni rozlegały się słabe jęki. - Kapitanie!

Nad oficerem, którego ramię i noga uwięzły pod zgruchotanym pniem drzewa, pojawił się mroczny cień.

- Kim jesteś? - zapytał ranny, unosząc z przyzwyczajenia dłoni do pustej pochwy po sztylcie.

- Nie, pytanie brzmi, kim ty jesteś? - Muskularny, prawie nagi mężczyzna

przyklęknął obok przywalonego żołnierza.

- Mówisz po brytuńsku! Dlaczego się tak pomalowałeś, skoro nie jesteś dzikusem?

- To ja pytam, a ty masz odpowiadać. - Mężczyzna pochylił się niżej. - Dlaczego tu przybyliście? Kto was wysłał?

- Wysłał? Nikt. Po prostu szukaliśmy przygód, badaliśmy te okolice. Czy któryś z moich towarzyszy przeżył?

- Dostyc kłamstw! - Lepki od krwi kamienny grot ucisnął gardło bezbronny Brytuńczyk. - Czego tu szukaliście?

- W porządku, przyznaję, szukaliśmy skarbów. - Kapitan zwrócił oczy w stronę zwałonej wieży. - Wiesz, że pod tymi głazami jest mnóstwo klejnotów? Prawdziwa fortuna w drogocennych kamieniach i biżuterii! Pomóż mi się uwolnić, a zaprowadzę cię do nich!

- Biżuterii, powiadasz? - Conan chwycił Dolfasa za rękę i podniósł ją tak, by padł na nią blask księżyca. - Równie cennej jak to, co masz na ręku?

Na środkowym palcu oficera znajdował się złoty pierścień. Przekręcił się tak, iż rozszerzona część znalazła się po wewnętrznej stronie dłoni. Na owalu widniało wyryte godło - przedstawiające, o ile można było orzec w bladej poświacie, gryfa.

- To sygnet, prawda? Z godłem brytuńskiego tronu? Pierścień nie chciał zsunąć się z opuchniętego palca. Cymmerianin bezlitośnie wygiął go w tył, aż usłyszał trzaśnięcie kości. Oficer wydał ni to jęk, ni to szloch. Szarpał się daremnie, lecz Cymmerianin bezwzględnie pozbawił go sygnetu.

- Przestań skowyczeć, Dolfasie! Chce ci zadać jeszcze kilka pytań.

### XIII

#### Towarzysze podróży

W garnizonowym mieście Shihar, leżącym na górzystej, wschodniej rubieży Brytunii, zewsząd roztaczał się widok na pokryte śniegiem szczyty północnego pasma Gór Kezankiańskich. Niskie zabudowania miały ściany z belek i pokrycia z nierównych dachówek, a miejscowość okalały palisady z zaostrzonych bali. Widoczne z każdego zakątka pokryte lodem turnie swoją potęgą przytłaczały nawet osmalone umocnienia wielkiej cesarskiej twierdzy.

Podczas wiosennego przesilenia sąsiedztwo gór przynosiło powodzie i lawiny. Rzecz jasna, pod szczyty wiodły liczne szlaki, przetarte w skałach kiedyś przez jakąś zapomnianą rasę, teraz odwiedzane jedynie przez myśliwych i poszukiwaczy rzadkich kamieni. Krążyły wśród nich opowieści i legendy o odległych przełęczach, przez które można było przedostać się na drugą stronę gór. Dawno wymarli już ludzie pamiętający, że zza tych szczytów zjawiała się nekająca Shihar najeźdźcze plemiona i bandyckie wypadły ze wschodnich krain. Otaczające miasto palisady wzniesiono dla ochrony przed miejscowymi rozbójnikami i bandami buntowników, nie zaś w celu obrony przed zagrożeniami zza granicy.

Z tego powodu widok samotnego człowieka, schodzącego po pokrytej rosą połoninie od wschodniej strony osady, wprowadził Gundarczyka Regnarda w zdumienie. Mimo odległości i odbijającego się od szczytów porannego blasku rzucało się w oczy, że to niezwykle przybysz. Nie był ani myśliwym, ani poszukiwaczem minerałów wracającym na zimę w doliny. Miał osobliwe, prymitywne uzbrojenie, poza tym brakowało mu przeciążonego ekwipunkiem osła. Obcy odziany był jedynie w ciężkie srebrzyste futro niedźwiedzia. Pod spodem był jednak całkiem nagi i zdawał się nie przejmować górskim zimnem.

Gundarczyk ocenił, że oto ujrzał prawdziwego dzikusa, członka jednego z legendarnych plemion, zamieszkujących na południowy wschód za górami. Nie miał pojęcia, czego ktoś taki szuka w cywilizowanych stronach, lecz obawiał się, że to mogło zwiastować jakieś niebezpieczeństwo.

Regnard pełnił narzuconą sobie samemu wartość przy otwartej miejskiej bramie; zależało mu na witaniu przybyszów. Był drobnej budowy ciała, lecz zwinny. Miał jasne, rozwichrzone włosy i charakterystyczne dla jego nacji rudawe wąsy. Siedział przed rozgrzaną słońcem ścianą drewnianej budki, podtrzymując między butami dzban wonnego jabłecznika. Z radością przywitał-by wracającego z długiej wędrówki samotnego tropiciela czy poszukiwacza minerałów, brudnego i wygłodzonego, spragnionego ludzkiego towarzystwa i - być może - dźwigającego towary, w których sprzedaniu mógłby pomóc zręczny pośrednik. Regnard byłby

szczęśliwy, mogąc zdobyć przyjaźń kogoś takiego, ofiarować mu łyk jabłeczника, wziąć od niego bagaż ze skórąmi lub szlachetnymi kamieniami i zaprowadzić w miejsce, gdzie powracający mogłby umyć się, zaspokoić głód i pragnienie oraz bardziej wyrafinowane potrzeby. Gundarczyk zdołałby na tym zarobić, chociaż, co prawda, mniej niż kupcy oferowanych towarów i dostarczyciele uciech. W ten właśnie sposób Regnard utrzymywał się przy życiu. Był bezdomnym obieżyświatem, pasożytniczym na półdzikich rubieżach cywilizowanych osad jak pchła w psiej sierści. Nauczył się jednak zdobywać ufność innych łazików i wygnańców, mniej sprytnych od niego.

Widok tego szczególnego przybysza - dzikiego górala, nie znającego miejskich, a tym bardziej cesarskich obyczajów, pozbawionego bogactw i pewnie niezbyt rozgarniętego - jednak nie zniechęcił go do reszty. Regnard przyglądał się cierpliwie i z namysłem schodzącemu z gór mężczyźnie. Oto zbliżała się ku niemu zagadka, wyzwanie, a być może i rozwiązanie dręczącego go od dawna problemu.

Regnard bowiem nade wszystko chciał wyrwać się z Shihar. Przybył tu z wielkimi nadziejami, licząc na szybkie wzbogacenie się. Szkody wyrządzone przez wojnę prowincjonalnej administracji oraz gwałtowny wzrost cen górskich kamieni, pospołu z plotkami o istnieniu w tych okolicach przebogatych kopalni złota i klejnotów, stanowiących państwowy monopol, to oznaki, iż można spodziewać się gorączki złota, a nawet wybuchu zupełnej anarchii. Gundarczyk liczył, że jeżeli zdoła ustawić się właściwie, przez szczeliny praworządności przeciśnie się dość bogactwa i dla niego.

Rzeczywistość okazała się jednak przygnębiająca. Wojsko odzyskało panowanie nad sytuacją. Ludność miasta zachowywała ścisłą dyskrecję pod nadzorem doborowego, karnego garnizonu, który obsadził twierdzę. Wielu ludzi z okolicy zdołało osiągnąć wiele dzięki potajemnej, niezgodnej z prawem działalnością. Gdyby Regnard potrafił zmusić się do znoszenia niewygód i ryzyka, mogłby do nich przystać i zyskać nie najgorszą pozycję, jednak Gundarczyk wolał gadać, niż walczyć.

O ile Regnard zdołał się zorientować, ani złota, ani klejnotów nie rozprowadzano w Shihar, nawet nie transportowano ich tędy dalej. Okazało się, że nowa królowa zaprowadziła jeszcze surowszą dyscyplinę. Przez miasto przewinęło się jedynie paru obszarpanych łowców szczęścia, starających się wyżyć z przeszukania okolicznych górskich dolin. Było ich zbyt mało, by naganiacz rodzaju Regnarda zdołał zarobić dość na życie na wysokiej stopie, o jakim marzył. Gdy jesień zaczęła srebrzyć powietrze, perspektywa zimowania w małym miasteczku stała się dla Gundarczyka nie do zniesienia.

Gdy barbarzyńca dotarł do bramy, Regnard dźwignął się na równe nogi i ruszył na jego spotkanie.

- Witaj, nieznamy! - zawołał, starając się przywołać w pamięci okruchy wiedzy o handlowym żargonie, w jakim porozumiewano się z plemionami z Gór Kezankiańskich. - Musisz być spragniony po podróży. Napijesz się ze mną?

Barbarzyńca powiódł po Gundarczyku niechętnym spojrzeniem, zachowując kamienną minę. Wreszcie skinął głową. Przełożywszy włócznię z kamiennym grotem do drugiej ręki, wyciągnął dłoń po podsunęty mu dzban. Gdy pił, niedźwiedzie futro rozchyliło mu się na piersiach. Gundarczyk zobaczył, jak wspaniale zbudowany jest nieznamy. Barbarzyńca miał szerokie, masywne piersi i barki oraz twardy, płaski brzuch. Jego bok przecinały blednące już szramy. Na biodrach miał pas z wypolerowanych ogniw, ozdobionych szlachetnymi kamieniami. To natychmiast zwróciło uwagę Regnarda. Lędźwie i nogi barbarzyńcy były równie opalone jak potężne dłonie. Gundarczyk przyjaźnie, chociaż z niejaką ostrożnością przyglądał się, jak nieznamy krzywi się pijąc młody jabłecznik, przez chwilę trzymając łyk w ustach i wreszcie wypluwa go na trawę. - Mocny! Dobry! - powiedział Regnard, wziął od barbarzyńcy dzbanek, upił głęboki łyk i ponownie podał trunek przybyszowi. - Masz, napij się jeszcze. No, łyknij!

Ponury barbarzyńca potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem i odgarnął przystrzyżone włosy znad oczu, co pewnie stanowiło gest charakterystyczny dla jego plemienia.

- No cóż, przyjacielu, pewnie przebyłeś długą drogę? - powiedział Regnard, starając się podtrzymać rozmowę. - Przychodzisz z drugiej strony gór?

Przybysz odpowiedział skinieniem głowy, któremu towarzyszył nieokreślony pomruk i uniesienie dłoni.

- A twoi ziomkowie? Przybywasz z innymi?

Tym razem barbarzyńca pokręcił głową i wyrzekł pojedynczą sylabę: - Nie.  
- Zatem jesteś sam. - Regnard odwrócił się powoli i wyciągnął dłoń, zachęcając nowego znajomego do ruszenia w stronę bramy. - Ciężko musi być tak podróżować samemu. Słyszałem, że wędrowcy, a nawet duże zbrojne oddziały gubią drogę w tych górach i przepadają bez śladu.

- Yhm.

Po pomruku, wydanym przez barbarzyńcę, trudno było się zorientować, czy zrozumiał nowego przyjaciela. Nie miało to jednak większego znaczenia tak długo, dopóki Regnard podtrzymywał rozmowę.

Idąc obok przybysza, Gundarczyk przeprowadził go przez bramę. Dwaj cesarscy wartownicy nie fatygowali się zejściem po drabinie z pomostu pod szczytem palisady. Obrzucili nowo przybyłego pogardliwymi spojrzeniami, lecz nie odebrali mu prymitywnej włóczni i kamiennego toporka. Najwyraźniej nie obchodził ich los przybysza i sądzili, że jeżeli pozostanie z Regnardem, nie będzie stwarzał kłopotów. Za bramą miejskie uliczki były jeszcze prawie puste, dzięki czemu barbarzyńca był obrzucany pogardliwym spojrzeniem przez nielicznych żołnierzy i wcześniej wstających sklepikarzy.

- Znam pewne miejsce... Masz coś do sprzedania? - Gundarczyk podniósł wzrok na barbarzyńcę, który wodził oczami po smętnych, błotnistych uliczkach i koślawych domostwach Shihar bez większego zainteresowania. - Rozumiesz, coś za coś? - Regnard potarł kciuk o palec wskazujący w powszechnie znanym geście, lecz jego towarzysz zdawał się tego nie pojmować. - Nieważne. - Gundarczyk wzruszył wreszcie ramionami z pozorną obojętnością. - Chodź, postawię ci śniadanie!

Poprowadził nachmurzonego towarzysza przed szeroki, drewniany dom z niskim gankiem, nie różniący się od innych zabudowań niczym z wyjątkiem nieco większych rozmiarów i bardziej stromej dachu porośniętego mchem. Wewnątrz urządzono go na oberżę: pod uszczelnionymi mułem ścianami z bali rozstawiono ławy i stoły na kozłach. Na środku podłogi z ubitej gliny znajdowało się palenisko. Regnard zamachał ręką nad głową i przywoławszy łysego oberżystę, poprowadził swojego gościa do stołu najbardziej oddalonego od wejścia.

Izba była prawie pusta, dlatego pojawienie się nieokrzesanego dzikusa wywołało jedynie parę parsknięć i zdziwionych min. Zdarzyło się również kilka odgłosów aprobaty - w wydzielonej dla kobiet części oberży. Namówiony przez Regnarda gość przystał na powieszenie prymitywnego toporka i włóczni na kołkach w ścianie za stołem. Odrzucił ofertę napicia się wina lub jabłecznika, lecz dał się namówić na ciemne brytuńskie piwo w drewnianym kuflu. Nabrał łyk w usta i nadal siedział w zadumie jak kamienny głaz. Zdawało się, że nawet nie przełknął trunku.

Gdy wreszcie podano posiłek - solone ryby, gotowaną wieprzowinę i posiekane kwaśne rzepy - przybysz niechętnie zabrał się do jedzenia, za to Regnard z zapalem wbijał w nie zęby. Gundarczyk był pewien, że własne wędrowki po obrzeżach i zakamarkach hyboryńskiego świata pozwalają mu zrozumieć prymitywną naturę towarzysza. Był przekonany, że siedzący obok niego zwalisty mężczyzna, mimo pozorów głębokiej, nieprzeniknionej powagi, ma w gruncie rzeczy umysł małego dziecka. Prosty, w głębi duszy łatwowierny barbarzyńca z pewnością niewiele pojmował z otaczającego go nowego dlań świata. Istoty tego pokroju żyły z dnia na dzień w głuszy, zaspokajały - gdy miały dość szczęścia - prymitywne potrzeby i obdarzały czcią patyki, kamienie, robactwo i podobne przedmioty, niegodne uwagi nawet pięciolatka, licząc, że w ten sposób zaskarbia sobie przychylność losu. Towarzysz Regnarda wyglądał nawet imponująco, lecz były to jedynie pozory. Po paru dniach w prawdziwym, cywilizowanym świecie, bez opieki i rady barbarzyńca byłby zagubiony i bezradny - chory, otępiały i bez grosza przy duszy - a wszystko za sprawą wrodzonego braku zdolności przetrwania. Regnard chciał jednak, by los jego kompana potoczył się inaczej. Skończywszy posiłek, z talerza wytarł chlebem słony sos i wymamrotał:

- No, wspaniałe jedzenie! - Przez chwilę zbierał siły i serdecznie beknął. - Skoro się posililiśmy, powiedz mi, przyjacielu, jak ci na imię?

- Conan - padła odpowiedź.

Barbarzyńca wyprostował się i na nowo przybrał posępną minę.

- Cóż, Conanie, czegoś szukasz w Shihar? Być może mądrości? - Regnard znacząco postukał się w skroń. - Miłości? - Rzucił frywolne spojrzenie w stronę wężki zajmowanej przez kobiety. - A może bogactwa, na przykład takiego, jakie możesz zyskać za przepiękną skórę na twoich ramionach i pas z błyskotkami?

W odpowiedzi przybysz nie wysilił się nawet na pomruk, jednak Regnard

zauważył zwężenie się stalowoniebieskich oczu i wziął to za oznakę zainteresowania.

- Za skóry dostaje się dobrą cenę - wyjaśnił. - Ostatnio coraz trudniej tu o nie. Pas taki jak twój również pewnie da się, przehandlować. Wiesz może, gdzie się znajduje podobne rzeczy?

Barbarzyńca odpowiedział na jego pytanie niechętnym mruknięciem, zmarszczeniem brwi i pokręceniem głową.

- Nie? Zresztą to mało ważne. - Gundarczyk uśmiechnął się przyjaźnie. - A co z twoim plemieniem, twoimi bliskimi? Wiedzą, że wyprawileś się aż na drugą stronę Gór Kezankiańskich?

Conan utkwiał w nim pozbawiony emocji wzrok.

- Całe moje plemię nie żyje.

- Co? Nie żyje, powiadasz? Zabiła je choroba, tak?

Dzięki nabytemu doświadczeniu Regnard wiedział, że prymitywne ludy nie zachowujące higieny bardzo łatwo padają ofiarami zarazy. Często dziesiątkowały ich pospolite choroby, na które nie zwracano nawet uwagi w cywilizowanych krainach.

- Tak, zaraza. - Barbarzyńca popatrzył na Gundarczycza obojętnie.

- Cóż. Wielka szkoda. - Gundarczyk nie przestraszył się nieznannej choroby. Z wieloma zetknął się podczas swoich wędrówek. - Ruszyłeś więc za zachód do Brytunii, jednego z najzamożniejszych hyboriańskich cesarstw, by tu szukać szczęścia? - Odpowiedź stanowiły pomruk i kiwnięcie głową. - Mądra decyzja. Możesz tu znaleźć pociechę i niezwykle rozkosze. - Wskazał dziewczki z oberży, które wyszły z wydzielonej części, paplając piskliwymi głosami. - Ta dziura, Shihar, nie liczy się, to jedynie siedziba garnizonu. W wiek - szych miastach Brytunii znajdziesz bogactwa i potęgę, przechodzącą najsmielsze ludzkie wyobrażenia. Musisz jednak wiedzieć... - Regnard nachylił się ku towarzyszowi poufale - ...że jedyny sposób na przetrwanie w cywilizowanym kraju to znalezienie przyjaciela, któremu można zaufać, by nie zginać na samym początku. Inaczej chytry miejscy kupcy oskubią cię, zanim zdążysz nauczyć się właściwych zasad.

Zdawało się, że słowa Gundarczycza wzbudziły zaciekawienie przybysza.

- Chcesz mi pomóc? - zapytał, mrużąc błękitne oczy.

Regnard zawahał się chwilę, poczym wzruszył ramionami.

- Tak, chyba tak. - Uśmiechnął się i pokręcił głową z przebiegłą miną. - Ale tylko wtedy, jeśli i ja będę miał coś z tego. Tak załatwia się rzeczy w mieście.

- O co ci chodzi?

- Oto co przyszło mi do głowy. - Regnard przyglądał jasne wąsy. - W tej chwili najbardziej zależy mi na opuszczeniu Shihar, ze względu na późną porę roku i chęć powrotu w bardziej znajome strony. Pomyślałem, że ty również wyjdiesz najlepiej, jeżeli podążysz do ludniejszego miasta. Tam dostaniesz najlepszą cenę na to, co możesz zaoferować. - Gundarczyk zaczął mówić szybciej, chociaż nie miał pewności, czy barbarzyńca go rozumie. Pragnął za wszelką cenę przekonać go do swojego pomysłu. - Gdybyśmy zdołali sprzedać coś już teraz, zyskalibyśmy pewnie dosyć, by kupić porządne wełniane opończe. Zostałoby nam poza tym pewnie dosyć, by razem dotrzeć do jakiegoś dużego miasta. Gdy się tam znajdziemy, bez trudu odbijemy się od dna. Gdybyś tam sprzedał swój pas z klejnotami, mógłbyś zupełnie nieźle się urządzić...

- Do jakiego miasta? - przerwał mu wreszcie Conan.

- Jakiego? - Regnard zamyślił się. - Cóż, mój przyjacielu z gór, dlaczego nie do największego? To tylko dwa tygodnie drogi stąd. Do Sargossy, stolicy całej Brytunii! - podsumował z wielkopańskim gestem.

- Tak, do Sargossy.

Skinawszy głową, barbarzyńca podniósł się z ławy. Rozwiązawszy podtrzymujący niedźwiedzie futro na szyi rzemień, złożył je na stole. Towarzyszyły temu sprośne komentarze. Zatrudnione w zajeździe dziewczki - było ich cztery, rozmaitej budowy, karnacji i w rozmaitych, niezbyt skromnych strojach - były wyraźnie pod wrażeniem muskularnego torsu przybysza. Dwie zbliżyły się z błogimi pomrukami, by gładzić srebrzystą sierść i jeszcze przyjemniejszą w dotyku skórę jej właściciela. Barbarzyńca nie reagował na ich karesy, jeśli nie liczyć zniecierpliwienia i ponurych, nieprzyjaznych spojrzeń, które szybko odpędziły admiratorki na drugą stronę stołu, gdzie zasiadał Regnard.

Dwie pozostałe kobiety w obcisłych spódnicach i bluzkach zaczęły

beztrosko, ale i bez wysilania się tańczyć w rytm brzdąkania na mandolinie brodatego, ospałego grajka, usadowionego pod beczką z piwem. Regnard usiłował kusząco wykazać - na ile pozwalała mu ograniczona znajomość handlowego żargonu - że dziewczki na swój sposób ucieleśniały dwa skrajnie odmienne rodzaje kobiecego piękna. Pierwsza była pulchna, obdarzona zaokrąglonymi kształtami. Rzuciła kuszące, powłóczyście spojrzenia, mające wzbudzać męskie pożądanie. Druga - wiotka, nawet chuda: szczupłe, może dwunastoletnie dziewczętko, głodzące się pilnie, za to gibkie i mimo wszystko zgrabne. Obydwie miały bardzo modną bladą cerę i upudrowane były lśniącym różem, podkreślającym podmalowane granatową henną oczy.

W opinii Regnarda, dobór tancerek był zupełnie niezły, jak na ospałe garnizonowe miasteczko. Mimo to nie zdziwił się, że tancerki nie wzbudziły zainteresowania przybysza. Dzikich mieszkańców puszczy cechowało więcej przesądów, tabu i zakazów niż stygijskich kapłanów. Barbarzyńcy nie mieli zielonego pojęcia, jak się bawić w cywilizowanym towarzystwie. Mimo swego prymitywizmu i nieokrzesań nosili się jednak jak rodowa szlachta. Trzeba było uważać, by nie urazić ich naiwnej godności, jeśli nie chciało się skończyć z rozwaloną czaszką. Regnard dobrze posiadał tę umiejętność. Oceniał, że na razie nieźle radził sobie z nowym towarzyszem, skoro nie wylądował pod stołem z przetrąconym karkiem.

Nie minęło wiele czasu, a nieokrzesań osiłek sprawił swoimi warknięciami i pomrukami, że kąt oberży, w którym siedział, obchodzone szerokim łukiem, jak gdyby celowo tworzone dla niego bezpieczną enklawę. Regnard zostawił go, siedzącego w ciemnym rogu z posępną miną nad piwem, i ruszył z niedźwiedzią skórą, by przehandlować ją u miejscowego futrzarza.

Wrócił, a u jego boku pobrzękiwał solidnie napełniony trzos. Oświadczył bez wdawania się w zbędne szczegóły, że zyskali dosyć pieniędzy na podróż. Stwierdził, że musi spędzić popołudnie na zgromadzeniu zapasów, jeżeli mieli wyruszyć następnego ranka. Drogę w głąb Brytunii odbyli w środku jesieni. W kraju znać było dostatek. Wojna domowa zakończyła się dość szybko, nie spowodowała dalszych pustoszeń ani nie utrudniła siewu ozimin. Zwycięstwo nowej królowej było dość świeże, by lud miał zwątpić w jej mądrość i łaskę nowej bogini. Spichlerze i piwnice pękały w szwach. Po polach niósł się brunatny, słodkawy dym wypalanych ściernisk. W płytkich kadziach bosonogie dziewczęta udeptywały winogrona. Okap każdej chaty obwieszony był dyniami, kolbami kukurydzy, grubymi sznurami czosnku i cebuli oraz tłustymi kiełbasami. W zajazdach i wiejskich obejściach wędrowców częstowano wystawnymi posiłkami; Nawet w rzadko zaludnionych okolicach, gdzie trudno było o jadło i miejsce do spania, z reguły Regnard zdołał kupić lub wyprosić, a Conan ukraść lub upolować zapasy na dalszą drogę.

Wędrowcy zatrzymywali się zwykle w chatach, stawianych po wsiach na noclegi dla cesarskich heroldów. Regnard dostawał najczęściej ławę koło pieca w izbie paradnej, Conana zaś ze względu na pospolity wygląd i strój lokowano na strychu z sianem lub w kącie stajni. Zależnie od oberżystów, pożywiali się przy gościnnym stole lub na kuchennych schodach. Trafiały się im i lepsze rozrywki: pijatyki i całonocne zabawy z gośćmi i dziewczkami służebnymi. Tymi ostatnimi zajmował się wyłącznie Regnard. Conan przez całą drogę narzucił sobie posępną samotność.

Na szczęście barbarzyński łowca był krzepki i nawykły do ciężkiej pracy. Nie narzekał, że przypadło mu w udziale dźwigać większość zapasów żywności i dobytku. Zdarzały się nawet dni, gdy musiał dźwigać Regnarda na własnych barkach lub bronić go przed rozwścieczonymi oberżystami i partnerami od gry. Umiejętności barbarzyńcy w walce przechodziły dostatecznie ciężkie próby, gdy w głębi lasu lub nocą natrafiali na zasadzki rozbójników. Łotrowie nic na tym nie zyskiwali, a nawet tracili - odrąbane kończyny lub zabitych kamratów. Wszelako ogólnie biorąc, podróż przebiegła pomyślnie. Łaskawa pora roku i powszechnie dobre samopoczucie ludności po zwycięstwie buntowników - wszystko to sprawiło, że Regnarda i jego nieokrzesań towarzysza przyjmowano przyjaźnie. Gundarczyk bez skrupułów wykorzystywał ufność, którą go obdarzano, znajdując drogę do serc i sakiewek napotykanych prostaczków. Conan jednakże pozostał do końca ponury i zacięty, przy każdej okazji pogrążając się w samotnych rozmyślaniach o jemu tylko znanych smutkach.

## Maleńka uzurpatorka

Zdążający na poranne posłuchanie u królowej księżę Clewyn mozolnie przemierzał pałacowe przedpokoje. Szedł powoli, wcale nie ze względu na swój podeszły wiek – co chwila przystawał, by wymienić komplementy i ploteczki z mnóstwem dworskich urzędników. Wiedział o doświadczenia, że tego rodzaju kontakty mogą być przydatne w życiu, chociaż teraz opóźniały spotkanie z władczynią. Traktował drobne uprzejmości jako smar wspomagający harmonijny ruch trybików pałacowej machinerii.

Niepewny status Clewyna na dworze – jako przeżytku z czasów poprzedniego władcy, mimo że popadł w niełaskę i został wypędzony za granicę – sprawiał, że księżę nie unikał kontaktów z pośledniejszymi ranga. Wręcz przeciwnie, gdy awansował do pozycji aktualnego faworyta królowej, każdy niemal starał się zaskarbić jego przychylności. Dlatego też po drodze ze swojej sypialni do alkierza władczyni księżę Clewyn wdawał się w pogawędki z dworzanami najróżniejszego pokroju: radcami, eunuchami, kurtyzanami, oficerami, kapłanami, posłami, emisariuszami, nawet wyższej rangi służącymi i niewolnikami. Dbał, by wszystkie spotkania kończyły się w kordialnej atmosferze, starając się o zachowanie własnej pozycji w nieokreślonej, mętnej sytuacji politycznej, w której jedno wypowiedziane nie w porę słowo mogło oznaczać banicję lub śmierć.

Księżę lubował się zresztą w intrygach. Torował sobie drogę w niejasnych politycznych układach równie zręcznie jak pstrąg w młyńskim strumieniu. Powtórnie zdołał dotrzeć w pobliże centrum władzy. Po wielu latach spędzonych na praktykowaniu dyplomacji, czuł siew swoim żywiole. Żył pełnią życia w rodzinnym mieście” Sargossie, starając się, by jego głos ważył na losach olbrzymiego imperium.

Gdy dotarł wreszcie do wielkiego przedsionka, trybun wskazał mu fotel i polecił czekać. Odziany w regulaminowy strój służa zniknął za pozłocanymi drzwiami buduaru królowej, wrócił po paru chwilach i skinieniem głowy dał znak księciu, że może wejść. Twarz dworzanina przybrała w tym czasie niezwykły – zważywszy na jego pozycję – wyraz powstrzymywanej z wysiłkiem trwogi.

Komnatę sypialną Tamsin zdobiły ciemne draperie i wysokie łoże, nad którym górował koronkowy baldachim. Przez okolone satynowymi zasłonami szeroko otwarte drzwi balkonowe, wpadało tu jaskrawe światło. Na zewnątrz, za przeszklonymi drzwiami i kunsztownie zdobioną poręczą balkonu rozpościerał się widok na miejskie dachy i zaułki pod pałacowym murem.

W oświetlonej przez słońce części komnaty znajdowali się już pierwsi goście, okazujący należny władczyni szacunek. Prócz zbrojnej straży składającej się z eunuchów, pod ścianami stało kilku dworzan wraz z pierwszym szambelanem Basiferem. Królowa spoczywała wygodnie na łożu. Jej miedziane loki rozłożone były na poduszkach, pod skąpą, półprzejrzystą koszulą nocną odznaczały się kształty jej ciała. Sądząc po swobodnej pozie, wspartej głowie na jedwabnych zagłówkach, przymkniętych oczach i uchylonych ustach, można było odnieść wrażenie, że monarchini śpi. Przeczył temu jednak dobiegający od strony łoża głos.

Przyjrząwszy się dokładnie postaci majaczącej zza udrapowanych zasłon, Clewyn odniósł wrażenie, że mówi nie Tamsin, lecz spoczywająca na jej ramieniu lalka. Siedziała prosto z wymalowaną twarzą i kiwała głową.

– Witaj, księżę Clewynie. Tuszę, że cieszysz się dziś dobrym samopoczuciem – rozlegał się śpiewny, przenikliwy głos. – Jesteś jak najbardziej pożądanym dopełnieniem tej grupy wiernych – pierwszych ludzi, którzy zostaną świadkami mojego zstąpienia na płaszczyznę bytu zwykłych śmiertelników. Usłyszycie wymówione mym własnym głosem dekrety i sądy, które dotychczas poznawaliście z ust spoczywającej obok mnie arcykapłanki.

– Tysiącne dzięki, boska pani!

Clewyn uklonił się jak najniżej i nie wyprostował, by ukryć przenikające go przerażenie. Pozwalał młodej Tamsin, by łudziła się, że może rozmawiać z lalką, zaskarbiał sobie bowiem jej przychylności. Uważał, że jest to z jego strony dowodem przebiegłości. Skoro jednak królowa pogrążyła się w transie, wygłaszając wydumane przykazania rzekomo w imieniu obdarzanej mistycznym znaczeniem zabawki, czy można było liczyć dłużej na apelowanie do jej rozsądku, wywarcie na nią jakiegokolwiek rozumnego, miarkującego ją wpływu? Po raz pierwszy w długim żywocie, spędzonym na pełnieniu publicznych funkcji, księżę

miał kłopoty ze znalezieniem właściwych słów.

- Najserdeczniejsze dzięki - powtórzył.

- Tobie, książę, za sprawą zyskanych uprawnień, przypadnie główna rola w wypełnianiu moich poleceń tu, w sargossańskim pałacu - kontynuowała lalka królowej. - Podobnie szambelan... - Ninga zaskakująco zgrabnie skinęła wyciętą z dyni głową w stronę Basifera - ... będzie pilnować realizacji mojej polityki na ziemiach i wśród ludności tego wielkiego królestwa.

- Dzięki, najjaśniejsza pani!

Eunuch skłonił się w odpowiedzi jeszcze niżej niż książę. Basifer stał się ostatnio żarliwie wierny, absolutnie niezdolny do kwestionowania poleceń królowej i jej wcielonej w lalkę bogini. Jego służalczość była najwyraźniej skutkiem jakiegoś zawartego między nimi poufnego paktu, jakiego - nikt nie wiedział. Zważywszy na okaleczenie szambelana, z pewnością nie chodziło tu o romantyczne uczucie czy cielesne pożądanie. Wobec ułomności Basifera wiek księcia zdawał się nieznaczną przeszkodą we flirtowaniu z królową. Najwidoczniej jednak młoda władczyni czuła się bezpieczniej w towarzystwie mężczyzn, którzy nie mogli naruszyć jej cnoty. Basifer otrzymał nawet drugie wysokie stanowisko w kościelnej hierarchii. Obecnie na obliczu pierwszego szambelana książę zdołał wyczytać jedynie gorliwe oddanie, nie zaś zaskoczenie czy wątpliwości.

- Istotnie, wielkim zaszczytem jest słuchać słów bogini i poznać jej wolę wprost z jej ust - odważył się wreszcie powiedzieć książę. - Mam jednak nadzieję, że nie zostaniemy pozbawieni łaski obecności królowej. Jej czar stał się osłoda jesieni mojego życia.

- Oczywiście, że nie, książę. Narzędzie mej woli i moja prorokini niewątpliwie obudzi się za chwilę. Sprawiliam, że wysoko zaszła w tak młodym wieku, lecz łatwo nużą ją państwowe troski i pozycja, do której nie przywykła. - W ciekim głosie zabrzmiała absurdalna, protekcyjna nuta. - Dlatego właśnie stwierdziłam, że sama muszę zabierać głos w dotyczących rządzenia sprawach. - Rozumiem, o pani - odpowiedział uniżonym tonem książę, starając się pokierować rozmową. - Wymagania przy sprawowaniu bieżącej władzy w imperium...

- Niezupełnie, książę - przerwał mu zdecydowanie głos miniaturowego bóstwa. - Chodziło mi o coś więcej niż codzienną rutynę. Miałam na myśli radykalne zmiany w państwie i religii.

Dzięki panującemu w komnacie całkowitemu milczeniu oświadczenie Ningi odbiło się echem od ścian.

- Zastanawiam się... czy... - Clewyn z trudem panował nad sobą. - Prawdę mówiąc, pani, wobec ostatniego zamętu...

- Zamęt jest czymś zdrowym - oświadczyła bogini. - Nawet chaos mądrze dawkowany może mieć oczyszczające działanie. Niedopuszczanie do zastoju, by sprawy wracały w dawne, muliste koryto, jest ze wszech miar pożądane. W Sargossie panuje taki sam występki i zepsucie, jak przed moim objawieniem.

- Pani... - Clewyn grał na zwłokę. - Arcybogini... Cesarstwo Brytuńskie jako całość dobrze zniosło obalenie Amaliasa i Tyfasa. Państwo jest zdrowe i...

- O nie, książę - poprawiła go Ninga, a w jej głosie brzmiała zdumiewająca werwa. - Po krótkim, przynoszącym oczyszczenie buncie choroba wróciła. Znowu zakrada się zepsucie, noszące pozory najlepszego zdrowia. Przyjrząwszy się Brytunii, można by odnieść wrażenie, że nie było żadnej rewolucji, że nadal włada stary, skostniały bóg, że król dalej knuje w zaciszu swych komnat. A co z naszą świętą misją? Co z chwalebna unią państwa i Kościoła, jakiej dokonaliśmy? - Marionetka bez widocznej pomocy ze strony śpiącej królowej odwróciła nagle głowę w kierunku otwartych drzwi na taras. - Rozejrzyj się, to zobaczysz! Kupcy nadal duszą grosiwo! Kapłani udają, że mamrocą modlitwy, chociaż z ich ust padają nieco inne słowa, a zwykli ludzie nadal gną karki i harują, tyle że pod okiem nowych idoli. Ich życie nie uległo zmianie, ich ideały są nadal poślednie, ich świadomość rzeczy wzniosłych nadal jest uśpiona. Powiedz mi, książę, po co w takim razie było zmieniać im panów?

- Na pewno wiesz, o pani, że twoi poddani są o wiele bardziej zadowoleni pod twym łaskawym władaniem...

- Właśnie, książę! Zadowoleni! - odparła piskliwym głosem lalka. - Otępiali, ospali, błogo im! Gdzie, pytam, ekstaza, pragnienie składania ofiar, święta bojaźń? Nam, bogom, zaiste przychodzi srodze się natrudzić, by ulepić śmiertelną glinę w cokolwiek godnego uwagi. Mimo to nie zaprzestaniemy tego dzieła nawet na chwilę! Tobie, rządzącym w moim imieniu, jak również kapłanom i oficerom powierzam wcielenie w życie nowego ładu. Moi poddani będą odpowiadać za

wszelką ociążałość i ociąganie, za wszelkie zaniedbania w myśli i czynie, a kara będzie śmierć! Czekają ich nowe, bardziej wymagające ofiary!

Książę Clewyn wysłuchał obłąkańczej tyrady ze ściągniętymi z przerażeniem brwiami.

- Jakie ofiary, pani?

- Z ludzi! Tak się stanie! Tylko dzięki nim ożywiła się wiara moich wyznawców w przeszłości. Każdego miesiąca łaski kaźni dostąpi co pięćsetny człowiek w Sargossie i stolicach prowincji... ich nazwiska będą losowane ze spisu mieszkańców. W każdym większym mieście należy usypać na placu przed główną świątynią piramidę z czaszek. Trzeba też wydrążyć katakumby pod świątyniami, w których będą przechowywane ciała ludzi złożonych w ofierze. Zamiast ich głów umieszczać się będzie malowane dynie na moje podobieństwo. Co o tym sądzicie?

Jak uprzednio, po słowach bogini zapanowała przenikliwa, przytłaczająca cisza.

- To wymagania bardzo... surowe - zdołał wykrztusić Clewyn.

- Dziękuję - odparła Ninga.

- Twa wola, najjaśniejsza pani, jest dla nas rozkazem. - Natychmiast po słowach księcia zabrzmiał pewny, donośny głos Basifera, w którym nie sposób było doszukać się cienia wątpliwości.

- Istotnie... Oczywiście... Będzie to najświętszym obowiązkiem... - Zabrzmiały słabe wyrazy aprobaty, chociaż wyraźnie widać było bladość na twarzach dworzan.

Przerażeni poddani ujrzeli, że ich młoda królowa zaczyna się budzić. Ninga umilkła. Poruszenia Tamsin sprawiły, że boska uzurpatorka przewróciła się jak zwykła szmaciana lalka. Władczyni otworzyła w tej samej chwili oczy.

- Och, już jesteście, przyjaciele! - Beztrósco przeciągnawszy się w pościeli, uniosła ramiona nad głowę i ziewnęła. - Mam nadzieję, że Ninga dotrzymywała wam towarzystwa, zanim się obudziłam? Jest taka kochana!

Tamsin przycisnęła wiotką teraz lalkę do boku, ucałowała jej lśniące czoło, po czym wyrównała i wygładziła ubranko. Równie beztrósco podciągnęła koronkową koszulę, by zakryć bardziej piersi. - Bogini Ninga raczyła oznajmić nam o pewnych modyfikacjach dotyczących obrzędów w jej świątyniach - ośmielił się przemówić stojący w nogach łoża królowej Clewyn.

- Dobrze! Wspaniale! - przerwała mu Tamsin. - Wiem, że mogę liczyć, iż wypełnicie każde jej słowo, bez względu na to, czego sobie życzy. - Odwróciła się do Basifera, który ukląkł przy łożu. - Zwłaszcza ty, szambelanie, na swoim nowym stanowisku honorowego kapłana.

- Tak, naturalnie, wasza wysokość. - Eunuch pochylił się i ucałował skraj pościeli. - Ruszam natychmiast, by przekazać słowa arcybogini jej - i twoim, najłaskawsza pani - sługom w świątyni. Natychmiast przystąpimy do wypełnienia rozkazów.

- Doskonale! - Tamsin odwróciła się od zmiernego pośród ukłonów w stronę wyjścia niedawno mianowanego hierarchy. - Drogi książę, dotrzymasz mi towarzystwa podczas śniadania, nieprawdaż? - Wyciągnęła dłoń, na której Clewyn złożył pocałunek pobladłymi wargami. - A wy przyjmijcie me najserdeczniejsze powitanie - zwróciła się do pozostałych.

Stojące w pogotowiu służące podeszły do łoża z tacami pachnących wypieków i z podgrzewanym czajniczkiem. Płoch Tamsin jednak ledwie co przekąsiła. Następnie wysunęła się spod pościeli i przywołała doskonale wyszkolone poddane, by ubrały i uczesały ją na oczach gości. Clewyn starał się zabawiać ją tymczasem lekką konwersacją. Po skończonej garderobie królowa podprowadziła księcia do stolika, na którym leżały jej ulubione klejnoty i biżuteria. Zaczęła je prezentować, podtrzymując po kolei w smudze światła, wpadającego przez drzwi balkonowe.

XV

Sroga zemsta

Nadszedł wreszcie poranek, gdy Conan i Regnard obudzili się w podłym, podmiejskim zajeździe i ruszyli w stronę murów osławionej Sargossy. W powietrzu czuć było chłód. Minionej nocy Gundarczyk do późna grał w karty oraz pił z drobnymi handlarzami i przemytnikami. Mimo to rankiem obudził się rześki i czujny, gotów jak najlepiej wykorzystać dary losu, w których rychłe nadejście

nie wątpił.

- Masz, weź! - powiedział, przewieszając swój na poły pusty plecak Conanowi przez ramię, choć barbarzyńca niósł własny, o wiele cięższy bagaż. - Będzie to wyglądało lepiej dla celników przy wjeździe do miasta. Pamiętaj, trafiamy do gigantycznego grodu, w którym żyje się wystawniej i wspanialej, niż sobie wyobrażasz. Nie daj się oszołomić ani ogłupić niczemu, co ujrzysz. Zaufaj mi, nie oddalaj się i bądź pewny, że w końcu wszystko zrozumiesz.

Ruszyli traktem, którego bita nawierzchnia wkrótce ustąpiła miejsca brukowanej. Nietrudno było poczuć oszołomienie na widok miejskich murów. W niewielkich odstępach stały szerokie wieże strażnicze, umocnienia lśniły w blasku poranka. Brama, do której doprowadził wędrowców Wielki Trakt, urodą zapierała dech w piersiach. Nie doznała uszczerbku podczas niedawnej wojny domowej. Jej słupy wyłożono barwną mozaiką, przedstawiającą rytualne symbole. Nad łukowatym zwornikiem górowała inkrustowana płaskorzeźba, przedstawiająca triumfującego gryfa - główny symbol brytuńskiej heraldyki.

Bramę otworzono już dla wędrowców. Ruch nadzorowali cesarscy strażnicy, rozmieszczeni po obydwóch stronach olbrzymich metalowych wierzei, pod opatrzoną w gęste szpikulce zwodzono kratą. Regnard nie włączył się w pstrokaty strumień rozmaicie odzianych podróżnych, zwierząt i wjeżdżających w cień murów wozów, lecz odprowadził Conana na bok i zwrócił się do niego ponownie:

- Domyślasz się chyba, że strażnicy niemal na pewno nie dopuściliby, żeby taki pozbawiony ogłady barbarzyńca jak ty włóczył się bez dozoru po ulicach Sargossy. Uważają, że tacy stanowią zagrożenie dla porządku publicznego. Dlatego też musimy uciec się do fortelu; można by rzec, tymczasowego przebrania.

Gundarczyk sięgnął do sakwy, lecz wyjął z niej nie pieniądze, tylko krótki, solidny łańcuch z brązu.

- Jeżeli to założysz strażnicy pomyślą, że mają do czynienia z niewolnikiem i jego panem. Wówczas nie będzie ci potrzeba żadnych dowodów uwierzytelniających, by przejść przez bramę i na własne oczy obejrzeć cuda przepięknej Sargossy.

Conan w milczeniu, bez protestów pozwolił Regnardowi odprowadzić się na skraj traktu. Znajdowało się tam stoisko kowala, na miejscu podkuwającego konie wieśniaków, by nie zdarły sobie kopyt na miejskich brukach. Odczekawszy, aż kowal obsłuży innych, Cymmerianin posłusznie pozwolił skuć sobie ręce.

- Nie tu, za plecami, przyjacielu! - Regnard powlókł swojego podopiecznego dookoła kowadła, by rzemieślnik mógł zamknąć ogniwa łańcucha. - Tak się to tutaj robi. Nie martw się, Conanie! Zdołasz nieść bagaże; przewieszę ci je przez szyję, o tak! A broń poniosę za ciebie.

W taki oto sposób dwaj wędrowcy dotarli do bram Sargossy. Regnard ochoczo udawał poganiacza niewolników, szarpiąc Conana za ramię i popychając go do szybszego marszu. Gdy znaleźli się w wąskich, brudnych zaułkach między wysokimi, powykrzywianymi budowlami, Gundarczyk zapewnił Conana, że nadal należy kontynuować tę maskaradę.

- No popatrz, czyż to nie wspaniały widok? - zapytał tonem, domagającym się potwierdzenia. - Przyjrzyj się, jakie wysokie są domy, popatrz, ile ludzi kręci się po ulicach! A wszyscy są tłuści i dobrze ubrani - z wyjątkiem żebraków. - Szarpnął Conana za skute ramię. - Chodźmy tą ulicą. O ile sobie przypominam, doprowadzi nas do dzielnicy kupieckiej i targu klejnotów.

Ruszyli przez labirynt krętych zaułków, ocierając się po drodze o przekupniów, jałmużników, umalowane ladacznice, bezbrodych eunuchów, ogolonych kapłanów, rzezimieszków, oficerów w uniformach i przedstawicieli tysięcy innych specjalności, typowych dla wielkomiejskiego rojowiska. Para wędrowców dotarła wreszcie na duże targowisko, zajmujące odkryty szeroki plac. Było tam jeszcze tłumniej niż na przyległych uliczkach; każdą odrobinę przestrzeni zajmowali kupcy i kupujący w najrozmaitszych strojach i nakryciach głów. Ze środka placu dobiegały wołania pro wadzącego licytację i krzyki z oferowanymi cenami.

- Wreszcie dotarliśmy, Conanie. Oto miejsce, gdzie dostaniesz w Brytunii najlepszą cenę za to, co masz na sprzedaż. - Popychając towarzysza żwawo przez tłum, Regnard przecisnął się bliżej środka bazaru. - Pytam cię, dlaczego mamy napchać kiesę jakiemuś pośrednikowi, skoro możemy zgarnąć solidny zysk z pierwszej ręki?

Wysoki barbarzyńca zdołał ujrzeć nad głowami, co dzieje się na środku rojnego targowiska. Na kamienny pomost wstąpiła właśnie posagowej budowy kobieta o brązowej skórze. Obok niej stał koryncki kupiec w fezie, z włosami jak

szczotka. Rozchylił cienką szatę, będącą jedynym strojem kobiety, i zaczął zachwalać jej wdzięki tłumowi zachwyconych licytatorów. Za tą parą czekał czarnowłosy Kuszyta, obwieszony o wiele cięższymi niż Conan łańcuchami. Za nim znajdował się młody, szczupły Hiperborejczyk oprawie białych włosach, widocznie niedawno porwany z pomocnej, śnieżnej krainy. Nadgarstki miał przykute do opasującego szyję drewnianego jarzma. Za zgnębionymi więźniami stała para zwalistych strażników z biczami. Odziani byli w wyszywane złotem kamizelki i fezy o takim samym pomarańczowym odcieniu, jak strój prowadzącego przetarg.

- Pragnę wystawić teraz na sprzedaż piękne dziewczę z Zamory! - wołał licytator. - Wprost z pustynnych oaz wonnego Południa, oto tancerka i flecistka o nieprześcignionej urodzie. Rodem z Szadizaru, panowie, gdzie noce są gorące, dojrzewają soczyste melony, a rozkoszą dla podniebienia są ocukrzona figi...

- Naprawdę wzięłeś mnie za skończonego głupca, Regnardzie? - mruknął wreszcie Conan z nutą ponurej rezygnacji w głosie. - To nie targ klejnotów. Na Wielkiego Borsuka, zawiodłeś mnie na targowisko niewolników!

- No już, Conanie, nie obawiaj się - nie zważając na protest towarzysza Gundarczyk pchnął go naprzód drzewcem włóczni o kamiennym grocie. - Jak ci mówiłem, wszystko wyjaśni się w swoim czasie. Przecież możemy wystawić przed kupującymi nie tylko twój skarb, ale i ciebie. Na niby, oczywiście. Jesteś tak wspaniale zbudowany, że dzięki temu licytacja twoich klejnotów potoczy się o wiele żywiej. Kiedy dostanę pieniądze, przechowam je dla ciebie. Później - może jeszcze dziś w nocy - zakradnę się do kwater niewolników i cię uwolnię. Obydwa będziemy wówczas bogaci... Zaczekaj, co robisz?!

Entuzjastyczna licytacja zamorańskiej dziewczyny przykuwała uwagę otaczających ich ludzi. Stało się jednak coś, co wprawiło paru sąsiadów Regnarda w oszołomienie. Gundarczyk patrzył z niedowierzaniem, jak Conan napiął za plecami mocarne dłonie, rozgiął ciężkie okowy z brązu i zsunął je ze swych grubych, włochatych nadgarstków. Barbarzyńca dokonał tego w jednej chwili. Regnard próbował rzucić się do ucieczki, ale Conan skoczył za nim. Zacisnął dłoń na ramieniu Gundarczyka, który osunął się na kolana.

- No, mój dobroczyńco, zobaczymy, jak pasują na ciebie twoje własne okowy i ile czasu minie, zanim zdołasz je rozerwać!

Szybkim, bezwzględnym ruchem Conan owinał spiżowy łańcuch podwójnie na szyi zdradzieckiego towarzysza podróży i ponownie zacisnął kajdany tak, że utworzyły splecione, podwójne ogniwo na karku Regnarda. Łańcuch był tak krótki, że Gundarczyk nie mógł oddychać. Z narastającą paniką szarpał grube okowy i naciągnięte ogniwa. Wkrótce jego ruchy zamieniły się w rozpaczliwe machanie rękami przy szyi. Mógł wydusić z siebie jedynie słabe, gardłowe postękiwania i charczenie, lecz jego szarpanina wystarczyła, by zwrócić uwagę stojących w pobliżu ludzi.

- Co się stało? Ktoś go zasztyletował?

- Nie, to bunt niewolników!

- Niech ktoś mu pomoże!

- Nie, bałwanie, niech ten cudzoziemski kupiec smaży się w Ha-desie!

- Zabijcie tego buntownika, zanim zarazi innych swoim szaleństwem!

Mimo panującego zamętu Conan zdołał odzyskać swoją broń i zaczął przebijać się przez wrzeszczący, wyciągający ku niemu ręce tłum. Kamienny topór raz po raz trafiał w czyjeś ciało. Bryzgała krew, zęby i plwocina, podczas gdy duszący się, purpurowy na twarzy Regnard wił się pod stopami ogarniętych paniką kupców. Tłum rozstał się przed dwoma zwalistymi poganiaczami niewolników, lecz ich pejcze nadawały się jedynie do zadawania bólu z bezpośredniej bliskości, a nie w uczciwej walce. Jeden z nadzorców osunął się na bruk, rycząc z bólu, gdy Conan dźgnął go lekko w brzuch włócznią. Drugi otrzymał cios ostrzem kamiennego toporka w twarz i potykając się, zniknął w tłumie, oślepiony własną krwią.

- Uważajcie, dzikus dostał szału!

- Jest uzbrojony! Wezwijcie straż miejską!

Tłum rozstępował się przed Conanem w panice. Barbarzyńca posłyszał szcęk zbroi, z przyległej ulicy nadchodzili strażnicy. Conan zawrócił i z desperacją wskoczył na pomost z niewolnikami. Uderzeniami toporka rozciął zasupłane rzemienie drewnianych dybów, więzących jasnowłosego Hiperborejczyka. Młodzieniec oswobodził sobie ręce i zrzucił jarzmo z karku. Conan rozciął sznur, którym związane razem dwóch skazańców, i przebił włócznią nadzorcę, usiłującego powstrzymać ich ucieczkę.

Kuszycki niewolnik parę chwil wcześniej zarzucił na szyję licytatora

skuwający mu nadgarstki łańcuch. Dusił go tak długo, aż mężczyzna zwiśł bezwładnie jak worek mąki. Kuszyta zabrał trupowi kółko z kluczami, zeskoczył z podestu i pogrążył się w tłumie. Nawet Zamoranka pochyliła się po sztylet martwego już Regnarda, schowała skradzioną broń za rozchyloną na piersiach szata i wymknęła się z placu, zapewne również zamierzając zemścić się na swoim prześladowcy.

Bunt niewolników i tłum bezładnie rojących się, przerażonych kupców ułatwiały ucieczkę. Conan przecisnął się w stronę wylotu najmniej zatłoczonej ulicy, roztrącając mieszczuchów i waląc kamiennym toporem tych, którzy mieli ochotę go zatrzymać. Po spędzonych w dziczy miesiącach miasto wydawało się barbarzyńcy ciasnym, tłumnym, cuchnącym labiryntem. Szybko jednak odzyskiwał orientację. Gdy przestał grozić mu natychmiastowy pościg, Cymmerianin ruszył pod górę, w stronę placu nieopodal pałacu i świątyni. Zamierzał wreszcie zakończyć łowy, które przywiodły go do Sargossy.

Przejście niepostrzeżenie przez miasto było dla Conana niemożliwe. Nawet w tak kosmopolitycznej stolicy jak Sargossa, gdzie na ulicach spotkać można było ludzi najrozmaitszych narodowości w najosobliwszych strojach, zwalisty, ogorzały, prawie nagi barbarzyńca z kamiennym toporkiem i włócznią, wędrujący przez targowiska i dzielnice eleganckich rezydencji, stanowił wyjątkowy widok, nie mogący nie przykuwać uwagi podekscytowanych służących, przekupniów, obszarpanych uliczników i ujadających psów.

Tak więc na nic zdałaby się ostrożność, Conan mógł polegać jedynie na swej szybkości. By udaremnić ewentualny pościg i unik - nać okrażenia, biegł przez miasto, jakby gonił zwierzynę podczas łowów. Miał kondycją zdobyta podczas wielokrotnych długich pobytów w górach. Sprzyjało mu też szczęście. Nie natknął się na taki tłum, by nie mógł się przedrzeć, ani na przeszkodę zbyt dużą, by nie można było jej wyrzucić lub przeskoczyć. Nie spotkał też cesarskiego żołnierza wystarczająco czujnego i wprawionego w walce, by nie można było usunąć go z drogi jednym ciosem.

Przemierzył to miasto jak żywy obraz dzikości, symbol ludzkiej rasy z pradziejów, zdumiewający dla mijanych miejskich trutniów. Był pierwotnym łowcą, grasującym w miejskim labiryncie, szybkim i groźnym, lecz prawie na pewno skazanym na zagładę... ścigającym jemu tylko znaną, niemożliwą do zdobycia ofiarę.

W miarę zbliżania się do pałacu rojne dzielnice nędzy ustąpiły miejsca wspaniałym willom i publicznym budowlom, rozdzielonym długimi, szerokimi alejami. Dawało to mijanym przez Conana ludziom sposobność rozpierzchania się na boki i zastanawiania się z bezpiecznej odległości, kim jest niepowstrzymany, dziko wyglądający przybysz. Stwarzało to również nowe niebezpieczeństwo: Conan paść od wystrzelonej z dachu świątyni strzały lub zginąć stratowany przez oddział konnych.

Barbarzyńca pomyślał, jak zabezpieczyć się przed takim losem. W pewnej chwili zobaczył pojazd - lekki, chyży rydwan, na kołach z drewnianymi piastami. Natychmiast zrzucił woźnicę w wystawnej liberii i złapał wodze w dłoń, w której trzymał toporek. Grotem włóczni zdzielił po zadach parę dereszowatych koni, które pociągnęły pojazd różnym galopem w stronę pałacu.

Zakładał, że konie utoruja sobie drogę przez ludne ulice, a mieszkańcy będą umykać przed ich kopytami, spod których na bruk leciały iskry. Nie wiedział, czy zdoła w razie konieczności powstrzymać rumaki. Tempo jazdy było zbyt szybkie, by miał szansę kierować rydwanem. Pęd stanowił jednocześnie błogosławieństwo, uderzał do głowy jak mocne wino. Barbarzyńca zdyszany po biegu przez miasto, teraz przykucnął na deskach pojazdu. Pędził szybciej, niż mogłoby powędrować ostrzeżenie o jego przybyciu...

Rydwan przetoczył się wreszcie przez szeroki, pusty plac przed świątynią i podskakując na bruku, skierował się z łoskotem w stronę głównej bramy cesarskiego pałacu.

Akurat wjazd stał otworem. Spienione konie galopem przemknęły przez wewnętrzny dziedziniec w stronę podwójnych drzwi prowadzących do środka pałacu. Jedno ich skrzydło było uchylone. Gdy rydwan wpadł na szerokie stopnie przed wejściem, konie usiłowały utrzymać tempo, lecz uniemożliwił im to rydwan. Pod wpływem wstrząsów krule koła i osie się rozpadły. Conan trzymał się poręczy chwiałego się na boki wraku, aż zdyszane rumaki nie były już w stanie ciągnąć go dalej. Wówczas Conan wyskoczył z resztek pojazdu i biegiem pokonał dzielące go od wejścia stopnie.

- Stój, barbarzyńco! Ani kroku dalej, bo zginiesz!

Dwóch wartowników zagroziło wejście, krzyżując przed sobą rękojeści toporów bojowych. Conan wciąż biegł, trzymając w obydwu dłoniach wystawioną do przodu broń.

- Stój, mówię, dziki poganinie! Jeżeli nie znasz ludzkiego języka, to posłuchaj mojego topora, przemówi tak, że zrozumie go każdy śmierdzący osiłek!

Conan zbliżył się do wartowników i zobaczył na ich twarzach strach. Nagle przystanął. Przełożył broń do jednej ręki, drugą wyjął z sakiewki przywieszanej do pasa z klejnotami niewielki, lśniący przedmiot.

- Może to zrozumiecie - powiedział niezgrabną brytuńszczyzną. - Dostałem to na wschodniej granicy od człowieka imieniem Dolfas.

Starszy ranga wartownik zdjął jedną dłoń z rękojeści topora i podejrzliwie przyglądał się pierścieniowi.

- Widnieje tu cesarskie godło, to prawda. - Obejrzał się na moment na towarzysza i ponownie zwrócił wzrok na Conana. - Naprawdę spodziewasz się, że uwierzemy, iż jesteś jednym ze szpiegów Dolfasa? To nie do wyobrażenia!

- Przynoszę pilne wieści od Dolfasa, wyłącznie dla uszu królowej. - Conan popatrzył hardo na wartownika. - Zaprowadźcie mnie do niej natychmiast.

- Oho, cóż za nachalny barbarzyńca! - Nie przestając przyglądać się bacznie Conanowi, wartownik dał gestem znak do odejścia zbliżającym się ku nim od strony bramy strażnikom. - Musisz poczekać tutaj na pozwolenie. - Jeszcze raz obejrzał się na towarzysza. - Basifer już wrócił? - zapytał.

- Tak, kapitanie. Był z jakąś sprawą w świątyni, ale przeszedł tędy parę chwil temu.

- No dobrze. Schowaj te swoje zabawki i zaczekaj. - Kapitan wskazał Conanowi ławkę we wnęce obok wejścia. - Pamiętaj, żeby się porządnie zachowywać. Cesarski pałac to nie miejsce na twoje przedstawienia. Wartownik zabrał pierścień z pieczęcią i przerzuciwszy topór przez ramię, wszedł na schody.

Conan czekał pod czujnym okiem strażnika, aż przybył inny oficer. Wówczas barbarzyńca oparł swoją prymitywną broń o mur, nie odszedł jednak na bok i nie usiadł. W milczeniu oceniał, jakie ma szansę wdrzeć się do pałacu. Uznał, że są one skromne, zważywszy na liczbę wartowników pod ścianami wielkiego przedsionka. Jak podczas każdego polowania, nadszedł czas na opanowanie i cierpliwość. Najpierw musiał dostać się w pobliże ofiary, najlepiej wydzielając jej własną woń - jak nauczył się podczas łowów najugubwę.

Przez wąskie okno strażnicy przy bramie pałacu słychać było podniesione głosy. Najprawdopodobniej dotarły tam wieści o buncie niewolników i wywołanym przez świeżo przybyłego barbarzyńcę zamęcie. Po chwili głosy przycichły, a gdy znów stały się donośniejsze, towarzyszyło im wołanie o kapitana straży. Przez bramę wjechał konno jakiś urzędnik.

Mijał czas. Conan usiadł w cieniu pod wygładzoną ścianą na zimnej, kamiennej ławie, tak by mieć broń w zasięgu ręki. Dwaj wartownicy przestali zwracać na niego uwagę.

Niespodziewanie na schodach rozległy się ciężkie kroki. Był to wracający w pośpiechu kapitan.

- Chodź! - powiedział, kiwając na Conana. - Szambelan przyjmie cię od razu.

- Kapitanie, jesteś wzywany do bramy - powiedział strażnik przy drzwiach, patrząc niepewnym wzrokiem na przełożonego. - W mieście były chyba jakieś rozruchy.

- Są pilniejsze rzeczy - odparł oficer i wszedł do środka. Conan podniósł broń i ruszył za kapitanem po schodach. - To sprawa wagi państwowej - zawołał oficer przez ramię, - Niech tamci czekają do mojego powrotu. Nie mów nikomu o naszym gościu.

Conan ujrzał wewnątrz pałacu ozdobione filigranowymi kolumnami - strojna, nieznośną kamienną klatkę. Stukanie obcasów kapitana na wypolerowanej posadzce odbijało się głośno, nie było słychać stapania Conana. Cymmeryjczyk mijał strażników o srogich obliczach, służbę i stojące lśniące posągi. Dla kogoś, kogo domem były leśne polany, wszystko to sprawiało wrażenie - jak w malignie - nierealnych wizji.

Czekało go jednak spotkanie z postacią z krwi i kości. Oficer straży wprowadził Conana przez pokryte złoceniami drzwi do wykładanego gobelinami przedsionka. Znajdowała się tam osoba o władczym wzroku i skrytym, groźnym zachowaniu. Odziany w kaftan i strojny fez eunuch krążył niecierpliwie po

wykwintnej mozaikowej posadzce. W palcach obracał sygnet z królewskim godłem. Na widok wchodzących zatrzymał się.

- Panie, oto posłaniec, który tak niedyskretnie... - zaczął mówić kapitan.

- Tak, tak, widzę. - Zniecierpliwiony arystokrata rozpoczął przesłuchanie, nim jeszcze Conan zdążył wejść do środka: - Mów, człowieku, co z Dolfasem? Dlaczego sam nie przybył? - Zatrzymał spojrzeniem na Cymmerianinie. - Nie masz ze sobą klejnotów! Czy to oznacza, że Dolfas nie wypełnił polecenia królowej?

- Dolfas nie wypełni już żadnych rozkazów. - Conan zerwał się od progu do biegu, wystawiając przed siebie toporek i włócznię. - Powiem więcej, ani twoja królowa, ani ty nie będziecie ich więcej trwonić!

Czujny kapitan zareagował błyskawicznie, próbując powstrzymać barbarzyńcę jednym ciosem topora. Conan schylił się pod zataczającą łuk bronią i sam się zamachnął. Ciężkie ostrze rozsypując dookoła iskry ześlizgnęło się po stalowym hełmie wartownika. Kapitan runął na kolana, ściskając zakrwawioną twarz dłońmi.

- Śmiesz używać tu przemocy?! Straże, pojmycie zabójcę! Zamiast błagać o darowanie życia lub rzucić się do ucieczki, szambelan imieniem Basifer ruszył z irytacją naprzód. Zatrzymał go wbity wprost w pierś grot włóczni Conana. Dworzanin cicho stęknął, gdy ostrze przebijało mu mostek, po czym w ciszy osunął się na kolana i runął na bok. Skonał godniej, niż można się było spodziewać po eunuchu. Conan musiał przyznać, że Basifer zginął śmiercią godną mężczyzny.

Po przeciwnej stronie przedpokoju była kolejna para złoconych drzwi. Strzeżli jej dwaj żołnierze w żółtych uniformach. Wołanie Basifera sprawiło, że ruszyli do ataku. Nie mając czasu wyciągać włóczni z ciała eunucha, Conan rzucił się między ostrza ich mieczy. Jeden żołnierz nie trafił, drugi mieczem uderzył w twardy krzemień toporka. Miecz ułamał się przy rękojeści. Conan skoczył na wartownika z utraconą bronią i powalił go na posadzkę.

Drugi żołnierz natychmiast zawrócił. Wymierzył cios prosto w brzuch Conana, jednak ostrze ześlizgnęło się po pasie z klejnotami. Uderzenie nie zraniło barbarzyńcy, roznieciło tylko jeszcze bardziej jego furię. Z rozmachem zdzielił strażnika toporem w bok stalowego hełmu. Wartownik runął bez zmysłów, pęknięty hełm potoczył się po posadzce.

Pozłacane drzwi po drugiej stronie przedpokoju były uchylone. Conan otworzył je kopniakiem na całą szerokość. Miał przed sobą obszerną komnatę, ozdobioną ciemnymi draperiami. Słudzy krzątali się przy jasno płonących olejnych lampach, pod ścianami wyczekiwało paru dworzan. Na środku komnaty stały dwie osoby w wytwornych szatach: starszy mężczyzna i blada, młoda kobieta, tuląca w ramionach lalkę.

- Ty jesteś królową Brytunii! - warknął Conan. - Władasz swym krajem poprzez trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów. Ustanowiłaś swoją lalkę boginią i mordujesz całe plemiona, by posiadać ich błyskotki!

- To, co robimy ja i Ninga, to nasza sprawa - odpowiedziała bez namysłu dziewczyna z lekkim, ironicznym uśmiechem. - W każdym razie nie stanowisz dla nas zagrożenia, nie ima się nas bowiem broń śmiertelników. Stał gniewnie pod naszym dotykiem... - ręką wskazała otwarty sekretarzyk, pełen amuletów i ozdób. - Nasze błyskotki, jak je nazywasz, są o wiele potężniejsze.

- Wiedźmo! - zawołał Conan, rozwścieczony widokiem zrabowanych klejnotów. - Myślisz, że odstraszysz mnie swoimi ohydnymi czarami?!

Wzniósłszy toporek, ruszył naprzód.

W tej samej chwili zdarzyło się kilka rzeczy naraz. Zwabieni odgłosami walki i krzykami strażnicy wpadli z korytarza do komnaty. Na znak Clewyna słudzy zgasili lampy, zapanowała całkowita ciemność. Gdy tlił się już tylko jeden knot, Conan rzucił kamiennym toporkiem w stojącą u boku Clewyna władczą królową Tamsin.

W mroku rozległy się przekleństwa, łomot i wrzaski. Wszystko ucichło, gdy na środku komnaty rozjaśniał przedziwny blask. Upiorna, bladobłękitna poświata padała z rozrzuconych na posadzce kawałków czegoś, co przypominało skorupki jajka.

Blask oświetlił zdumione ludzkie twarze i drobną, zrozpaczoną figurkę. Gdy hałas ucichł, rozlegało się jedynie szlochanie małego dziecka:

- Pomóżcie mi! Proszę, niech ktoś mi pomoże! Zgnębiona, chuda dziewczynka o pociągłej twarzyczce stała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą

wszyscy widzieli królową Tamsin.

- Źli ludzie zrobili krzywdę papie! - płakała, trzymając w dłoni niezgrabnie pozszywaną, wiotką szmacianą lalkę. Na szyi zabawki wisiały resztki roztrzaskanej głowy. To właśnie z jej kawałków emanowała niesamowita poświata.

- Przyjechali na koniach i spalili naszą zagrodę... och, mamó, mamó!!!

Dziecięce słowa ustąpiły nowemu wybuchowi rozpacz. Zapłakana dziewczynka upuściła zepsutą zabawkę i bezradnie ocierała piastkami oczy, zanosząc się szlochem.

Wszyscy w komnacie znieruchomieli. Niemo patrzyli na rozgrywającą się przed ich oczami scenę, starając się dojść, czy jest realna, czy tylko im się przywidziała. Chociaż poświata z kawałków dyni stopniowo przygasała, bezradne dziecięce szlochanie rozbrzmiewało tak dojmująco, jak gdyby miało nigdy nie ucichnąć.

W końcu na polecenie Clewyna zapalono lampę. W świetle zgromadzeni w komnacie ludzie zobaczyli, że barbarzyńca zniknął. Uciekł pod osłoną ciemności lub zniszczył go ostatni magiczny akt boginki Ningi. Z dwóch strażników, którzy wpadli do środka, jeden leżał nieprzytomny na posadzce, a drugi masował sobie potłuczoną czaszkę. Po klejnotach i ozdobach w sekretarzyku - oraz dumnej królowej Tamsin - nie pozostało ani śladu. Na środku sali nadal stała sierota z twarzą bardzo podobną do oblicza władczyni, z takimi samymi kasztanowymi włosami i jasnozielonymi oczami. Nie można było zaprzeczyć, że jest żywa, z krwi i kości. Gdy jej szloch przycichł, powiodła po zebranych wzrokiem pełnym rozpacz i oszołomienia.

Książę Clewyn pierwszy odzyskał przytomność umysłu. Ze współczującą twarzą przyklęknął przed brudną dziewczynką i przytulił ją do piersi.

- No już, malutka, wypłacz się do woli. Niebój się nas, nie damy zrobić ci krzywdy.

Epilog

Nocne spotkanie

- Daj sobie spokój! Barbarzyńco! Idź, nie dostaniesz już piwa! Zamykam oberżę, jesteś ostami, więc zabieraj się stąd, zanim zwalisz się pod stół i będę musiał zaprząć osła, by cię stąd wywlec. Masz już przecież dosyć!

Conan pomyślał, że oberżysta chyba nie zwraca się do niego z należnym szacunkiem. Powinien przywołać go do porządku, lecz w końcu postanowił nie zawracać sobie tym głowy. Można burzyć się przeciw wszystkim niedolom losu i starać się z nimi walczyć, lecz wynik potyczek i tak zawsze jest taki sam. Gdy człowiek usiłuje wziąć przeznaczenie we własne ręce i wyrwać się z wytyczonych dla niego kolein, bezlitosny obrót rzeczy sprawia, że i tak zwykle z łoskotem łąduje w bagnie. Trunek stanowi w tej sytuacji jedyną pociechę. Pomaga opędzić się przed nękającymi duchami, łagodzi ból po utraconej nadziei, sprzyja sentymentalnym, tajonym w sercu wspomnieniom.

Conanowi zaczęły przemykać przez głowę obrazy i dźwięki z innego świata, z innej epoki: kołyszące się w porannym wietrze jodły, błyski słońca na tafli górskiego stawu, ściszone głosy przy ognisku.

- No już, północny osiłku! Dosyć wypłakiwania się nad kuflem po piwie! Dobrze, dostaniesz jeszcze parę łyków. I tak wiem, że wrócisz tu z samego rana, ale idź już, pókim dobry!

Cymmerianin z wyciągniętym kuflem ociężałe podszedł do oberżysty po resztki piwa z dzbana. Wypiwszy jednym haustem, powlókł się po kamiennych schodach do wyjścia. Miał gdzie przenocować - na zapchlonej pryczy w rojącej się od robactwa suterenie. Przedtem wszelako musiał odnaleźć nędzną norę i zwlec z łóżka gospodarza, by wpuścić go do środka. Życie w mieście nie było tanie. Conan musiał sprzedać zdobny klejnotami pas. Dostał niewiele pieniędzy, które i tak straciły ostatnio na wartości. Ledwie ich wystarczyło na marny strój, pas do miecza, byle jakie posiłki i nocleg - oraz przede wszystkim na piwo, które w ostatnich dniach popijał w dużych ilościach. Po tym, jak został świadkiem zniknięcia królowej-czarownicy i pojawienia się na jej miejsce smutnej dziewczynki, czym prędzej sprzedał klejnoty, zmienił wygląd i zaszył się w dobrze mu znanych spelunkach sargossańskiego półświatka.

W stolicy zapanował względny spokój. Nadal jeszcze wyłapywano zbiegłych niedawno niewolników, nie szukano jednak zabójcy królowej. Ze względów

politycznych nie ogłoszono śmierci władczyni i jej los pozostawał dla ogółu na dobrą sprawę nie znany. Religia Imperium Brytuńskiego uległa osobliwemu przeobrażeniu. Ludowi w stolicy i na prowincji nakazano czcić cud: narodziny drugiego wcielenia czy też raczej cudowne odmłodzenie Tamsin, dziecka obdarzonego magiczną mocą. Głoszono, że w jej osobie dokonało się połączenie dzielnej królowej i czczonej w przeszłości bogini Ningi, że nowa Tamsin jest łaskawą półboginią, a dzięki jej dziecięcej niewinności oraz mądrości księcia Clewyna i jego świty w królestwie niewątpliwie nastaną lepsze czasy. Dla uczczenia cnót królowej, kapłanki kultu Ningi i nawróceni mieszkańcy Sargossy codziennie przywdziewali barwne szaty i girlandy kwiecia, by podczas dziękczynnych procesji ścisnąć dłonie przechodniom i śpiewać naiwne pieśni. Rzeź z okresu niedawnej rewolucji w cudowny sposób zamieniła się w manifestację radości i oddania.

Pogoda ducha mieszkańców nie poprawiła jednak nastroju Cymmerianina. Czuł się przez to jeszcze bardziej obco, jeszcze silniej przygnębiony. Nie potrafił do końca odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie zdarzyło się w pałacu szalonej królowej? Do jakiej magicznej przemiany przyczynił się - czy też raczej ją powstrzymał? Czuł, że zemsta była dla niego koniecznością, nie zaś czymś, czym winien się napawać. Nie łagodziło to jednak jego rozpacz.

Pograżone w mętym półświecie schody oberży cuchnęły wszystkimi możliwymi zapachami. Drzwi z ciężkich belek opatrzone były żelazną antabą. Gdy Conan napał na nie, uchyliły się z głośnym skrzypieniem. Po drugiej stronie ciągnął się śmierdzący, błotnisty zaułek. Między garbatymi dachami widniało upstrzone gwiazdami niebo, przypominające przetartą, pokrytą kurzem tkaninę. Błada po - świeża, odbita w kałużach między nierównościami bruku, pozwalała odnaleźć drogę.

Po chwili w niemal całkowitej ciemności rozległo się szuranie podszew. Naprzeciw Conana pojawiła się ciemna sylwetka. Przygarbiony mężczyzna zatrzymał się i nagle zawrócił. Towarzyszyło temu szczekanie broni. Cymmerianinowi nagle zaświtało w głowie.

- Stań na chwilę! Chyba cię znam!

Ruszył za postacią, która tym bardziej przyśpieszyła kroku. Zdradliwe kałuże i niewidoczne przeszkody sprawiały, że w ciemnym zaułku nie sposób było biec. Na oświetlonym przez gwiazdy dziedzińcu dopadnięty przez Conana mężczyzna odwrócił się i wy dobył miecz. Teraz twarz ściganego było wyraźnie widać pod pozbawionym przyłbicy hełmem miejskiego proktora.

- Zaprześć oporu! - powiedział mężczyzna, przybrawszy groźną postawę, mającą wyrażać pewność siebie. - Rzuć broń, w imię cesarstwa!

- Pamiętam ten głos. Brzmi, jakby ktoś sypał żwir na blachę! - zawołał Conan. - Wiedziałem, że skądś cię znam! Jesteś sierżantem proktorów w tej dzielnicy, zgadza się?

- Skoro aż tyle wiesz, powinieneś mieć dość rozumu, by nie stawiać mi oporu. Mówię ci, lepiej pilnuj własnych spraw. Tym razem ci daruję!

- Naprawdę? - Cymmerianin pochylił głowę z udawaną wdzięcznością. - O ile pamiętam, zwykłeś zaczynać się z kamratami na zapóźnionych przechodniów i ani ci było w głowie darowanie komukolwiek.

- Godzina policyjna jest ściśle przestrzegana... - zaczął mówić sierżant.

- Lecz dzisiaj ruszyłeś na miasto samotnie, chociaż nie potrafisz w pojedynek stawić czoła godnemu przeciwnikowi - dokończył Conan głosem, w którym czaiła się groźba. Stał spokojnie, z mieczem w pogotowiu, blokując proktorowi drogę ucieczki. - Rabujesz ze swoimi łotrzykami pijanych wędrowców, wtrącając ich do miejskich lochów, szpikujecie proszkiem lotosu i wysyłacie jako niewolników do kopalni! Taki właśnie los mnie spotkał - może sobie przypominasz?

- Niemożliwe... Nikt nie wraca z kopalni!

- Sierżancie, nikt nie wraca tylko z jednego miejsca. Crom mi świadkiem, jeden z nas trafi tam jeszcze tej nocy!

Przy tych słowach Cymmerianin ruszył do ataku. Pograżony w mroku dziedzińiec wypełnił się szczękiem stali.